

RICHARD  
BACHMAN  
(STEPHEN KING)



**UCIEKINIER**

1

Prószyński i S-ka

# **Stephen King**

## **(Richard Bachman)**

### ***Uciekinier***

Przełożył: Robert P. Lipski

Tytuł oryginału: The Running Man

Data wydania oryginalnego: 1982

Data wydania polskiego: 1990



*Wszystkie postacie i sytuacje w tej książce  
są całkowicie fikcyjne i wszelki ewentualny  
związek z aktualnie żyjącymi osobami  
i dziejącymi się akurat zdarzeniami  
jest całkowicie przypadkowy.*

### *MINUS 100. ODLICZANIE TRWA*

Spoglądała na termometr w bladym świetle padającym przez okno. W oddali, skąpane w potokach deszczu, jak mroczne wieżyczki olbrzymiego więzienia wznosiły się szare wieżowce Co-Op City. W dole, w szybie wentylacyjnym, rozciągała się lina, na której wisiało świeże pranie, przypominające wyciągnięte psu z gardła szmaty. Szczury i opasłe uliczne koty buszowały w stosach śmieci. Spojrzała na męża. Siedział przy stole i patrzył na program Free Vee. Był skoncentrowany i spięty. Oglądał tę audycję od paru tygodni. W każdym mieszkaniu znajdował się telewizor - taki był nakaz prawny. Prawo zezwalało jednak na wyłączenie odbiorników. Przymusowy dodatek pieniężny z 2021 roku nie uzyskał wymaganej przewagi dwóch trzecich głosów, zabrakło sześciu głosów. Zazwyczaj nie oglądali telewizji. Odkąd jednak Cathy zachorowała, szukał drogi zarobienia pieniędzy. To właśnie przerażało ją najbardziej. W tle komentarza spikera przedstawiającego lekko stłumionym głosem najnowsze wiadomości, rozległo się ciche pojękiwanie chorej na gripę Cathy.

- Bardzo z nią kiepsko? - spytał Richards.

- Nie.

- Nie oszukuj mnie.

- Sto cztery stopnie.

Uderzył pięściami w stół. Plastikowy półmisek podskoczył w górę i z trzaskiem opadł.

- Sprowadzimy lekarza. Nie martw się. Posłuchaj...

Odwrócił się i ponownie patrzył w telewizor. Pół godziny komentarza minęło. Znowu zaczęto nadawać transmisję z jednej z gier. Nie była to gra wielkiego kalibru - zwykła

codzienna zabawa pod nazwą Dolarowa Karuzela. Przyjmowano do niej wyłącznie ludzi chorych na serce, wątrobowców, gruźlików, a niekiedy dla zabawy pozwalano wziąć w niej udział kalekom. Za każdą minutę, jaką uczestnik wytrzymał, stojąc na wciąż obracającym się kole fortuny, przez cały czas gawędząc z prowadzącym, otrzymywał dziesięć dolarów. Prowadzący co dwie minuty zadawał pytanie premiowe - różne w zależności od tego, w jakiej dziedzinie gry startował dany uczestnik. Obecny, sercowiec z Hackiensack, dostał pytanie z historii Stanów Zjednoczonych, za które otrzymywał dodatkowe pięćdziesiąt dolarów. Jeżeli uczestnik skołowany, zdyszany, z sercem wyczyniającym w jego piersi dziwaczne harce nie dosłyszał pytania, potrącano mu z wygranej taką samą sumę, a koło fortuny nabierało prędkości.

- Poradzimy sobie jakoś, Ben. Zobaczysz. Naprawdę. Ja...

- Co „ty”? - Spojrzał na nią z wściekłością. - Pójdiesz na ulicę? O nie, Sheila. Ona musi mieć prawdziwego lekarza. Koniec z blokowymi znachorami o brudnych rękach i oddechu przesiąkniętym whisky. Jej potrzebny jest nowoczesny sprzęt i dobra opieka. Zajmę się tym.

Chodził po pokoju, wpatrując się jak zahipnotyzowany w zamontowany nad zlewem ekran Free Vee. Zdjął z haka swoją tanią, skórzaną kurtkę i nałożył ją z grymasem obrzydzenia.

- Nie. Nie pozwolę ci... Nie pójdziesz do...

- A dlaczego nie? W najgorszym razie dostaniesz parę groszy jako samotna matka wychowująca dziecko. Tak czy inaczej będziesz miała pieniądze, aby ją z tego wyciągnąć.

Nigdy nie była najładniejsza, a od kiedy mąż przestał pracować, na jej twarzy pojawiły się nowe zmarszczki. W tej chwili wyglądała jednak naprawdę oszałamiająco, władczo.

- Nie mogę się na to zgodzić. Kiedy przyszedł tu ten rządowy facet, odesłałam go. Czy mam się zgodzić na tak wielkie poświęcenie ze strony męża? Czy mogłabym przyjąć nagrodę za twoją głowę?

Odwrócił się w jej stronę z dziwnym grymasem na twarzy. Próbował zebrać się w sobie, stłumić coś, co drażyło go od wewnątrz. Coś niewidzialnego, dla którego tak uważnie oglądał program Free Vee. Był wyraźnie zakłopotany. Może dręczyła go świadomość niebezpieczeństwa? Z drobnych cząstek zebrała się w końcu wielka chmura. Skinął w stronę sypialni.

- Czy pomyślałaś o niej, leżącej w nie oznaczonym grobie dla ubogich? Myślałaś o tym?

Ukryła twarz w dłoniach i rozplakała się.

- Ben, oni tego właśnie chcą. Chcą nas wszystkich załatwić i pozbyć się takich jak ty czy ja.

- Może tym razem im się nie uda - powiedział, otwierając drzwi. - Może mnie nie dostaną.

- Jeśli tam pójdziesz, zabiją cię. A ja będę na to patrzeć. Chcesz, żebym na to patrzyła, podczas gdy ona leży tam, w drugim pokoju? - Ledwo można było ją zrozumieć poprzez łzy.

- Chcę, aby żyła. - Próbował zamknąć drzwi, ale zablokowała je własnym ciałem.

- No to pocałuj mnie jeszcze, nim odejdziesz.

Pocałował ją. W końcu korytarza pani Jenner otworzyła drzwi i wyjrzała na zewnątrz. Dotarła do nich woń smażonej wołowiny i gotowanej kapusty - woń bogactwa. Zapach kusił i doprowadzał do obłędu. Pani Jenner zrobiła niezłą robotę. Pomogła w przyłapaniu miejscowego handlarza narkotykami i zawsze miała oko na „nielegalnych”.

- Przyjmiesz pieniądze? - spytał Richards. - Nie zrobisz nic głupiego?

- Przyjmę je - szepnęła. - Wiesz, że je przyjmę.

Objął ją mocno, po czym odwrócił się szybko i ruszył na dół po kiepsko oświetlonych schodach. Stała w drzwiach, pochlipując w milczeniu tak długo, aż nie usłyszała odgłosu zamykanych pięć pięter niżej drzwi wejściowych, a potem skryła twarz w połę fartucha. W dłoni wciąż trzymała termometr, którym przed chwilą mierzyła dziecku temperaturę. Pani Jenner podeszła do niej i pociągnęła za sukienkę.

- Kochanie - szepnęła. - Jeżeli chcesz, odstąpię ci trochę penicyliny, rzecz jasna po czarnorynkowej cenie. Jak już dostaniesz te pieniądze... To dobry towar, najlepszy.

- Wynoś się! - krzyknęła Sheila.

Pani Jenner cofnęła się. Uniosła instynktownie górną wargę, ukazując rząd poczerńiałych pieńków.

- Próbowałam ci pomóc... - mruknęła i wróciła do pokoju.

Jęki Cathy nie cichły. Nie tłumila ich cienka ścianka działowa z tworzywa sztucznego. Odbiornik w pokoju pani Jenner był włączony na cały regulator. Uczestnik Dolarowej Karuzeli nie odpowiedział na kolejne pytanie i w tej samej chwili doznał ataku serca. Wyniesiono go na noszach, przy hucznych wiwatach tłumu. Pani Jenner zapisała w notatniku nazwisko Sheili Richards.

- Jeszcze zobaczymy - powiedziała w próżnię. - Jeszcze zobaczymy, „pani pachnidełko”.

Z trzaskiem zamknęła notatnik i usiadła, aby obejrzeć z uwagą kolejną grę.



Zanim Richards wyszedł na ulicę, deszcz zmienił się w ulewę. Wskaźnik olbrzymiego termometru na domu naprzeciwko zatrzymał się na pięćdziesięciu stopniach. W ich mieszkaniu musiało więc być około sześćdziesięciu stopni. Szczur spacerował leniwie po spękanej i nierównej nawierzchni ulicy. Po przeciwnej stronie, na rozpadających się osiach stał i rdzewiał wrak starego Humbera. Został całkowicie rozebrany - zniknęły nawet dekle i podstawa silnika, ale gliniarze nie zabrali go z ulicy. Gliny w ogóle rzadko zapuszczały się w południowe rejony Kanału. Co-Op City było jedną wielką wylęgarnią napromieniowanych szczurów, na którą składały się parkingi, puste sklepy, centra handlowe i opustoszałe boiska. Prawo ustanawiały tu gangi motocyklowe, a informacje o nieustraszonych oddziałach Policji Blokowej byty wierutną bzdurą. Na ulicach panowała głęboka cisza. Jeśli trzeba było wyjść z domu, należało zaopatrzyć się w pojemnik z gazem.

Szedł szybko, nie rozglądając się. Nie myślał o niczym. Powietrze było gęste, przesiąknięte siarką. Cztery motocykle minęły go z rykiem. Ktoś rzucił w niego niewielkim, postrzępionym kawałkiem asfaltowej nawierzchni. Uchylił się z łatwością. Dwa pneumobusy przejechały obok, omiatając go strumieniem powietrza, ale nie machnął w ich stronę, by się zatrzymały. Dwadzieścia nowych dolarów - zasilek dla bezrobotnych - rozpląnęło się gdzieś. Nie miał pieniędzy, aby uiścić opłatę za przejazd. Przypuszczał, że członkowie ulicznych gangów domyślili się, że był bez grosza. Dotarł do celu, przez nikogo nie niepokojony.

Wieżowce, koncerty, wysokie ogrodzenia, parkingi puste za wyjątkiem rozebranych doszczętnie wraków. Obscenizmy wypisywane kredą na chodnikach i w rynsztokach. Graffiti nabazgrane na spękanych szarych ścianach: FRAJERZE, UWAŻAJ, ŻEBY SŁOŃCE NIE WYPALIŁO CI USZU. SZMALOWNI OLEWAJĄ BIEDAKÓW. TWOJA MATKA CIĄGNIE DRUTA. MAM CHEĆ OBRAĆ TWOJEGO BANANA. TOMMY TO ĆPUN. HITLER - TO BYŁ KTOŚ! MARY. SID. WYRZNAĆ WSZYSTKICH PEDAŁÓW. Stare lampy sodowe założone jeszcze w latach siedemdziesiątych wytłuczono kamieniami i kawałkami asfaltu. Żaden technik nie przybył jednak, aby je naprawić. Ich usługi były zbyt drogie. Technicy na krok nie opuszczali centrum miasta, nie pojawiali się na przedmieściach.

Na ulicy panowała cisza, jeżeli nie liczyć wznoszącego się, a potem opadającego szumu przejeżdżających pneumobusów i echa kroków Richardsa. To pole bitewne ożywało dopiero nocą. Za dnia przedmieście było szarym, ponurym, milczącym terytorium, a na ulicach można było dostrzec jedynie koty, szczury i grube, białe robaki kłębiące się w stertach





- Ten to sprawia wrażenie, jakby czekał tylko na kąpiel w budynku. Wyobrażasz sobie?

- Sukinsyny. Ja tam bym...

- Pozabijaliby własne matki dla...

- Cuchną, jakby nie kapali się od...

- Nic mnie tak nie cieszy jak...

Z opuszczonymi głowami, w strugach deszczu, kręcili się tak bez wyraźnego celu. W chwilę potem kolejka zaczęła z wolna przesuwać się naprzód.

*MINUS 098. ODLICZANIE TRWA*

Było już po czwartej, kiedy Ben Richards znalazł się przy stole głównym, po czym skierowano go do stolika numer dziewięć. Kobieta siedząca w plastikowym fotelu wyglądała na zmęczoną i bezwzględna. Spojrzała na niego jak na powietrze.

- Nazwisko i imiona.

- Richards. Benjamin Stuart.

Jej palce śmigały po klawiaturze.

CLITTER, CLITTER, CLITTER - odpowiedziała maszyna.

- Wiek, wzrost, waga.

- Dwadzieścia osiem lat, sześć stóp dwa cale, sto sześćdziesiąt pięć funtów.

CLITTER, CLITTER, CLITTER.

- Czy był badany testem Wechslera, a jeśli tak, to z jakim wynikiem i w jakim wieku?

- Sto dwadzieścia sześć. W wieku czternastu lat.

CLITTER, CLITTER, CLITTER.

W olbrzymim holu trzaski dobywające się z maszyny odbijały się grobowym echem. Zadawano pytania i uzyskiwano odpowiedzi. Wyprowadzano płaczących. Co chwilę rozlegały się ochryple okrzyki protestu. Pytania. Zawsze tylko pytania.

- Ostatnia ze szkół, do jakiej uczęszczał...

- Manual Trades.

- Ukończył ją?

- Nie.

- Ile lat uczęszczał i w jakim wieku opuścił szkołę?

- Przez dwa lata. W wieku szesnastu lat.

- Powód odejścia?

- Ożeniłem się.

CLITTER, CLITTER, CLITTER.

- Imię, nazwisko i wiek małżonki.

- Sheila Catherine Richards. Lat dwadzieścia sześć.

- Imiona i wiek dzieci, jeżeli są.

- Catherine Sarah Richards. Osiemnaście miesięcy.

CLITTER, CLITTER, CLITTER.

- Ostatnie pytanie. Nie radzę kłamać, oni i tak to wyczują i zdyskwalifikują pana podczas testów fizycznych. Czy używał pan kiedykolwiek heroiny albo syntetycznego halucynogenu amfetaminowego, znanego jako „San Francisco Push”?

- Nie.

CLITTER.

Plastikowa karta wypadła na stół. Kobieta wręczyła ją Richardsowi ze słowami:

- Nie zgub tego, koleś. Gdyby tak się stało, musiałbyś w przyszłym tygodniu zacząć wszystko od początku.

Przyjrzała mu się z uwagą. Zobaczyła przepelnione wściekłością oczy, wynędzniałe ciało. Wyglądał nieźle. Był inteligentny. Był dobry. Cofnęła nagle rękę z kartą i nakryła ją dłonią z dziwnym grymasem twarzy.

- Po co to panu?

- Nieważne. Ktoś później odpowie na pani pytanie. Być może.

Wskazała ponad jego ramieniem w stronę długiego holu prowadzącego do rzędu wind. Ludzie, którzy odeszli od stołów, byli tam zatrzymywani. Po okazaniu swoich kart identyfikacyjnych przepuszczano ich dalej. Richards zauważył, że drżący i blady na twarzy ćpun został zatrzymany przez gliniarza. Wskazano mu wyjście. Narkoman zaczął płakać. W chwilę potem znikł za drzwiami.

- Świat jest okrutny, koleś - powiedziała bez cienia sympatii kobieta za stołem. - Ruszaj.

Richards odszedł. Za jego plecami litania pytań zaczęła się od nowa.

*MINUS 097. ODLICZANIE TRWA*

Na końcu korytarza wiodącego od linii stołów mocna jak skała, wypiełgnowana dłoń zacisnęła się na jego ramieniu.

- Karta, koleś.

Okazał dokument. Gliniarz uspokoił się. Na jego twarzy pojawił się nagle grymas rozczarowania.

- Lubisz zawracać stąd ludzi, co? - spytał Richards. - To cię dowartościowuje? Czujesz potęgę swego stanowiska?

- Chcesz wrócić na przedmieścia, frajerze?

Richards minął go. Zatrzymał się w pół drogi do wind i odwrócił głowę.

- Hej, gliniarzu...!

Policjant spojrzał nań z zaciętością.

- Masz rodzinę? Może w przyszłym tygodniu nadejdzie twoja kolej...

- Jazda! - warknął wściekle gliniarz.

Richards ruszył dalej, uśmiechając się. Przy windach czekał rząd około dwudziestu aplikantów. Pokazał kolejnemu policjantowi swoją kartę. Ten przyjrzał mu się uważnie.

- Twardziel z ciebie, co?

- Owszem - odparł Richards i uśmiechnął się.

Policjant oddał mu kartę.

- Już oni cię tam utemperują. Ciekaw jestem, czy będziesz gadał równie bezczelnie z paroma kulami we łbie.

- Tak bezczelnie jak ty gadasz, kiedy nie masz przy sobie broni i jesteś bez spodni - odparł Richards, wciąż się uśmiechając.

Przez chwilę zdawało się, że gliniarz ma ochotę go uderzyć.

- Oni dadzą ci szkołę - rzekł policjant. - Będziesz błagał ich na kolanach, żeby przestali...

Skinął na trzech nowo przybyłych i zażądał, by okazali swoje karty. Mężczyzna stojący przed Richardsem odwrócił się. Miał nerwową, nieszczęśliwie wyglądającą twarz i kędzierzawe włosy.

- Nie zadzieraj z nimi, koleś. Oni tu grają pierwsze skrzypce.

- Czyżby? - spytał Richards, spoglądając nań przyjaźnie.

Mężczyzna odwrócił się. Nagle drzwi windy otworzyły się. Policjant z olbrzymim brzuchem stał przy ścianie z przyciskami kontrolnymi. Drugi gliniarz siedział na stołku w małym, kuloodpornym pomieszczeniu wielkości budki telefonicznej, czytając trójwymiarowy magazyn pornograficzny. Pomiędzy jego kolanami sterczała dubeltówka-obrzynek. Obok stały ustawione rzędem naboje, po które w razie potrzeby mógł z łatwością sięgnąć.

- Cofnąć się pod ścianę! - krzyknął z powagą grubas. - Cofnąć się pod ścianę!

Stłoczyli się w zbitą, gęstą masę - tak gęstą, że zaczerpnięcie głębszego oddechu było niemożliwością. Z każdej strony otaczały Richardsa ponure sylwetki. Wjechali na drugie piętro. Drzwi otworzyły się raptownie. Richards, który był o głowę wyższy od pozostałych skłębionych we wnętrzu windy ludzi, zobaczył olbrzymią poczekalnię, wewnątrz której stał długi rząd foteli. Na jednej ze ścian znajdował się olbrzymi odbiornik Free Vee. W rogu zauważył automat z papierosami.

- Wysiadać! Wysiadać! Przy wychodzeniu okazujcie swoje karty identyfikacyjne!

Wyszli z windy, pokazując dokumenty bezosobowemu oku kamery. Opodał stali trzech gliniarzy. Z jakichś powodów na widok około dwunastu kart rozległ się brzęczyk, a ich posiadacze zostali natychmiast gdzieś odprowadzeni. Richards pokazał swoją i pozwolono mu przejść dalej. Podeszedł do automatu, kupił paczkę blamów i usiadł możliwie jak najdalej od odbiornika. Zapalił papierosa i zaciągnął się. Kaszlał przez chwilę. Prawie od sześciu miesięcy nie miał w ustach papierosa.

Ludzie, których nazwiska zaczynały się na A, zostali niemal natychmiast zabrani na testy sprawnościowe. Prawie dwa tuziny mężczyzn wstało i wyszło przez drzwi znajdujące się za ekranem. Napis nad drzwiami głosił: TĘDY. Pod legendą widniała strzałka wskazująca drzwi. Niewielu ludzi biorących udział w Grach potrafiło czytać. Piętnaście minut potem wezwano kolejną grupę. O piątej Richards zajął miejsce w fotelu. Domyślał się, że jego kolej nadejdzie około dziewiątej. Marzył, by móc w tej chwili trzymać w dłoni książkę, ale uznał, że dobrze się stało, że nie wziął żadnej z sobą. Książki wzbudzały podejrzenia, zwłaszcza gdy miał je ktoś, kto pochodził z południowej dzielnicy, znad Kanału. Trójwymiarowe pisma porno były z pewnością o wiele bezpieczniejsze.

O szóstej obejrzał bez przekonania wiadomości i kiedy na ekranie pojawiła się zapowiedź kolejnej z wielkich gier, podszedł obojętnym krokiem do okna i wyjrzał na zewnątrz. Teraz, kiedy miał już wszystko za sobą, Gry znowu zaczęły go nudzić. Inni zapewne z zainteresowaniem przyglądali się Zabawnym Broniom. W następnym tygodniu nadejdzie być może ich kolej...

Dzień zmieniał się w zmierzch. Elsy na pierścieniach siłowych przemykały za oknami drugiego piętra, ich reflektory ostro cięły mrok. Na ulicach tłumy mężczyzn i kobiet (większość z nich stanowili, rzecz jasna, technicy i biurokraci Sieci) rozpoczynały swoją wieczorną włóczęgę w poszukiwaniu rozrywek. Zarejestrowany handlarz narkotyków sprzedawał swój towar na przeciwległym rogu ulicy. Mężczyzna, na którego ramionach opierały się dwie dziewczyny, minął go obojętnie.

Richards zatęsknił nagle za domem, za Sheilą i Cathy. Chciał zadzwonić do nich, wątpił jednak, by mu na to zezwolono. Ciągle jeszcze mógł zrezygnować. Paru już to zrobiło. Uśmiechając się wyszli z pokoju przez drzwi zaopatrzone w napis NA ULICĘ.

Wrócić do mieszkania, w którym leżała jego rozpalona gorączką córka? Nie. Nie mógł. Nie mógł zawrócić. Stał przy oknie jeszcze przez chwilę, po czym powrócił na swoje miejsce. Zaczęła się nowa gra pod nazwą Wykop Sobie Grób. Mężczyzna siedzący obok Richardsa pociągnął go trwożliwie za rękę.

- Czy to prawda, że największy odsiew, około trzydziestu procent, ma miejsce po przeprowadzeniu testów sprawnościowych?

- Nie wiem - odrzekł Richards.

- Jezu! - rzekł tamten. - Mam bronchit. Może... Dolarowa Karuzela...

Richards nie odpowiedział. Oddech, siedzącego obok mężczyzny przypominał sapanie parowozu wspinającego się na szczyt wysokiej góry.

- Jestem ciężko chory - rzekł tamten cicho.

Richards patrzył na program, jakby nagle go zainteresował. Mężczyzna milczał przez dłuższy czas. Kiedy o siódmej trzydzieści program znowu się zmienił, Richards słyszał, jak tamten pyta o test sprawnościowy drugiego sąsiada. Na zewnątrz było już ciemno. Zastanawiał się, czy nadal pada. Wieczór zdawał się ciągnąć w nieskończoność.



Kiedy wszyscy, których nazwiska zaczynały się na R, weszli do pomieszczenia testowego przez drzwi oznaczone czerwoną strzałką, było parę minut po wpół do dziesiątej. Początkowe napięcie wyraźnie zmalało i wielu oglądało z zaciekawieniem program Free Vee. Nikt jednak nie spał, nikt nawet nie próbował się zdrzemnąć. Mężczyzna cierpiący na bóle w piersiach nosił nazwisko zaczynające się na L. Wezwano go przed godziną. Richards zastanawiał się leniwie, czy dopuszczono go do udziału w którejś z Gier. Sala egzaminacyjna była długa i oświetlona lampami fluorescencyjnymi. Przypominała halę produkcyjną, a poszczególne stanowiska na owej dziwacznej „taśmie” zajmowali różni lekarze.

Czy któryś z was mógłby rzucić okiem na moją córkę? - pomyślał z goryczą Richards. Aplikanci okazali swe karty oku innej kamery, zamontowanej w ścianie, po czym nakazano im stanąć w równym rzędzie przy wieszakach. Lekarz w długim, białym fartuchu podszedł do nich szybkim krokiem. Pod pachą trzymał teczkę.

- Rozbierzcie się - powiedział. - Powieście ubrania na wieszakach. Zapamiętajcie numer nad wieszakiem i podajcie go na końcu tego korytarza. Nie martwcie się o wasze wartościowe przedmioty. Nikt ich wam nie zabierze.

Przedmioty wartościowe. Niezły dowcip - pomyślał Richards, zdejmując koszulę. Miał przy sobie pusty portfel z paroma zdjęciami Sheili i Cathy, kwit na odbiór podzielowanych butów, które oddał do miejscowego szewca przed pół rokiem, breloczek do kluczy z jednym kluczem od mieszkania, skarpetkę dziecienną, choć nie pamiętał, by ją tam wkładał i paczkę blamów, którą wydobyl z automatu. Miał na sobie stare slipki, które włożył na życzenie Sheili. Wkrótce wszyscy byli już nadzy i anonimowi. Każdy z mężczyzn trzymał w dłoni kartę. Paru przebierało nogami, tak jakby podłoga była zimna, choć nie było to zgodne z prawdą. W powietrzu unosił się odór alkoholu.

- Ustawcie się w rzędzie - rzekł lekarz z teczką. - Każdy okazuje swoją kartę. Postępujcie zgodnie z zaleceniami.

Szereg ruszył. Richards zobaczył, że przy każdym ze stanowisk obok lekarza znajdował się policjant. Spuścił wzrok i czekał cierpliwie.

- Karta.

Oddał tamtemu dokument. Pierwszy lekarz zanotował numer, po czym rzekł:

- Otworzyć usta.

Richards wykonał polecenie. Wysunął język. Następny lekarz spojrział w jego źrenice, oświetlając je niewielką, cienką latareczką, po czym zajrzał mu do uszu. Następny umieścił na jego piersi zimny stalowy krążek stetoskopu i rzekł:

- Odkasznąć.

Richards kaszlnął. Jeden z mężczyzn w przedzie został odciągnięty na bok. Potrzebował pieniędzy, nie mogli tego zrobić - groził, że ich zaskarzy. Doktor przesunął swój stetoskop.

- Odkasznąć.

Richards odkasznął. Doktor obrócił go i przyłożył stetoskop do pleców.

- Nabrać powietrza i nie oddychać. - Stetoskop przesunął się - Oddychać.

Richards wpuścił powietrze.

- Przechodzić dalej.

Uśmiechający się jednooki lekarz zmierzył mu ciśnienie. Łysy doktor, na którego czaszce widać było parę brązowych plamek przypominających pijawki, obmacał mu krocze. Jego zimna dłoń przez chwilę gmerała pomiędzy jego udami, badając worek mosznowy i odbył.

- Kaszlnąć.

Richards kaszlnął.

- Przechodzić dalej.

Zmierzono mu temperaturę. Poproszono o próbkę śliny. Był już w połowie drogi do drzwi. Dwóch czy trzech mężczyzn zakończyło już badanie i posługacz o bladej twarzy i zębach jak królik przyniósł w metalowych koszach ich ubrania. Pół tuzina innych zostało wyprowadzonych z szeregu. Pokazano im schody.

- Pochylić się i rozchylić pośladki.

Richards pochylił się i rozstawił nogi. Otoczony plastikową osłoną palec wdarł się w jego odbytnicę, przez chwilę badał jej wnętrze, po czym wycofał się.

- Przechodzić dalej.

Wszedł do kabiny zamkniętej z trzech stron kurtynami i oddał mocz do niebieskiej zlewki. Jeden z lekarzy zabrał ją i wstawił do metalowej szafki.

Na następnym stanowisku badano jego wzrok.

- Czytać - rzekł lekarz.

- E, A, L, D, M, F, S, P, M, Z, K, L, A, C, D.

- Wystarczy. Przechodzić dalej.

Wszedł do następnej kabiny i nałożył na głowę słuchawki. Powiedziano mu, by naciskał biały guzik, kiedy coś usłyszy i czerwony, kiedy sygnał ucichnie. Dźwięk był cichy i wysoki jak odgłos gwizdka na psy, ledwo słyszalny dla ludzkiego ucha. Richards naciskał guziki tak długo, aż nie powiedziano mu, by przestał. Został zważony. Zbadano stan jego płuc. Stał przed aparatem fluorescencyjnym i przyłgął do ołowianej osłony. Lekarz żując gumę i nucący coś pod nosem zrobił kilka zdjęć i zanotował numer jego karty.

Richards wszedł do pomieszczenia w grupie liczącej około trzydzieści osób. Do końca sali dotarło dwunastu. Niektórzy byli już ubrani i czekali na windę. Dwunastu innych wyciągnięto z szeregu. Jeden z nich próbował zaatakować lekarza, który go zdyskwalifikował, ale został uderzony pałąk przez stojącego opodal gliniarza. Mężczyzna runął jak podcięte drzewo.

Richards stanął przy niskim stole. Zapytano go, czy przechodził kiedyś którąś z pięćdziesięciu chorób, a następnie wymieniono je po kolei. W większości były to choroby układu oddechowego. Gdy powiedział, że w rodzinie wydarzył się przypadek grypy, doktor spojrzał nań z uwagą.

- Żona?

- Nie. Córka.

- Wiek?

- Półtora roku.

- Był pan uodporniany? Tylko proszę mówić prawdę! - krzyknął nagle lekarz, jakby Richards już próbował kłamstwem wymigać się od odpowiedzi. - Sprawdzimy kartę, sprawdzimy... - spojrzał na ekran komputera.

- Uodpornianie - czytał - lipiec 2023, wrzesień 2023. Blokowa Klinika Zdrowia. Przechodzić dalej.

Richards miał ochotę pochylić się nad stołem i skrócić kark małemu cwaniaczkowi. Ruszył jednak dalej. Przy ostatnim stanowisku siedziała groźnie wyglądająca kobieta o krótko przystrzyżonych włosach, z czujnikiem wpiętym w ucho. Zapytała go, czy jest homoseksualistą.

- Nie.

- Czy był karany sądownie?

- Nie.

- Czy cierpi na jakieś poważne fobie? To znaczy...

- Nie.

- Lepiej mnie wysłuchaj - powiedziała z odrobiną przychylności w głosie.

- Czy cierpiałem kiedyś na niezwykle, powtarzające się lęki, takie jak akrofobia lub klaustrofobia? Otóż nie!

Jej usta zacisnęły się. Widać było, że miała ochotę pokusić się o jakiś ostrzejszy komentarz.

- Używał pan kiedyś środków halucynogennych lub narkotyków?

- Nie.

- Czy ktoś z pańskiej rodziny był kiedyś karany za działalność antyrządową lub występowanie przeciwko koncernowi Sieci?

- Nie.

- Proszę podpisać przysięgę lojalności i formularz zakończenia testu Komisji Gier, panie Richards.

Nieudolnie nagryzł podpis.

- Proszę pokazać swoją kartę porządkowemu i podać mu numer...

Odszedł, nim zdążyła dokończyć. Skinął palcem na porządkowego.

- Numer dwadzieścia sześć, Bugs.

Porządkowy przyniósł jego rzeczy. Richards ubrał się powoli i przejrzał w lustrze przy windzie. Czuł lekki ból w odbytnicy, między udami zaś dziwną lepkość od płynu używanego przez lekarza. Kiedy zebrali się już wszyscy, drzwi windy otworzyły się. Małe, zaopatrzone w kuloodporną szybę pomieszczenie było tym razem puste. Gliniarz był chudym facetem z dużą naroślą obok nosa.

- Przechodzić do tyłu - zanucił. - Proszę przechodzić do tyłu.

Gdy drzwi się zamykały, Richards zauważył, że do sali wchodzi S-owcy. Doktor z teczką zbliżył się do nich. Drzwi zamknęły się z trzaskiem. Wjechali na trzecie piętro i drzwi otworzyły się, ukazując ich oczom olbrzymią, na wpół oświetloną sypialnię. Rzędy polowych łóżek zdawały się ciągnąć w nieskończoność. Dwaj gliniarze zaczęli sprawdzać ich przy wyjściu z windy. Łóżko Richardsa oznaczono numerem dziewięćset czterdzieści. Leżał na nim brązowy koc i płaska jak deska poduszka. Richards położył się, zzuł buty i zrzucił je na podłogę. Stopy wystawały poza krawędź łóżka, ale nic na to nie mógł poradzić. Skrzyżował ręce pod głową i patrzył w sufit.

Następnego dnia rano, o szóstej, obudził go dźwięk brzęczyka. Był bardzo głodny. Przez chwilę nie wiedział, co się dzieje. Zdawało mu się, że jest w domu i słyszy budzik - nowy zakup Sheili. Dopiero po chwili przypomniał sobie wszystko.

Poprowadzono ich pięćdziesięcioosobową grupą do olbrzymiej łaźni, gdzie okazali swoje karty do kamery, obok której stał policjant. Richards wszedł do kabiny wyłożonej niebieskimi kafelkami. Wewnątrz znajdowało się lustro, prysznic, umywalka i toaleta. Na półce nad umywalką zauważył rząd owiniętych w celofan szczoteczek do zębów, maszynkę do golenia, mydło i na wpeł zużyta tubę pasty do zębów. W rogu lustra umieszczono kartonik z hasłem: USZANUJ TĘ WŁASNOŚĆ! Pod spodem, niejako w odpowiedzi, ktoś napisał: SZANUJĘ TYLKO WŁASNY TYŁEK! Wziął prysznic, wytarł się ręcznikiem, który leżał zwinięty w kostkę w toalecie, ogolił się, na koniec zaś umył zęby.

Potem zaprowadzono ich do kafejki, gdzie ponownie musieli okazać swoje karty identyfikacyjne. Richards wziął tacę i postawił na metalowym kontuarze. Podano mu pudełko płatków kukurydzianych, porcję frytek, talerz jajecznicy, tost zimny i twardy jak kamień nagrobkowy, kubek mleka, filiżankę kawy, torebkę cukru, torebkę soli i trochę masła na przesiąkniętym tłuszczem kawałku papieru. Jak wilk rzucił się na jedzenie. Inni postąpili podobnie. Dla Richardsa był to pierwszy od bardzo dawna prawdziwy posiłek, nie taki, jak brejowata pizza czy żywność w pigułkach. Dziwne wydawało się jedynie to, iż posiłek był zupełnie pozbawiony smaku, jakby jakiś wampir wyssał go ze wszystkich potraw, pozostawiając jedynie pożywną esencję.

Co moja rodzina jadła tego ranka? - zastanawiał się. Pigułki Kelpa. Pili mleko. Ogarnęło go nagle uczucie przejmującej rozpacz. Kiedy zobaczą te pieniądze? Dziś? Jutro? Za tydzień? A może wszystko było jedynie ułudą? Może w ogóle nie istnieje tęcza, pod którą zakopany jest garnek ze złotem? Siedział, wpatrując się w pusty talerz, dopóki o siódmej znowu nie rozległ się brzęczyk, a potem zaprowadzono ich do wind.

Na czwartym piętrze pięćdziesięcioosobową grupę Richardsa zebrano najpierw w olbrzymim, pustym pokoju, wewnątrz którego znajdowały się dziesiątki czegoś, co przypominało skrzynki na listy. Raz jeszcze okazali swoje karty i drzwi z sykiem zamknęły się za nimi. W chwilę później do pokoju wszedł wynędzniały facet z wyraźną łysiną i emblematem Gier (wizerunkiem głowy ludzkiej ponad płomieniem pochodni) w klapie fartucha.

- Proszę się rozebrać i wyjąć wszystkie wartościowe przedmioty - powiedział. - Potem wrzucicie wasze ubrania do jednej z komór pieca. Każdy z was otrzyma nowe ubranie. - Uśmiechnął się wspaniałomyślnie. - Możecie zatrzymać te ubrania niezależnie od tego, jaką decyzję poweźmiecie.

W grupie rozległy się stłumione rozmowy, ale wszyscy wypełnili polecenie.

- Proszę się pospieszyć - rzekł chudzielec. Klasnął w dłonie dwukrotnie, jak nauczyciel w podstawówce dający znak, że lekcja się zaczęła. - Jeszcze sporo roboty przed nami.

- Pan też bierze udział w eliminacjach? - spytał Richards.

Chudzielec obdarzył go spojrzeniem pełnym nie ukrywanego zdziwienia. Ktoś z tyłu parsknął śmiechem.

- Nieważne - rzekł Richards, zdejmując spodnie. Wyjął z kieszeni plik bezwartościowych wartościowych przedmiotów i wrzucił koszulę, spodnie i slipki w otwór skrzynki. Gdzieś daleko w dole bluznął pojedynczy jęzor płomieni. Drzwi na drugim końcu otworzyły się. Na drugim końcu korytarza zawsze znajdowały się drzwi, byli jak szczury w labiryncie, amerykańskim labiryncie - zauważył Richards. Podeszła do nich grupa ludzi tocząca wózki zaopatrzone w oznaczenia S, M, L lub XL. Richards wybrał dla siebie rozmiar XL i choć oczekiwał, że kombinezon będzie wisiał na nim niczym worek na strachu na wróble, okazało się, że wygląda w nim całkiem nieźle. Materiał był delikatny jak jedwab, ale mocniejszy. Na przedzie kombinezonu ciągnął się pojedynczy, długi zamek błyskawiczny. Kombinezony były ciemnoniebieskie, na prawej piersi zaopatrzone w emblematy Gier. Kiedy mieli je już na sobie, Richards poczuł, jakby nagle pozbawiono go twarzy.

- Tędy proszę - rzekł chudzielec i wprowadził ich do kolejnej poczekalni.

W pokoju znajdował się włączony odbiornik Free Vee. Drzwi znajdujące się za nim zaopatrzone były w napis TĘDY oraz stosowną strzałkę.

- Będę wzywać was dziesiątkami.

Usiedli. W chwilę potem Richards wstał i podszedł do okna. Wyrzął na zewnątrz. Byli wyżej niż poprzednio. Wciąż padał deszcz. Ulice były lśniące, czarne i mokre. Zastanawiał się, co w tej chwili porabia Sheila.

Kwadrans po dziesiątej wraz z dziesięcioma innymi mężczyznami wszedł do kolejnego pomieszczenia. Wchodzili pojedynczo. Dokładnie sprawdzano ich karty. W pomieszczeniu znajdowało się dziesięć kabin wyłożonych materiałem dźwiękoszczelnym. Wnętrze było słabo oświetlone. Z ukrytych głośników dobiegały dźwięki muzyki. Na podłodze znajdował się pluszowy dywan.

- Kabina sześć - rzekł chudzielec.

- Aha.

Wszedł do kabiny. Wewnątrz znajdował się stół a za nim, na ścianie, na wysokości oczu wisiał okazały zegar. Na stole leżał zastrzony ołówek G-A/IBM i stos czystych kartek papieru marnego gatunku, jak zauważył Richards. Obok stała oszalamiająco piękna, wysoka blond-bogini ery komputerowej, nosząca opalizujące, nad wyraz krótkie spodenki podkreślające wyraźnie kształty jej krągłych pośladków. Poprzez cienką tkaninę bluzki prześwitywały twarde, sterczące punkciki sutek.

- Proszę, niech pan usiądzie - powiedziała. - Jestem Rinda Ward, kierownik testów.

Wyciągnęła ku niemu dłoń. Richards uściskał ją ze zdziwieniem.

- Benjamin Richards.

- Mogę ci mówić Ben? - Posłała mu uwodzicielski, ale zgoła bezosobowy uśmiech.

Czuł, jak rośnie w nim pożądanie do tej wspaniałej kobiety, wystawiającej tak otwarcie na pokaz swoje cudowne ciało. Zaczęła narastać w nim złość. Zastanawiał się, czy gdyby teraz dopiekl jej do żywego, to czy nadal grałaby tę komedię przed tymi, którzy przyjdą po nim.

- Jasne - powiedział. - Niezłe masz cycki.

- Dziękuję - odparła niewzruszona.

Usiadł, patrząc w górę, podczas gdy ona spoglądała w dół, co zważywszy kąt patrzenia, czyniło obserwację nader osobliwą.

- Dzisiejszy test ma na celu zbadanie twoich zdolności umysłowych, podobnie jak wczorajszy miał wykazać twoją sprawność fizyczną. Test będzie dość długi. Lunch powinieneś zjeść około trzeciej, jeżeli uda ci się zdać, rzecz jasna. - Uśmiechnęła się na moment. - Część pierwsza, słowna. Masz godzinę czasu od chwili, gdy wręcę ci arkusz testowy. W czasie trwania egzaminu możesz zadawać mi pytania, jeżeli będę mogła na nie



odpowiedzieć, zrobię to. Nie mogę udzielać odpowiedzi na pytania dotyczące testu. Wszystko jest jasne?

- Tak.

Wręczyła mu arkusz testowy. Na pierwszej stronie widniała olbrzymia czerwona dłoń z palcami skierowanymi ku górze. Czerwony napis pod spodem głosił: STOP! Nie odwracaj tej strony dopóty, dopóki nie wysłuchasz instrukcji swego kierownika testowego.

- Mocne - zauważył Richards.

- Że co proszę? - regularne brwi uniosły się odrobinę.

- Nic, nic.

- Wśród arkuszy znajdziesz jeden, na który będziesz musiał nanieść odpowiedzi. Pisz, proszę, wyraźnie. Jeśli będziesz chciał zmienić odpowiedź, skreśl ją i napisz drugą powyżej. Jeżeli nie znasz odpowiedzi, nie próbuj odpowiadać na ślepo. Czy wszystko jasne?

- Tak.

- Zatem odwróć stronę i zaczynaj. Kiedy powiem stop, odłóż ołówek. Możesz zacząć. Nie zaczął. Wolno, bezczelnie lustrował wzrokiem jej ciało. Zacerwieniła się.

- Czas płynie, panie Richards. Lepiej, żeby...

- Dlaczego - zapytał - wszyscy uważają ludzi pochodzących z południowej dzielnicy, znad Kanału, za kompletnych idiotów?

- Ja... ja nigdy... - Czerwień zmieniła się w purpurę.

- Nie, ty nigdy - uśmiechnął się i ujął ołówek. - Boże, jacy z was kretyni!

Pochylił się nad testem, podczas gdy ona, najwyraźniej nic nie rozumiejąc, wciąż zastanawiała się nad powodem jego niezwykłego ataku. W części pierwszej testu należało uzupełnić tekst. W brakujące miejsce musiał wpisać jedną z liter, którymi oznaczone były poszczególne warianty odpowiedzi.

1. Jedna - nie czyni wiosny:

a) myśl,

b) szklanka piwa,

c) jaskółka,

d) zbrodnia,

e) żadne z powyższych.

Z tą częścią testu poradził sobie szybko. Pospiesznie wypełniał puste miejsca, rzadko kiedy przerywając pisanie w celu przemyślenia odpowiedzi czy wpisania innej. Brakujące wyrazy dobierano na zasadzie słownikowej, potem na zasadzie przeciwności. Kiedy skończył, okazało się, że wykonał zadanie piętnaście minut przed czasem. Poradziła mu, by raz jeszcze

sprawdził odpowiedzi - nie mógł oddać testu, zanim nie minął ustalony czas. Richards rozparł się wygodnie na krześle i bez słowa przyglądał się jej prawie nagiemu ciału. Cisza wzmagała napięcie, stawała się coraz bardziej nieprzyjemna, demaskatorska. Kiedy minął ustalony czas, wręczyła mu drugą część testu. Na pierwszej stronie widniał rysunek gaźnika. Podpis brzmiał:

Jest to część:

- a) kosiarki do strzyżenia trawników,
- b) odbiornika Free Vee,
- c) elektrycznego leżaka,
- d) samochodu,
- e) żadnego z powyższych.

Trzeci test polegał na wykonaniu serii zadań matematycznych. Nie był w tym najlepszy i zaczął się nieźle pocić, patrząc na zegarek. Minuty płynęły szybko. Pod koniec potlał się z niego niemal strumieniem. Nie miał szans. Nie zdążył skończyć ostatniego zadania. Rinda Ward uśmiechnęła się szeroko, odbierając od niego kartkę.

- Tym razem nie poszło ci tak szybko, Ben.

- Myślę, że wszystkie odpowiedzi będą poprawne - odrzekł i uśmiechnął się do niej. Przechylił się i poklepał ją po pośladku. - Weź prysznic, maleńka. Zrobiłaś dobrą robotę.

Poczerwieniała z wściekłości.

- Mogłabym cię zdyskwalifikować.

- Nie pieprz. Mogłabyś jeszcze wybuchnąć. Jedyne, co możesz zrobić, to zwolnić się. Nic poza tym.

- Wynocha! Wracaj skąd przyszedłeś! - warknęła bliska płaczu.

Poczuł, że coś jakby współczucie, zaczęło go dławić w gardle.

- Spędziłaś dziś przyjemną noc - powiedział. - Wyjdiesz stąd za chwilę i zjesz pewno wspaniały obiad z kilku dań razem z tym kimś, z kim sypiasz w tym tygodniu. Pomyśl przy tym o moim dziecku umierającym na gripę w jednym z zawieszonych, trzypokojowych apartamentów Koncernu.

Wyszedł. Patrzyła w ślad za nim. Jej twarz była biała jak płótno. Skład grupy zmniejszył się z dziesięciu osób do sześciu. Kiedy weszli do następnego pokoju, była pierwsza trzydzieści.

*MINUS 091. ODLICZANIE TRWA*

Lekarz siedzący za stołem w małej, oszklonej kabinie nosił okulary o grubych szklach. Uśmiechał się przyjaźnie. Przypominał Richardsowi półgłówka, którego znał kiedyś przed laty, uwielbiającego onanizować się, podglądając dziewczyny w przebieralniach. Richards również zaczął się uśmiechać.

- Coś pana bawi? - spytał lekarz, wyjmując zestaw kart do badania. Uśmiech poszerzył się.

- Tak. Przypomina mi pan kogoś, kogo kiedyś znałem.

- Tak? Kogo?

- Nieważne.

- No dobrze. Co pan tu widzi?

Richards spojrział na upstrzoną plamami kartę. Do jego prawego ramienia przymocowano aparat do mierzenia ciśnienia, do głowy kilkanaście elektrod, natomiast przewody ciągnące się zarówno od elektrod na czaszce, jak i na ramieniu, podłączono do konsoli obok lekarza. Na wmontowanym w konsolę ekranie komputera przesuwaly się faliste linie.

- Dwie Murzynki. Całują się.

Pokazał mu następną kartkę.

- A tu?

- Sportowy wóz. Wygląda jak jaguar.

- Lubi pan szybkie wozy? Stare wozy o napędzie spalinowym?

Richards wzruszył ramionami.

- Będąc dzieckiem, zbierałem modele samochodów.

Doktor zapisał coś i podał mu kolejny rysunek.

- Chora osoba. Leży na boku. Cienie na jej twarzy wyglądają jak więzienne kraty.

- A ostatnie?

- Wygląda jak kupa gówna - Richards wybuchnął śmiechem.

Pomyślał o lekarzu w białym fartuchu, ukrytym w przebieralni, podglądającym dziewczyny, onanizującym się i znów się roześmiał. Doktor obdarzył go obrzydliwym uśmiechem. Wizja stała się jeszcze bardziej rzeczywista i zabawna niż dotychczas. Wreszcie chichot lekarza ucichł. Richards przerwał i umilkł.

- Nie powie mi pan pewno...

- Nie - rzekł Richards - nie powiem.

- No to lecimy dalej. Skojarzenia - rzekł, nie podając dalszych wyjaśnień.

Richards przypuszczał, że będzie musiał powiedzieć słowo, jakie skojarzy mu się z podanym. To nie było takie złe. Powinno pójść raczej szybko.

- Gotowy?

- Tak.

Lekarz wyjął z kieszeni stoper, włączył go końcem długopisu i spojrzał na kartkę leżącą przed nim.

- Doktor.

- Murzyn - odparł Richards.

- Penis.

- Kutas.

- Czerwone.

- Czarne.

- Srebrne.

- Sztylet.

- Strzelba.

- Morderstwo.

- Wygrana.

- Pieniądze.

- Seks.

- Testy.

- Cios.

- Nokaut.

Test ciągnął się niesłychanie długo. Przebrnęli przez około pięćdziesiąt słów, nim lekarz wreszcie wyłączył stoper i odłożył długopis.

- Dobrze - powiedział. Rozłożył ręce i spojrzał z powagą na Richardsa. - Jeszcze ostatnie pytanie, Ben. Nie będę miał pewności, że nie skłamiesz, udzielając mi odpowiedzi, ale to urządzenie, do którego jesteś podłączony zarejestruje wszystko i wykaże odchylenie w tę lub tamtą stronę. Czy zdecydowałeś się wziąć udział w Grach z powodów samobójczych?

- Nie.

- A zatem dlaczego?

- Moja córka jest chora. Potrzebuje lekarza, lekarstw, opieki szpitalnej.

- Coś jeszcze?

Richards miał ochotę zaprzeczyć, ale w końcu zdecydował się powiedzieć wszystko. Może dlatego, że doktor wyglądał jak niemal zapomniany, brudny chłopak, którego znał w dzieciństwie. Może tylko dlatego, że chciał opowiedzieć o tym komuś ten jeden, jedyny raz, zebrać w całość wszystkie, nawet najdrobniejsze szczegóły, tak jak wtedy, kiedy człowiek zmusza się do przełożenia nieukształtowanych reakcji emocjonalnych na język słów.

- Nie pracowałem od dawna. Chcę znów działać, choćby jako zwykły uczestnik w jednej z tych tuzinkowych gier. Chcę pracować i zarobić trochę grosza, żeby utrzymać rodzinę. Mam swoją dumę. Czy pan ma jeszcze swoją dumę, doktorze?

- Przemineła, nim stoczyłem się na to dno - odparł lekarz i wyłączył długopis. - Jeżeli nie ma pan niczego do dodania, panie Richards...

Wstał. Ten fakt i to, że znów zaczął zwracać się do Richardsa po nazwisku świadczyły, że rozmowę uznał za zakończoną, niezależnie czy Ben miał jeszcze coś do dodania czy też nie.

- Nie.

- Drzwi znajdują się w, korytarzu po prawej. Powodzenia.

- Oczywiście - rzekł Richards.

Grupa, w której przybył Richards, liczyła teraz czterech członków. Nowa poczekalnia była o wiele mniejsza. Po odsiewie zostało może czterdzieści procent do wzięcia udziału w Grach. Ostatni Y i Z przybyli o czwartej trzydzieści. O czwartej w pokoju pojawił się służący z tacą pozbawionych smaku kanapek. Richards wziął dwie i usiadł, żując w milczeniu i słuchając faceta nazwiskiem Rettenmund, opowiadającego niezamordowanie Richardsowi i paru innym sprośne historyjki. Kiedy grupa była już w komplecie, wsadzono ich do windy i zawieszono na piąte piętro. Przeznaczono dla nich olbrzymi salon, umywalnię z toaletami i sypialnię z rzędami łóżek. Poinformowano ich, że gorący posiłek zostanie podany o siódmej.

Richards siedział w milczeniu przez kilka minut, po czym wstał i podszedł do policjanta stojącego przy drzwiach, przez które weszli.

- Czy jest tu jakiś telefon?

Wątpił, by pozwolono mu zadzwonić, ale policjant tylko skinął głową w stronę korytarza. Richards otworzył drzwi i wyjrzał. Telefon wisiał na ścianie. Był to automat. Spojrzał raz jeszcze na policjanta.

- Posłuchaj. Jeżeli pożyczysz mi pięćdziesiąt centów na telefon, to...

- Zjeżdżaj.

Ledwo zdołał się powstrzymać.

- Posłuchaj, chcę zadzwonić do żony. Nasz dzieciak jest chory. Postaw się w moim położeniu... na Boga!

Gliniarz roześmiał się krótko, dławiące, ochryple.

- Wszyscy jesteście jednakowi. Macie historyjkę na każdy dzień w roku. W święta i Dzień Matki pełny technikolor i trójwymiarówka.

- Ty draniu - rzekł Richards. Coś w jego oczach i postawie spowodowało, że policjant skierował nagle wzrok na przeciwległą ścianę.

- Nie jesteś żonaty? Nigdy nie byłeś spłukany i nie musiałeś pożyczać forsy, nawet gdyby to miało przyprawiać cię o mdłości?

Gliniarz nagłym ruchem sięgnął do kieszeni i wyjął kilka żetonów. Wcisnął dwie monety Richardsowi, wsadził resztę do kieszeni, a potem złapał go za skraj kombinezonu pod szyją.

- Jeżeli przyślesz tu jeszcze kogoś tylko dlatego, że Charlie Grady ma miękkie serce, rozwałę ci łeb, sukinsynu.

- Dzięki za pożyczkę - odrzekł spokojnie Richards. Charlie Grady roześmiał się i puścił go. Richards wyszedł na korytarz, podniósł słuchawkę i wrzucił monety do otworu. Brzęknęły donośnie. Przez chwilę w słuchawce zalegała cisza. Jezu! Wszystko na nic! - pomyślał, ale wtedy właśnie usłyszał sygnał. Wykręcił numer powoli, modląc się, aby pani Jenner nie odebrała telefonu w korytarzu. Zanim zdąży rozpoznać jego głos, powie tylko: pomyłka i odłoży słuchawkę, a co za tym idzie - jego pieniądze przepadną.

Dzwonił sześć razy, aż wreszcie usłyszał nieprzyjazny głos:

- Słucham.

- Chciałbym rozmawiać z Sheilą Richards z mieszkania 5C.

- Zdaje się, że wyszła - rzekł głos tonem pełnym zrozumienia. - Wyszła w stronę skrajnego bloku, rozumie pan. Mają chorego dzieciaka. Ten facet jest bezrobotny.

- Proszę tylko zapukać - rzekł, dławiąc słowa w gardle.

- Chwileczkę.

Słuchawka stuknęła o ścianę, wypuszczona z dłoni rozmówcy. W oddali, słabo jak przez sen słyszał, jak właściciel nieprzyjaznego głosu puka do drzwi i krzyczy:

- Telefon, telefon do pani, pani Richards. Pół minuty potem głos powrócił na linię.

- Nie ma jej w domu. Tak jak mówię, kiedy kota nie ma, myszy harcują - głos zarechotał.

Richards chciał przenieść się na drugą stronę linii telefonicznej, wyłonić się tam niczym diabeł z pudełka i zaciskać palce na gardle właściciela niemiłego głosu dopóty, dopóki jego oczy nie wypadłyby z orbit i nie potoczyły się po podłodze.

- Chciałbym zostawić wiadomość - powiedział. - Proszę napisać ją na ścianie, jeżeli będzie pan musiał.

- Nie mam długopisu. Spiesz się. Do widzenia.

- Chwileczkę! - krzyknął Richards z obawą w głosie.

- Jestem. - Po chwili dorzucił: - Idzie po schodach. Richards oparł się o ścianę. W chwilę potem usłyszał w słuchawce cichy, pełen obawy, zmęczony głos Sheili:

- Słucham?

- Sheila - zamknął oczy, pozwalając, by ściana podtrzymała go.

- Ben? Ben? To ty? Nic ci nie jest?

- Nic. Wszystko w porządku. Cathy...czy...?

- Bez zmian. Gorączka nieco spadła, ale ona tak chrypi... Ben, myślę, że w płucach zbiera się jej woda. Co będzie, jak dostanie zapalenia płuc?

- Wszystko będzie dobrze. Będzie dobrze.

- Ja... - przerwała na dłuższą chwilę. - Musiałam wyjść. Musiałam, Ben, zrobiłam dwie rundy dziś rano. Przykro mi. Musiałam załatwić jej trochę lekarstw. Dobrych lekarstw.

Jej głos brzmiał melodyjnie jak psalm.

- To gówno, a nie towar - powiedział. - Posłuchaj. Nie rób tego więcej, Sheila. Proszę. Chyba mi się udało. Naprawdę. Nie odrzuca już chyba nikogo, bo mają sporo gier do obsadzenia. Potrzebują nas, mięsa armatniego. Wszystkim uczestnikom należy się zaliczka. Pani Upshaw...

- Okropnie wygląda w żałobie - przerwała nagle Sheila.

- Nieważne. Zostań z Cathy, Sheila. Nie rób głupstw.

- W porządku. Skończyłam już z tym, raz na zawsze.

Nie uwierzył jej.

- Trzymaj za mnie kciuki, Sheila.

- Kocham cię, Ben.

- Ko...

- Trzy minuty minęły - rozległ się głos operatora. - Jeśli chce pan rozmawiać dalej, proszę wrzucić nową ćwierćdolarówkę albo trzy stare.

- Chwileczkę! - ryknął Richards. - Nie przerywaj tej rozmowy. Rozłącz się, ty...

Usłyszał cichy odgłos przerwanego połączenia. Rzucił słuchawkę. Zawisła na błyszczącym srebrzyście przewodzie, odbiła się od ściany i zaczęła kołysać się wahadłowym ruchem w przód i w tył jak dziwaczny wąż, który raz ukąsił swą ofiarę, a w chwilę potem zakończył swój żywot. Ktoś za to zapłaci - pomyślał Richards, wracając do salonu. - Ktoś za to zapłaci!



Na piątym piętrze znajdowali się do godziny dziesiątej następnego dnia. Richards czuł, jak narasta w nim gniew i frustracja, gdy młody, cukierkowato wyglądający facet w obcisłym kombinezonie Gier nakazał im wsiąść do windy. Cała grupa liczyła około trzystu osób. Sześćdziesięciu zabrano poprzedniej nocy. Wśród nich znajdował się także chłopak opowiadający bez przerwy sprośne historyjki. Pięćdziesięcioosobową grupę zabrano do wytwornie urządzonego, wyłożonego czerwonym pluszem audytorium na szóstym piętrze. Przy każdym z foteli znajdowała się popielniczka. Richards wyciągnął pomietą paczkę papierosów, zapalił. Strzepywał popiół na podłogę. W pomieszczeniu znajdowało się niewielkie podwyższenie, na którym wznosiła się mównica. Na jej blacie stał dzbanek z wodą. Kwadrans po dziesiątej facet w kombinezonie podszedł do mównicy i rzekł:

- Chciałbym przedstawić wam Arthura M. Burnsa, zastępcę dyrektora Gier.
- Skurwiel - rzekł ktoś siedzący za Richardsem.

Przedstawiony w ten sposób mężczyzna z łysiną otoczoną falą siwych włosów stanął na mównicy, kiwając głową jakby w odpowiedzi na burzę oklasków, które tylko on zdołał usłyszeć. Potem uśmiechnął się szerokim, jasnym uśmiechem, który zdawał się przemieniać go w pulchnego, radosnego amorka.

- Chciałbym wam pogratulować. Udało się wam - powiedział.

Rozległo się kolektywne, głośnie westchnienie przetykane stłumionymi chichotami i odgłosami poklepywania po plecach. Zapalono parę papierosów.

- Skurwiel - powtórzył głos.

- Wkrótce dowiecie się, do jakich programów was wyznaczono. Zajmiecie pokoje na siódmym piętrze. Współproducenci programów, w których weźmiecie udział, wyjaśnią wam dokładnie, czego będą od was oczekiwać. Zanim jednak to się stanie, chciałbym jeszcze raz wam pogratulować i powiedzieć, że stanowicie odważną i nader zaradną grupę. Odmówiliście prawa do życia z zasiłków, co oznacza, że chcecie dowieść swojej wartości jako prawdziwi mężczyźni i, o ile mogę tu dodać coś od siebie, jako bohaterowie swoich czasów.

- Gównno - zauważył ponury głos.

- Mówię w imieniu całej Sieci, życząc wam szczęścia i łaski Opatrzności. - Arthur M. Burns zachichotał i zatarł ręce z uciechy. - No cóż, wiem, że chcielibyście już dowiedzieć się, do jakich programów zostaliście zaklasyfikowani, oszczędzę więc wam dalszego gadania.

Boczne drzwi otworzyły się i do audytorium weszło tuzin odźwiernych w czerwonych kombinezonach. Zaczęli wyczytywać nazwiska. Białe koperty zmieniały właścicieli i wkrótce ich strzępy pokryły podłogę. Rozległy się stłumione jęki, chichoty, gwizdy. Arthur M. Burns przyglądał się temu wszystkiemu ze swego podium, uśmiechając się beztrząsko.

- Chryste! To JAK DŁUGO POTRAFISZ TO WYTRZYMAĆ! Nienawidzę gorąca!  
To jakiś podrzędny program, wchodzi zaraz po reklamówkach, rany...

- KARUZELA DOLAROWA! Nie wiedziałem, że z moim sercem jest...

- Miałem nadzieję, że to dostanę, ale nie przypuszczałem, że...

- Hej, Jake, widziałeś kiedyś PRZEŚCIGNĄĆ KROKODYŁA? Myślałem...

- Nic, czego się spodziewałem...

- Nie myślałem, że możesz...

- A niech to...

- To BIEGNIJ PO SWOJĄ BRONĀ...

- Benjamin Richards! Ben Richards!

- Jestem!

Wręczono mu białą kopertę. Rozerwał ją szybko. Jego dłonie drżały i dwa razy sięgał, nim wydobyl wreszcie małą plastikową kartę. Nie było na niej nazwy programu. Napis brzmiał prosto i jasno: WINDA NR 6. Włożył kartę do kieszeni na piersi i wyszedł. Przy pierwszych pięciu windach na końcu korytarza tłoczyli się ci, którzy mieli wjechać na siódme piętro. Czterech innych stało przy zamkniętych drzwiach windy nr sześć. Richards zauważył, że jednym z nich jest właściciel ponurego głosu.

- Co jest? - spytał. - Wracamy za bramę? Mężczyzna o ponurym głosie miał około dwudziestu pięciu lat. Jedno ramię wyglądało jak uschnięte - był to prawdopodobnie skutek przebycia w dzieciństwie choroby Heinego-Medina, która w 2005 roku rozszalała się na terenie Co-Op.

- Wątpię, abyśmy mieli tyle szczęścia - odparł i roześmiał się pusto. - Myślę, że mamy wziąć udział w jakimś większym przedsięwzięciu. To inne gry, nie takie, po których lądujesz w szpitalu z paroma dziurami w brzuchu, wykłutymi oczami czy odciętymi rękami. W tych grach stawką jest twoje życie. Pierwszorzędna gra, koleś.

Wkrótce dołączył do nich szósty, nieźle wyglądający chłopak mrugający oczami i najwyraźniej dziwiący się wszystkiemu, co go otaczało.

- Sie masz, gnojek - rzekł mężczyzna o ponurym głosie.

O jedenastej, gdy zebrano już pozostałych, drzwi windy nr sześć otworzyły się. Za kuloodporną szybą znów znajdował się gliniarz.

- Widzicie? - rzekł ponury facet. - Niebezpieczne z nas typy. Wrogowie publiczni. Chcą się nas pozbyć.

Zrobił minę bezlitosnego gangstera i zasypał oszklone pomieszczenie gradem kul z wymyślanego Stena. Policjant patrzył nań przez chwilę oniemiały.

Poczekalnia na ósmym piętrze była niewielka, wyłożona pluszem; dawała poczucie intymności. Richards miał ją całą dla siebie. Po wyjściu z windy policjanci odprowadzili trzech z nich. Richardsa, mrugającego oczami chłopca i mężczyznę o ponurym głosie zaprowadzono do poczekalni. Recepcjonistka przypominająca jedną z gwiazd starej TV (Liz Kelly? Grace Taylor?) uśmiechnęła się do nich. Siedziała za stołem w alkwie otoczonej masą roślin doniczkowych jak w gąszczu równikowej dżungli.

- Pan Jansky - powiedziała z olśniewającym uśmiechem. - Proszę wejść.

Chłopak mrugający oczami wszedł do drugiego pokoju. Richards i mężczyzna o ponurym głosie, Jim Laughlin, ucięli sobie w tym czasie pogawędkę. Dowiedział się, że Laughlin mieszkał tylko trzy bloki dalej od niego na Dock Street. Pracował dorywczo dopóty, dopóki przed rokiem, jako mechanik w General Atomics nie wziął udziału w strajku protestacyjnym przeciwko nieszczelnym osłonom przed promieniowaniem.

- No cóż, nadal żyję - powiedział. - To jedyne, co się liczy dla tych parszywych sukinsynów. Jestem oczywiście bezpłodny. To nieważne. To ryzyko wliczone w sumę siedmiu dolarów za godzinę.

Kiedy w General Atomics pokazano mu drzwi okazało się, że z chorą ręką nie jest w stanie otrzymać innej roboty. Jego żona, która zachorowała przed dwoma laty na astmę, była obecnie na dobre przykuta do łóżka.

- Wreszcie zdecydowałem się na ten krok - rzekł Laughlin z pełnym gorczy uśmiechem. - Może uda mi się wywalić tych paru drani za okno, zanim chłopcy Mc Cone'a mnie załatwią.

- Czy myślisz, że to naprawdę...

- UCIEKINIER? Pewno, że tak. Daj szluga, koleś.

Richards dał mu papierosa.

Drzwi otworzyły się. Pojawił się w nich mrugający chłopak wsparty na ramieniu roznegliżowanej panienci. Gdy przechodził obok, uśmiechnął się do nich ukradkiem.

- Pan Laughlin, proszę.

Richards został sam, nie licząc recepcjonistki, która znów skryła się w gąszczu roślin. Wstał i podszedł do stojącego w rogu automatu z papierosami. Uznał, że Laughlin musiał mieć rację. Wyjął paczkę blamów, usiadł i zapalił. Dwadzieścia minut potem Laughlin pojawił się, trzymając pod ramię platynową blondynkę.

- Ośłoda życia - powiedział do Richardsa i wskazał na dziewczynę. Zrobiła zabawną minę. Laughlin sprawiał wrażenie cierpiętnika.

- Ten drań mówi wszystko prosto z mostu - rzekł do Richardsa. - No to na razie. Wszedł. Recepcjonistka wychyliła głowę ze swojej norki.

- Panie Richards, proszę do środka.

Wszedł do pokoju bez wahania.

Biuro było olbrzymie. Na dobrą sprawę można by rozegrać w nim partię kregli. Dominowało w nim olbrzymie okno, tworzące jedną ze ścian pomieszczenia, za którą widać było domy klasy średniej, sklepy w strefie doków, zbiorniki ropy i samo Harding Lake. Zarówno woda, jak niebo miały kolor perłowszary - wciąż padał deszcz. Mężczyzna za stołem był czarny. Tak czarny, że przez chwilę Richardsowi wydawał się kimś nierzeczywistym. Przypominał groteskową postać z dawnych kuglarskich przedstawień ulicznych.

- Panie Richards - wstał i wyciągnął rękę nad stołem.

Richards nie drgnął. Facet wydawał się być zupełnie opanowany. Wolno cofnął rękę i usiadł. Obok stołu stało krzesło. Richards zajął miejsce i zgasił papierosa w popielniczce z emblematem Gier.

- Jestem Dan Killian, panie Richards. Wie pan już zapewne, dlaczego się pan tu znalazł. Wyniki pańskich testów świadczą, że jest pan niezwykle bystry.

Richards zacisnął ręce i czekał.

- Został pan zaklasyfikowany do udziału w UCIEKINIERZE, panie Richards. To nasz największy show. Najbardziej lukratywny i niebezpieczny dla jego uczestników. Umowa dla pana czeka tu, na moim biurku. Nie wątpię, że pan ją podpisze, ale najpierw muszę powiedzieć panu, dlaczego właśnie pana wybraliśmy i czego od pana oczekujemy.

Nie odpowiedział. Killian położył akta na blacie stołu. Richards dostrzegł, że na okładce teczki widniało jego nazwisko. Killian otworzył teczkę.

- Benjamin Stuart Richards. Dwadzieścia osiem lat, urodzony ósmego sierpnia 1997 w Harding. Zatrudniony w Manual Trades w południowym sektorze od września 2011 do grudnia 2013. Dwukrotnie zawieszony za niesubordynację. Słyszałem, że kopnął pan w nogę zastępcę kierownika, kiedy ten się odwrócił?

- Bzdura - odrzekł Richards. - Nakopałem mu w tyłek.

Killian skinął głową.

- Wierzę panu, panie Richards. W wieku szesnastu lat ożenił się pan z Sheilą Richards z domu Gordon. Stara zasada. Zawsze był pan buntownikiem, co? Nie należał pan do żadnej organizacji związkowej, odkąd odmówił pan podpisania stosownej przysięgi organizacyjnej. To pana gubernator rejonowy Johnsburg określił mianem „pieprzonego sukinsyna”.

- Tak - rzekł Richards.

- Nie ukrywajmy, miał pan przez to spore kłopoty. Wylewano pana z roboty... zobaczymy... w sumie sześć razy za niesubordynację, znieważanie przełożonych i krytykę władz zwierzchnich.

Richards wzruszył ramionami.

- Krótko mówiąc, jest pan jednostką społeczną, pozbawioną choćby cienia subordynacji. Jest pan dewiantem na tyle sprytnym, by nie dać się wsadzić do więzienia i uniknąć zatargów z rządem. Nigdy nie udało się nikomu pana na niczym przyłapać. Psycholog zespołowy stwierdza, że podczas sesji testowej z zestawów plam wyłaniał pan takie obrazy, jak lesbijki, ekskrementy oraz model przestarzałego pojazdu spalinowego. Doniósł również o nad wyraz wysokim stopniu nieuzasadnionego rozbawienia...

- Przypominał mi chłopaka, którego kiedyś znałem. Podglądał zawsze dziewczyny w przebieralni i onanizował się. Nie wiem, co preferuje pański doktorek.

- Rozumiem. - Killian uśmiechnął się, po czym powrócił do przeglądania akt.

- W pańskich odpowiedziach jest wiele przemocy.

- W tym programie też roi się od przemocy - odparł Richards.

- Z pewnością. No cóż, mówię to nie tylko z ramienia Gier. Mówię to w sensie ogólnonarodowym. Pańskie odpowiedzi nad wyraz mnie niepokoją.

- Obawia się pan, że ktoś mógłby pewnej nocy wysadzić w powietrze cały ten pański system? - spytał Richards z uśmiechem.

- Na szczęście dla nas pozostawił pan fortunę zakładnika, panie Richards. Ma pan osiemnastomiesięczną córkę imieniem Catherine. Czy przyszła na świat omyłkowo?

- Planowaliśmy dziecko - odparł Richards bez cienia złości. - Pracowałem wtedy dla General Atomics. Jak widać, mimo że warunki były wyjątkowo ciężkie, paru kropelkom mojej spermy udało się przeżyć. Żart Boga, kto wie? Widząc ten świat takim, jaki jest, czasami myślałem sobie, że ten nasz mały wagonik musi kiedyś wylecieć z szyn.

- Tak czy inaczej, jest pan tutaj - rzekł Killian, nadal uśmiechając się zimno. - W następnym wtorek weźmie pan udział w UCIEKINIERZE. Widział pan kiedyś ten program?

- Tak.

- Zatem wie pan, że to największy show w Free Vee. Każdy ma szansę wziąć w nim udział. Jestem współtwórcą tego programu.

- To doprawdy wspaniałe - rzekł Richards.

- Ten program to jedyna możliwość dla Sieci pozbycia się pasożytów społecznych, takich, jak nie przymierzając pan, panie Richards. Program idzie nieprzerwanie przez sześć

lat. Do dzisiejszego dnia nikt z jego uczestników nie pozostał przy życiu. Prawdę mówiąc, wcale nie chcemy, by stało się inaczej.

- Jesteście zwykłymi oszustami. Podłymi, zakłamanymi oszustami - rzekł Richards.

Killian wydawał się bardziej rozbawiony niż przerażony.

- Ależ skąd. Niech pan wybije sobie z głowy anachronizmy, panie Richards. Ludzie w barach, w hotelach czy ci stojący na zimnie przed wystawami sklepów nie oczekują pańskiego zwycięstwa. Chcą widzieć pana porażkę, chcą widzieć pańską śmierć i przyczynią się do niej, jeżeli tylko będą w stanie. Im bardziej krwawa będzie jatka na ekranie, tym lepiej. A o to zadba już Mc Cone. Evan Mc Cone i jego łowcy.

- Brzmi jak nazwa jakiegoś zespołu muzycznego - powiedział Richards.

- Mc Cone nigdy nie przegrywa - odrzekł Killian.

Richards uśmiechnął się pod nosem.

- Wydarzenia wtorkowej nocy będą transmitowane na żywo. Programy wieczorne będą prezentowane na zmianę z kolejnymi wejściami na antenę naszego UCIEKINIERA. Wiemy dobrze, że nadawanie tego typu programów polega na umiejętnym dozowaniu napięcia, toteż zazwyczaj przerywamy transmisję, kiedy szczególnie pomysłowy uczestnik znajduje się o krok od... jakby to rzec... swojego Waterloo. Reguły są bardzo uproszczone. Pan albo pańska rodzina wygra sto nowych dolarów za każdą godzinę, jaką uda się panu przeżyć. Stawka początkowa wynosi cztery tysiące osiemset dolarów, jako że przypuszczamy, iż uda ci się zwodzić łowców przez najbliższe czterdzieści osiem godzin. Rzecz jasna, jeżeli wpadniesz w ich ręce przed upływem tego czasu, odpowiednia kwota zostanie potrącona z całości. Masz dwanaście godzin forów. Jeśli uda ci się przetrwać trzydzieści dni, wygrasz Wielką Nagrodę. Miliard nowych dolarów.

Richards pokręcił głową i roześmiał się.

- A więc podzielasz moje zdanie - rzekł Killian z uśmiechem. - Jakies pytania?

- Tylko jedno - odparł Richards, przysuwając się bliżej. Ślady rozbawienia na dobre opuściły jego twarz.

- Jakby się pan czuł, biorąc udział w grze? Będąc Uciekinierem?

Killian roześmiał się. Trzymał się za brzuch. Jego śmiech przetoczył się donośnym echem po pokoju.

- Och, panie Richards, musi mi pan wybaczyć - znowu wybuchnął śmiechem. Wreszcie, wycierając oczy olbrzymią, białą chustką zdołał się uspokoić. - Widzi pan, nie tylko pan ma poczucie humoru, panie Richards. Pan... ja... - znowu chwycił go napad śmiechu. - Trafił pan w mój czuły punkt.



- Zauważyłem.

- Jakież inne pytania?

- Nie.

- I bardzo dobrze. Przed programem odbędzie się specjalne zebranie przygotowawcze. Jeżeli w tym czasie w pańskim nad wyraz rozwiniętym mózgu pojawią się jakieś pytania, proszę je zachować na tę okazję - nacisnął guzik na blacie stołu.

- Oszczędź mi osłody życiowej - rzekł Richards. - Jestem żonaty.

Brwi Killiana uniosły się.

- Jest pan pewien? Wierność to cecha godna podziwu, panie Richards, ale dziś jest piątek. Do wtorku pozostało jeszcze mnóstwo czasu. Zważywszy, że być może już nigdy nie ujrzy pan swojej żony...

- Jestem żonaty.

- No dobrze. - Skinął na stojącą w drzwiach dziewczynę. Ta odwróciła się na pięcie i znikła. - Czy możemy zrobić coś dla pana, panie Richards? Dostanie pan apartament na dziewiątym piętrze. Posiłki będą panu dostarczane do pokoju.

- Chciałbym prosić o butelkę bourbona. I telefon, żebym mógł porozumieć się z żo...

- Niestety, panie Richards. Bourbon oczywiście pan dostanie. Najpierw jednak proszę tu podpisać - podał mu formularz i długopis.

- Do wtorku jest pan dla wszystkich nieosiągalny. Czy mam jeszcze raz poprosić dziewczynę?

- Nie - rzekł Richards, składając swój podpis w oznaczonym miejscu. - Ale byłoby dobrze, gdyby załatwił pan dla mnie nie jedną, a dwie butelki bourbona.

- Oczywiście - Killian wstał i jeszcze raz wyciągnął rękę.

Richards ponownie ją zignorował i wyszedł. Killian patrzył za nim nieruchomymi oczyma. Nie uśmiechał się już...

MINUS 086. ODLICZANIE TRWA

Kiedy Richards przechodził obok, recepcjonistka wychyliła głowę ze swojej nory i wręczyła mu kopertę. Widniały na niej słowa: *Mr Richards. Wydaje mi się, że podczas naszej rozmowy nie wspomniał pan o jednym - mianowicie o tym, że potrzebuje pan pieniędzy. I to jak najszybciej. Mam rację?*

*Wbrew krążącym plotkom pragnę tu zauważyć, iż Koncern Gier nie udziela kredytów. Mając na myśli siebie jako uczestnika jednej z gier, nie może pan uważać się za kogoś szczególnego. Nie jest pan gwiazdorem Free Vee, a jedynie zwykłym rzemieślnikiem, który jest po prostu dobrze opłacany ze względu na szczególnie niebezpieczną pracę, którą wykonuje. Niemniej jednak władze koncernu nie mogą zabronić mi udzielenia panu osobistej pożyczki. W kopercie znajdzie pan 10% pańskich przyszłych zarobków - ostrzegam, nie w nowych dolarach, lecz w kuponach Gier wymienialnych na dolary. Powinien pan przesłać je swojej żonie i zapewne tak pan uczyni - a chciałbym przy tym zaznaczyć, iż kupony te mają jedną przewagę nad nowymi dolarami. Prawdziwy lekarz przyjmie je jako normalny środek płatniczy, podczas gdy zwyczajny znachor - nie.*

*Szczerze oddany Dan Killian*

Richards otworzył kopertę i wyjął gruby plik kuponów oznaczonych symbolami Gier. Było ich czterdzieści osiem - na każdym widniał nadruk dziesięciodolarówki. Ogarnęło go absurdałne uczucie wdzięczności dla Killiana. Nie wątpił, że potrafi on tę kwotę z jego późniejszych zarobków, a ponadto czterysta osiemdziesiąt dolarów było niewielką sumą. Pieniądze te miały być jego ubezpieczeniem, sprawić, by stał się szczęśliwy, a co za tym idzie, pomóc Killianowi w zarobieniu fortuny na kolejnej z Gier.

- Gówno - powiedział.

Recepcjonistka wychyliła głowę.

- Powiedział pan coś, panie Richards?

- Nie. Którędy do wind?

*MINUS 085. ODLICZANIE TRWA*

Apartament był urządzony z przepychem. Podłogi w trzech pomieszczeniach pokrywały dywany imponującej grubości i miękkości. Apartament składał się z salonu, sypialni i łazienki. Odbiornik Free Vee został wyłączony. Błogosławiona cisza zwyciężyła. W wazonach stały kwiaty, na ścianie przy drzwiach widniał guzik podpisany dyskretnie SERVICE. Natychmiastowa obsługa - pomyślał cynicznie. Przed drzwiami apartamentu postawiono dwóch gliniarzy, jakby chciano mieć pewność, że nie będzie wypuszczał się na spacer po korytarzach wieżowca.

Nacisnął guzik i drzwi otworzyły się.

- Tak, panie Richards? - odezwał się policjant. - Bourbon, o który pan prosił zaraz...

- Nie o to chodzi - powiedział. Pokazał gliniarzowi plik kuponów, które Killian zostawił dla niego. - Chcę, żebyś je gdzieś zaniósł.

- Proszę tylko napisać nazwisko i adres, panie Richards, a ja zajmę się resztą.

Znalazł kwit od szewca i napisał na nim adres i nazwisko Sheili. Pomietą kartkę i plik kuponów wręczył policjantowi. Ten odwrócił się na pięcie, chcąc odejść, gdy nagle Richards przypomniał sobie o czymś.

- Chwileczkę!

Policjant odwrócił się. Richards wyjął mu z ręki plik kuponów. Wydarł z niego dziesiątkę wartości jednego nowego dolara, zaginając ją wzdłuż perforowanej linii.

- Znasz policjanta nazwiskiem Charlie Grady?

- Charlie? - policjant zmierzył go wzrokiem. - Tak, znam go. Ma służbę na piątym piętrze.

- Daj mu to - wcisnął mu odcinek kuponu. - Powiedz, że te ekstra 50 centów to procent za pożyczkę.

Gliniarz odwrócił się, ale Richards raz jeszcze go przywołał.

- Chciałbym, aby przyniósł mi pan odpowiedź na piśmie od mojej żony i od Grady'ego. Czy to jasne?

Na twarzy policjanta odmalowało się nieskrywane rozczarowanie.

- Nie ufa pan ludziom, co?

- Owszem - rzekł Richards, uśmiechając się. - To wy mnie tego nauczyliście. Nauczyło mnie tego życie w rejonie Południowego Kanału.

- To będzie niezła zabawa - powiedział gliniarz - patrzeć, jak pana ścigają. Będę siedział jak przymurowany do ekranu, z puszką piwa w ręce.

- Załatw lepiej to, co masz do załatwienia - odparł i zamknął drzwi.

Bourbona przyniesiono dwadzieścia minut później. Richards oznajmił zaskoczonemu dostawcy, że chciałby, aby przysłano mu do pokoju kilka grubych powieści.

- Powieści?

- Książek. No wiesz, czytanie, słowa, prasa ruchoma - pokazywał mu na migi, jak przekłada się kartki.

- Tak jest, proszę pana - odparł z powątpiewaniem.

- Czy ma pan jakieś zalecenie względem obiadu?

- Befszyk. Groszek. Tłuczone ziemniaki. - Boże! - pomyślał. Co miała na obiad Sheila? Pigułki proteinowe i filiżankę syntetycznej kawy? - Masz wszystko?

- Tak. Czy chciałby pa...

- Nie - rzekł Richards, przerywając w pół słowa.

- Nie. Wyjdź stąd. Nie miał apetytu.

Richards z gorzkim rozbawieniem przyznał, że chłopiec na posyłki musiał dosłownie zrozumieć jego polecenie dotyczące książek. Jego jedynym przewodnikiem w ich poszukiwaniu była zapewne linijka. Każda książka, która mierzyła ponad siedem i pół centymetra grubości, odpowiadała jego wymaganiom. Przyniósł Richardsowi trzy pozycje, o których ten nawet nie słyszał. Dwie starocie - „Bóg jest Anglikiem” i „Niejako ktoś obcy” oraz olbrzymie tomiszczce napisane przed trzema laty i zatytułowane „O przyjemności w służeniu”. Richards tę właśnie wybrał na początek i zmarszczył nos. Bohater powieści, biedny chłopczyzna, harował jak wół w General Atomics i wkrótce ze zwykłego mechanika awansował na transportowca. Pracował często nocami (Jak? - zastanawiał się Richards. Grywał w monopol, czy co?). Podczas jakiejś blokowej orgii zakochał się w pięknej dziewczynie. Wkrótce awansował na młodszego technika. Potem nastąpił trzyletni kontrakt małżeński i...

Richards rzucił książką o ścianę. „Bóg jest Anglikiem” była trochę lepsza. Nalał sobie szklankę bourbona z lodem i zagłębił się w lekturze. Zanim rozległo się ciche pukanie, przebrnął przez trzysta stron i miał nieco w czubie. Pierwsza butelka była pusta. Podszedł do drzwi z drugą w dłoni. Powrócił policjant.

- Oto poświadczenia na piśmie, panie Richards - powiedział, a potem zamknął drzwi.

Sheila nic nie napisała, ale posłała mu jedno ze zdjęć Cathy. Spojrzał na nie i poczuł, jak łzy napływają mu do oczu. Włożył zdjęcie do kieszeni i zerknął na drugą kartkę. Charlie Grady napisał na odwrocie biletu dwa krótkie zdania: *Dziękuję, koleś. Wypchaj się.* Richards roześmiał się i upuścił kartkę na podłogę.

- Dzięki, Charlie - rzekł do pustego pokoju. - Tego mi było trzeba.

Raz jeszcze spojrzął na zdjęcie Cathy, która w chwili, gdy je robiono miała cztery dni i wychudzoną, zaczerwienioną buzię. Darła się wtedy jak opętana w beciku, który Sheila uszyła własnoręcznie. Czuł łzy napływające do oczu. Zastanawiał się, czy jest w stanie rozprawić się z drugą butelką, zanim urwie mu się film. Postanowił, że musi to sprawdzić. Prawie mu się udało.

W sobotę Richards leczył potężnego kaca. Przed wieczorem prawie udało mu się go pozbyć. Poprosił, by do kolacji przyniesiono mu jeszcze dwie butelki. Rozprawił się z obiema i w niedzielę rano obudził się, widząc na ścianach sypialni olbrzymie gąsienice łypiące nań olbrzymimi, płonącymi żądzą mordy oczyma. Wtedy właśnie uznał, że w zasadzie nie powinien rujnować swego organizmu zważywszy na to, co czekało go we wtorek i na dobre zarzucił picie.

Kac tym razem mijał wolniej. Wymiotował jak kot, a kiedy nie miał już czym zwracać, znowu zaczęło go suszyć. Około szóstej wieczorem poczuł się trochę lepiej i zażądał zupy na kolację. Nie zamówił bourbona. Poprosił też o tuzin płyt, które mógłby przesłuchać, ale szybko się nimi znudził. Poszedł do łóżka wcześniej. Spał niespokojnie.

Większość poniedziałku spędził na niewielkim, oszklonym tarasie, na który wchodziło się z sypialni. Dzień, w którym na przemian opalał się i brał prysznic, był dość przyjemny. Przeczytał dwie powieści, poszedł do łóżka wcześniej i tym razem spał nieco lepiej. Miał nieprzyjemny sen. Sheila nie żyła, a on poszedł na jej pogrzeb. Ktoś wydobył ciało z trumny i włożył jej do ust groteskowo wyglądającą kopię pliku nowych dolarów. Próbował dostać się do niej, by wyjąć z jej ust obrzydliwe brzemie, ale mocne dłonie chwyciły go od tyłu i przytrzymały. Trzymało go dwunastu gliniarzy. Jednym z nich był Charlie Grady. Uśmiechał się i mówił:

- Oto co czeka takich straceńców jak ty, koleś.

Przyłożyli mu lufy rewolwerów do głowy i w tej samej chwili obudził się.

- Wtorek - powiedział do siebie i wstał. Spojrzawszy na wiszący na ścianie modny zegar, przekonał się, że było dziewięć po siódmej. Transmisja na żywo UCIEKINIERA w całej Ameryce Północnej rozpocznie się za niecałe jednaście godzin. Poczul narastający strach. Za dwadzieścia trzy godziny rozpocznie się dla niego prawdziwa Gra.

Wziął długi, gorący prysznic, ubrał się w kombinezon i zamówił na śniadanie jajka na szynce. Nakazał także chłopcu na posyłki, by przyniósł mu do pokoju karton papierosów. Przez resztę poranka i wczesne popołudnie czytał. Wybiła właśnie druga, gdy rozległo się głośne pukanie do drzwi. Do pokoju weszło trzech policjantów i Arthur M. Burns, sprawiający wrażenie przygłupa. Wyglądał po prostu śmiesznie, ubrany w podkoszulek z emblematem Gier. Wszyscy gliniarze mieli przy sobie pałki.

- Czas na ostatnią odprawę, panie Richards - rzekł Burns. - Czy byłby pan...?

- Jasne - odpowiedział.

Zaznaczył sobie, w którym miejscu zakończył czytanie książki i odłożył ją na stół. Poczł, jak nagle zaczyna ogarniać go strach. Był bliski przerażenia. Z zadowoleniem stwierdził, że pomimo to nie drżą mu ręce.

Dziesiąte piętro gmachu Gier różniło się od pozostałych. Richards wiedział, że tu kończy się jego podróż w górę. Wrażenie wspinania się, które zaczynało się od holu na poziomie ulicy, kończyło się właśnie tutaj. W studiu telewizyjnym hol był szeroki i biały. Jasnożółte gokarty zasilane bateriami słonecznymi kręciły się tu i tam, wożąc techników Free Vee do studia i pomieszczeń kontrolnych.

Jeden z pojazdów czekał na nich przed drzwiami windy. Wsiedli do niego w pięciu - Richards, Burns i gliniarze. Richards przykuwał uwagę ludzi znajdujących się na korytarzu. Jakaś kobieta ubrana w żółty, kusy kombinezon Gier posłała mu całusa. Pokazał jej palec. Podróż poprzez tuziny połączonych z sobą korytarzy ciągnęła się bardzo długo. Zauważył najmniej dziesięć studiów telewizyjnych, a w jednym dostrzegł nawet okrutną karuzelę z programu Karuzela Dolarowa. Grupa turystów chciała wypróbować jej działanie. W chwilę potem Richards usłyszał ich gardłowy rechot.

Wreszcie zatrzymali się przed drzwiami, na których widniał napis: UCIEKINIERY - WSTĘP WZBRONIONY. Burns skinął na strażnika siedzącego w pomieszczeniu otoczonym kuloodpornymi szybami obok drzwi, a potem spojrzał na Richardsa.

- Włóż kartę identyfikacyjną w otwór między budką strażnika i drzwiami - powiedział.

Wykonał polecenie. Karta zniknęła w otworze, a w pomieszczeniu strażnika rozblęskło światło. Strażnik nacisnął guzik i drzwi otworzyły się. Richards wsiadł do gokarta, po czym pojazd wjechał do pokoju znajdującego się za drzwiami.

- Gdzie jest moja karta? - spytał.

- Nie będzie ci już potrzebna.

Znajdowali się w pomieszczeniu kontrolnym. Przy konsolce siedział łysy technik wpatrujący się w ekran monitora i czytający numery do mikrofonu. Po lewej, przy stoliku siedział Dan Killian i dwóch innych, nie znanych Richardsowi ludzi. Przed każdym stała oszroniona szklaneczka. Jeden mężczyzna sprawiał wrażenie zaprzyjaźnionego z Killianem i najprawdopodobniej, sądząc po wyglądzie, wcale nie był technikiem.

- Witam, panie Richards. Może drinka?

Richards poczuł pragnienie. Na dziesiątym piętrze pomimo wielu urządzeń klimatyzacyjnych było dość gorąco.

- Rooty-Toot, jeśli można - powiedział.



Killian wstał, podszedł do barku i zdjął wieczko z plastikowej butelki. Richards usiadł i ze skinieniem głowy przyjął od niego napój.

- Panie Richards, ten gentleman po mojej prawej, to Fred Victor, dyrektor UCIEKINIERA. Ten drugi, którego pewno pan zna, to Bobby Thompson.

Thompson był gospodarzem i prezydentem UCIEKINIERA. Miał na sobie zielony, lekko opalizujący garnitur. Jego włosy były stalowosrebrne i na tyle atrakcyjne, że aż mogły się wydać podejrzane.

- Farbuje je pan? - spytał Richards.

- Że co? - brwi Thompsona pomknęły w górę.

- Nieważne - odrzekł Richards.

- Będzie pan musiał tolerować niezwykle zachowanie pana Richardsa... - rzekł Killian uśmiechając się. - Ma dość dziwne i raczej niezbyt wyrafinowane poczucie humoru.

- To dość zrozumiałe - rzekł Thompson, zapalając papierosa.

Richards czuł, jak z wolna narasta wokół niego atmosfera nierealności.

- W tych okolicznościach...

- Proszę, panie Richards, niech pan tu podejdzie na chwilę - rzekł Victor, przejmując pałeczkę. Poprowadził Richardsa przed rząd ekranów po drugiej stronie pokoju. Technik zakończył swoją pracę i wyszedł. Victor wcisnął dwa guziki i na jednym z monitorów pojawiła się plansza UCIEKINIERA.

- Zawsze prowadzimy nasz program na żywo. Jesteśmy zdania, że to dodaje mu spontaniczności i atrakcyjności. Zaczynamy o szóstej. To najlepsza pora. Bobby znajduje się zwykle na scenie środkowej. Na początek przedstawi głównego uczestnika UCIEKINIERA, to znaczy ciebie. Na monitorze ukaże się kilka twoich zdjęć. Wyjdiesz na scenę prawą pod eskortą dwóch strażników. Będą uzbrojeni w policyjne śrutówki. Pałki byłyby pewno praktyczniejsze, gdybyś zdecydował się stawiać opór, ale śrutówki dają lepszy efekt widowiskowy.

- Jasne - przyznał Richards. - Spodziewamy się raczej sporej publiczności. To też wzmacnia efekt widowiskowy.

- A nie macie czasem zamiaru postrzelać do mnie ślepyimi nabojami? - spytał Richards. - Moglibyście okleić mnie paroma woreczkami z krwią. Wyobrażacie sobie te bryzgi aż pod sufit? To dopiero byłby widowiskowy efekt!

- Uważaj trochę, proszę - rzekł Victor. - Ty i strażnicy wchodzicie, kiedy prowadzący zapowie cię. Bobby przeprowadzi z tobą krótki wywiad. Możesz mówić wtedy, co ci się spodoba. To wszystko składa się na efekt widowiskowości. Jakies dziesięć po szóstej

dostaniesz pieniądze za pierwsze czterdzieści osiem godzin i wyjdiesz. Zejdiesz ze sceny już bez eskorty strażników. Jasne?

- Tak. Co z Laughlinem?

Victor zasepił się i zapalił papierosa.

- Wyruszy za tobą o szóstej piętnaście. Wysyłamy dwóch uciekinierów, bo często jeden, hm, nie jest w stanie długo zwodzić łowców.

- A ten dzieciak to jakby moje wsparcie?

- Pan Jansky? Niech się pan o nic nie martwi, panie Richards. Po zejściu ze sceny otrzyma pan małe urządzenie wielkości paczki papierosów. Waży trzy kilogramy. Wewnątrz tego urządzenia znajduje się sześćdziesiąt taśm, każda o długości czterech cali. Urządzenie to bez trudu mieści się w kieszeni kurtki. To tryumf nowoczesnej technologii.

- Nadzwyczajne.

Victor zacisnął wargi.

- Dan mówił ci już, Richards, jesteś bohaterem tylko dla oglądających cię ludzi. Dla nas jesteś zwykłym pracownikiem. Obserwujemy twój udział w grze tylko pod tym kątem. Radzę ci, abyś ty także zmienił swój punkt widzenia. Poszczególne taśmy możesz wrzucać do skrzynek pocztowych, a my otrzymamy je ekspresem jeszcze tej samej nocy. Jeżeli nie prześlesz dwóch taśm w ciągu dnia, potracimy ci odpowiednią sumkę z kwoty, którą wygrasz.

- Ale ja przecież będę ścigany...

- Owszem. Dlatego wysyłaj taśmy pocztą. W ten sposób będziesz miał pewność, że się nie zdradzisz. Łowcy działają wyłącznie na bazie komunikatów radiowych.

Richards wątpli w jego słowa, ale nic nie powiedział.

- Po otrzymaniu wyposażenia zostaniesz doprowadzony do windy, która zwiezie cię na ulicę. Znajdziesz się na Rampart Street. Od tej chwili będziesz zdany tylko na siebie. - Przerwał. - Jakies pytania?

- Nie.

- No to pan Killian ma jeszcze jedną sprawę do ciebie.

Wrócili do stolika, przy którym Killian prowadził dyskusję z Burnsem. Richards poprosił o kolejnego drinka.

- Panie Richards - rzekł Killian, szczerząc do niego zęby. - Jak pan wie, opuszcza pan studio nieuzbrojony. To nie oznacza jednak, że nie wolno panu posiadać czy używać broni. Na Boga, nie! Pan lub pańska rodzina otrzyma premię w wysokości stu dolarów za każdego Łowcę lub przedstawiciela prawa, którego uda się panu zlikwidować.

- Wiem, nie musisz mi mówić - rzekł Richards. - Efekt widowiskowy.

Killian uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Jest pan domyślny. To prawda. Niech pan tylko nie zacznie kosić Bogu ducha winnych przechodniów na ulicach. Nie chodzi tu przecież o rzeź.

Richards nie odpowiedział.

- Inny aspekt programu.

- Wiem, wiem, kapusie i niezależni kamerzyści.

- To nie są kapusie. To dobrzy obywatele Ameryki Północnej. - Trudno powiedzieć czy Killian naprawdę poczuł się urażony, czy też przemówiła przez niego wrodzona ironia. - Tak czy inaczej na każdego ze ścigających pana ludzi przypada ich ośmiuset. Za każdą informację o miejscu pana pobytu dostają sto nowych dolarów. Za informację, dzięki której przyczynią się do pańskiej śmierci, tysiąc dolarów. Niezależni kamerzyści dostają od dziesięciu dolarów wwyż.

- Wyjedź na Jamajkę za forszę splamioną krwią - Richards rozłożył ręce szeroko. - Dostaniesz zdjęcie na setkach trójwymiarowych tygodniówek. Bądź idolem milionów. Tylko hologram pozwoli uchwycić detale.

- Wystarczy - rzekł cicho Killian.

Bobby Thompson czyścił paznokcie, Victor wywędrował gdzieś i słychać było jak wrzeszczy na kogoś, kto ustawił kamerę pod złym kątem. Killian nacisnął guzik.

- Panna Jones? Czekamy na panią, słodziutka. - Wstał i znów wyciągnął rękę. - Pora na ostatnią kosmetykę, panie Richards. Potem czekają na pana światła sceny. Spotkamy się dopiero po programie, zanim pan wyruszy, a więc...

- To dla mnie wielki zaszczyt - rzekł Richards. Nie podał mu ręki.

Panna Jones czekała już na niego. Była godzina druga trzydzieści.

## *MINUS 081. ODLICZANIE TRWA*

Richards stał za kulisami w towarzystwie dwóch uzbrojonych policjantów, nasłuchując trwającej w studiu prezentacji. Tłum głośnym aplauzem witał każde stwierdzenie Bobby Thompsona. Był zdenerwowany. Wściekał się za to na siebie, ale podenerwowanie mimo to nie mijało. Była godzina szósta.

- Pierwszy uczestnik to młody, zdolny mieszkaniec naszego miasta, jego południowej dzielnicy. Pochodzi z Południowego Bloku nad Kanałem - mówił Thompson.

Na monitorze pojawiło się zdjęcie Richardsa w jego starym kombinezonie roboczym, zrobione przed paroma dniami ukrytą kamerą. Wykonano je prawdopodobnie w poczekalni na piątym piętrze. Było wyretuszowane, uznał Richards. Powiększono mu cienie pod oczyma, obniżono czoło i uwydatniono zapadłe policzki. Jego usta zamarły w dziwnym grymasie. Tak czy inaczej Richards na monitorze był przerażający - prawdziwy anioł w mieście zagłady - brutalny, niezbyt inteligentny potwór w ludzkiej skórze obdarzony iście zwierzęcą przebiegłością. Czarny lud - upiór, jaki może się przyśnić właścicielom apartamentów którejs z centralnych dzielnic.

- Otóż i on. Benjamin Richards. Lat dwadzieścia osiem. Zapamiętajcie jego twarz! Za pół godziny rozpocznie swoją wędrówkę. Zapamiętajcie! Każda informacja na jego temat może przynieść wam sto nowych dolarów! Informacja, wskutek której ten człowiek zostanie zabity, przyniesie wam tysiąc nowych dolarów. I ty możesz je otrzymać!

Richards rozmyślał. Nagle usłyszał coś, co wybiło go z odrętwienia.

- Oto kobieta, która otrzyma nagrodę. Jej wysokość zależeć będzie od tego, czy i kiedy Benjamin Richards wpadnie w którąś z zasadzek Łowców!

Zdjęcie ukazywało Sheilę.. ale... widać było, że retuszujący człowiek potraktował kobietę ciężką ręką. Rezultat był wstrząsający. Słodka, w sumie niebrzydka twarz zmieniła się w oblicze starej, pomarszczonej, brudnej kobiety. Pełne, nadęte wargi, oczy skapca, błyszczące i olbrzymie, podwójny, tłusty podbródek opadający na coś, co wyglądało jak nagie piersi.

- Sukinsyny! - ryknął Richards. Rzucił się naprzód, ale mocne ramiona przytrzymały go w miejscu.

- Spokojnie koleś, to tylko fotka!

Reakcja tłumu była natychmiastowa. W studiu rozbrzmiały okrzyki: Hej, ho! Zabierzcie stąd tego potwora! Załatwcie go! Zatłuczcie tego sukinsyna! Wynocha z nim!

Bobby Thompson uniósł obie ręce i okrzykiem poprosił o ciszę.

- Posłuchajmy, co on sam ma nam do powiedzenia.

Na chwilę zapadła cisza. Richards stanął niczym rozjuszony byk w blasku reflektorów, z nisko spuszczoną głową. Wiedział, że wzbudza tym nienawiść tłumu ku uciesze twórców programu, ale nic na to nie mógł poradzić. Spojrzał na Thompsona poczerwieniałymi oczami.

- Któryś z was zeżre własne jaja za zdjęcie mojej żony, które tu przed chwilą pokazaliście - oznajmił.

- Proszę dalej, panie Richards - krzyknął Thompson z nutą pogardy w głosie. - Nic panu nie grozi. Na razie!

Tłum znów zareagował serią dzikich okrzyków. Richards nagle zwrócił się twarzą do ludzi. Wszyscy umilkli, jakby ktoś niewidzialny wymierzył im w jednej chwili siarczysty policzek. Kobiety patrzyły na niego z dreszczykiem przerażenia i podniecenia zarazem. Mężczyźni uśmiechali się z żądzą mordy w oczach.

- Dranie! - krzyknął. - Jeżeli chcecie zobaczyć czyjaś śmierć i to do tego w męczarniach, dlaczego nie wymordujecie się nawzajem?

Jego ostatnie słowa utonęły we wrzasku. Niektórzy z widzów, być może opląceni, próbowali wdrzeć się na scenę. Policjanci odciągnęli ich bez trudu. Richards patrzył na ich twarze, zdając sobie sprawę, jak musi teraz wyglądać.

- Dziękuję, panie Richards, za niezwykle interesującą wypowiedź - pogarda w głosie prowadzącego była wyraźna, a tłum, który zamilkł na chwilę, łąpczywie chłonał słowa Thompsona.

- Czy zechciałby pan powiedzieć zebranim tu gościom i widzom przed odbiornikami, jak długo zamierza pan wytrzymać?

- Chciałbym powiedzieć wszystkim zebranym tu w studiu i w domach, że osoba przedstawiona przed chwilą na zdjęciu nie jest moją żoną. Zdjęcie zostało spreparowane!

Tłum znów wybuchnął. Okrzyki wściekłości osiągnęły pułap bliski białej gorączce. Thompson odczekał blisko minutę, by nieco przycichli, po czym powtórzył:

- Jak długo zamierza pan wytrzymać, panie Richards?

- Całe trzydzieści dni - odparł Richards spokojnie. - Wątpię, by ktoś z was był w stanie mnie powstrzymać.

Nowe okrzyki. Wymachiwanie pięściami. Ktoś rzucił pomidorem. Bobby Thompson stanął twarzą do tłumu i krzyknął:

- A teraz brawami pożegnajmy schodzącego ze sceny pana Richardsa i zapamiętajmy jego ostatnie słowa! Jutro w południe rozpocznie się pościg! Zapamiętajcie jego twarz. Może stać obok was w pneumobusie, siedzieć parę miejsc przed wami na pokładzie odrzutowca, możecie spotkać go na seansie w kinie albo w kręgielni. Dziś jest w Harding. Jutro może w Nowym Jorku? Albuquerque? Columbus? Czy gdy zobaczycie, jak przechodzi przed waszym domem, doniesiecie o tym Sieci?

- Taak! - ryknęli zgodnym chórem.

Richards nagle pokazał im palec. Dwa palce. Tym razem atak tłumu na scenę nie był symulowany. Richards został wyprowadzony tylnym wyjściem, bo w przeciwnym wypadku rozerwaliby go na strzępy przed kamerami, a co za tym idzie, pozbawiliby Koncern Sieci możliwości zarobienia fortuny na kolejnym wydaniu największej i najpopularniejszej ze wszystkich Gier.

Killian był wniebowzięty i nie ukrywał swego zadowolenia.

- Wspaniały występ, panie Richards. Cudowny! Boże, żebym tak mógł dać panu premię! I te palce! Coś wspaniałego!

- Przejdźmy do konkretów - rzekł Richards. - Daj mi ten sprzęt i idź się pierdol.

- To byłoby raczej niemożliwe - rzekł Killian, ciągle się uśmiechając. - Ale proszę, oto pańska kamera. - Wziął aparat od technika. - Naładowana i gotowa do użycia. A tu są taśmy. - Wręczył Richardsowi małe, zadziwiająco ciężkie pudełko owinięte w natłuszczoną szmatę.

Richards wrzucił aparat do jednej kieszeni kurtki, a paczkę z taśmami do drugiej.

- Gdzie jest winda?

- Nie tak szybko - rzekł Killian. - Masz jeszcze minutkę... dokładnie dwanaście minut. Twoje dwanaście godzin forów rozpoczyna się oficjalnie o szóstej trzydzieści.

Z sali znów dobiegały okrzyki wściekłości. Spoglądając przez ramię, Richards zauważył, że na scenie pojawił się Laughlin. Sercem był teraz przy nim.

- Lubię cię, Richards. Myślę, że sprawisz się dzielnie - rzekł Killian. - Masz swój styl. Jesteś może trochę nieokrzesany, ale podobasz mi się. Jestem kolekcjonerem, wiesz o tym. Sztuka jaskiniowa i arcydzieła egipskie, oto moja domena. Bardziej mi pasujesz do epoki jaskiniowej niż do okresu kultury egipskiej, ale to naprawdę nieważne. Chciałbym, abyś przetrwał, stał się częścią mojej kolekcji, tak jak przetrwały malowidła naskalne w jaskiniach Azji.

- Zrób sobie zapis pomiaru moich fal mózgowych, ty draniu. Badaliście je przecież.

- Chciałbym dać ci dobrą radę - ciągnął Killian, zignorowawszy go. - Nie masz szans. Cały kraj ruszy za tobą w pościg. Łowcy mają do swojej dyspozycji najnowocześniejsze urządzenia i są naprawdę doskonale wyszkoleni. Nie wychylaj się, a pociągniesz dłużej. Rób użytek z nóg, a nie z broni. Spróbuj zmieszać się z tymi, którzy są po twojej stronie. - Skinął palcem na Richardsa. - Nie mam na myśli przygłupów klasy średniej, takich jak ci tam. Oni cię nienawidzą. Jesteś symbolem wszystkich ich obaw w tych mrocznych czasach. To, co tam widziałeś, tylko po części zostało przez nas przygotowane. Oni cię naprawdę nienawidzą, Richards. Czujesz to?

- Tak - odparł Richards. - Czuję. I też ich nienawidzę.

Killian uśmiechnął się.

- Dlatego właśnie oni cię wykończą. - Wziął go za rękę. Uścisk był zadziwiająco mocny. - Tędy.

Za nimi Laughlin i Bobby Thompson przedstawiali swoje widowisko ku uciesze tłumu. Szli białym korytarzem, a ich kroki odbijały się głośnie echem. Byli sami. Na końcu korytarza znajdowały się drzwi.

- Tu musimy się rozstać - rzekł Killian. - Winda na ulicę. Dziewięć sekund.

Po raz czwarty wyciągnął rękę i po raz czwarty Richards odmówił jej uściśnięcia. Zawahał się na chwilę.

- A co by się stało, gdybym spróbował dostać się na górę? - spytał, skinąwszy głową w stronę sufitu i osiemdziesięciu pięter wzbijających się nad nim w niebo. - Kogo mógłbym zabić tam, na górze? Kogo mógłbym uśmiercić, gdyby udało mi się dotrzeć na sam szczyt?

Killian roześmiał się i nacisnął guzik obok windy. Drzwi otworzyły się raptownie.

- Za to cię właśnie lubię. Potrafisz główkować.

Richards wszedł do windy. Drzwi zaczęły się zamykać.

- Nie wychylaj się - powtórzył Killian, a potem Richards został sam.

Winda ruszyła w dół, w stronę ulicy.



Drzwi windy otworzyły się. Wyszedł prosto na ulicę. Przy frontonie Parku Pamięci Nixona stał policjant, ale nie zauważył, jak Richards wychodzi z kabiny. Poklepywał się pałką po udzie i spoglądał w przestrzeń mimo stale padającej mżawki. Wraz z mżawką do miasta zawitał świt. Światło tajemniczo zaczęło przebijać zasłonę mroku, a ludzie na Rampart Street poruszający się wolno w cieniu Gmachu Gier byli jedynie niematerialnymi cieniami. Richards uznał, że i on sam musi być w tej chwili trudno dostrzegalny. Oddychał ciężko wilgotnym, przesyconym siarką powietrzem. Mimo ohydneho posmaku siarki powietrze orzeźwiło go. Czuł się tak, jakby przed chwilą wyszedł z więzienia. Dziwił się, bo przecież w zasadzie jego podróż polegała tylko na przechodzeniu z jednego pomieszczenia do drugiego. Powietrze było dobre. Orzeźwiało.

„Próbuj mieszać się z tymi, którzy są po twojej stronie” - przypomniał sobie słowa Killiana. Richards sam doszedł do tego wniosku. Wiedział, że pościg przybierze największe rozmiary na terenie Co-Op City, kiedy minie jego ustalony czas, o dwunastej w południe. Wtedy będzie już daleko.

Przeszedł trzy bloki i zatrzymał taksówkę. Miał nadzieję, że odbiornik Free Vee w samochodzie będzie wyłączony, w tym jednak aparat włączony był na pełen regulator. Nadawano przez cały czas transmisję UCIEKINIERA.

- Dokąd, koleś?

- Robert Street.

Ulica oddalona była o pięć bloków od miejsca, do którego zmierzał. Kiedy kierowca wysadzi go tam, postara się jak najszybciej dotrzeć do mieszkania Molliego. Wóz ruszył na pełnych obrotach, stary silnik spalinowy dawał z siebie wszystko. Wtórowało temu dudnienie tłoków i ogólny, zagłuszający wszystko hałas. Richards oparł się wygodnie na siedzeniu, wciskając się w jak najgłębszy cień z nadzieją, że kierowca go nie rozpozna.

- Hej, widziałem cię we Free Vee - oświadczył taksówkarz. - Ty jesteś ten... Pritchard!

- Pritchard. Zgadza się - odpowiedział z rezygnacją.

Gmach Gier pozostał za nimi. Psychologiczny cień zniknął w głębiach jego mózgu jak cień malejącego w oddali budynku, pomimo że numer z taksówkarzem mimo wszystko spalił na panewce.

- Jezus, twarżesz z ciebie, chłopie! Poważnie. Oni cię załatwią, jak rany, zatłuką cię. Wiesz o tym? Rozpieprzą cię. Musisz być prawdziwym facetem z jajami.

- Owszem. Mam jaja. Dwie sztuki. Tak jak i ty.

- Dwa! - powtórzył taksówkarz. Był najwyraźniej wniebowzięty. - Jezu! To niesłychane! Wyobrażasz sobie co będzie, jak powiem żonie, że wiozłem cię moją gablotą? Wścieknie się. Będę musiał ich, rzecz jasna, powiadomić, ale na Boga, nie dostanę za to ani centa. Taksiarze muszą mieć choć jednego świadka, który potwierdzi ich zeznanie. Wiesz, jak to jest. Przy moim szczęściu na pewno nikt nie widział, jak wsiadałeś do tego wozu.

- Szkoda - rzekł Richards. - Przykro mi, że nie możesz im pomóc mnie zabić. Mam zostawić kartkę, że tu byłem?

- A mógłbyś? To by było...

Przejechali właśnie na drugą stronę Kanału.

- Wysadź mnie tu - rzekł nagle Richards. Wyjął dolara z koperty, którą wręczył mu Thompson i rzucił na przednie siedzenie.

- Powiedziałem coś, czy jak? Ja nie chciałem.

- Nie - odparł Richards.

- Czy mógłbyś zostawić tę kartkę?

- Wypchaj się, palancie.

Wysiadł i ruszył w stronę Drummond Street. Miał przed sobą wyłaniające się z rzadziejącego mroku, wzbijające się w niebo budynki Co-Op City. Z oddali dobiegł go okrzyk taksówkarza:

- Mam nadzieję, że już wkrótce cię dorwą, skurwielu!

Przeszedł przez podwórze. Przez postrzępioną dziurę w ogrodzeniu oddzielającym jedną nagą asfaltową pustynię od drugiej. Przez opuszczony plac budowy. Zatrzymał się w cieniu budynku, kiedy z rykiem minął go sznur motocykli, a reflektory zabłyśły w mroku jak szalone oczy grasujących nocą wilkołaków. Potem przeskoczył przez ostatnie ogrodzenie, raniąc się w dłoń i zapukał w tylne drzwi posesji Molliego Jernigana. Mollie prowadził lombard na Dock Street, gdzie facet mający dość pieniędzy mógł nabyć specjalną policyjną pałkę, strzelbę śrutową, pistolet maszynowy, heroinę, kokainę, środki odurzające, seks-lalkę albo opłacić prawdziwą dziwkę. Tu mógł poznać adres jednego z trzech klubów hazardowych, burdeli lub setek innych, mniej popularnych nielegalnych lokali. Jeżeli Mollie nie miał na składzie tego, czego było potrzeba, na pewno bardzo szybko zdołałby to załatwić. Włącznie z fałszywymi dokumentami.

Kiedy Mollie spojrział przez judasza i rozpoznał stojącą w półmroku postać, uśmiechnął się i rzekł:

- Czemu nie pójdziesz sobie stąd, przyjacielu? Nigdy cię nie widziałem.
- Nowe dolce - mruknął od niechcenia Richards.

Nastąpiła chwila ciszy. Richards z pewnym niedowierzaniem przyglądał się wypukłości swej kieszeni. Drzwi otworzyły się szybko, jakby Mollie obawiał się, że Richards może zmienić zdanie. Richards wszedł do środka. Znajdowali się w pomieszczeniu z tyłu sklepu, gdzie właściciel znosił kradzione instrumenty muzyczne, aparaturę i pudła z nabytymi na czarnym rynku artykułami spożywczymi. Mollie miał w sobie coś z Robin Hooda. Łupił bogatych łajdaków z centrum, jak tylko mógł i sprzedawał swoim okolicznym sąsiadom po aktualnej cenie, a czasami nawet taniej, jeżeli któremuś z kumpli bieda mocno dała się we znaki. W Co-Op City miał nieskazitelną reputację. Jeżeli gliniarz spytał któregoś z informatorów z południowej dzielnicy o Molliego Jernigana, ten odpowiedziałby, że jest to podstarzały gość trudniący się wymuszaniem łapówek i handlem czarnorynkowym. Ludzie przejawiający tendencję do seksualnej perwersji mogliby zapewne opowiedzieć glinom coś innego, ale policja obyczajowa już dawno temu została rozwiązana. Wszyscy wiedzieli, że obyczajówka to przejaw wstecznictwa w każdym z krajów, w którym z dnia na dzień narastają rewolucyjne przemiany. W centrum wiedziano, że Mollie zajmuje się załatwianiem fałszywych dokumentów dla mieszkańców południowej dzielnicy. Richards wiedział też, że

załatwienie lewych dokumentów dla kogoś tak obecnie poszukiwanego jak on będzie wyjątkowo niebezpieczne.

- Jakie dokumenty? - spytał Mollie, wzdychając ciężko i przekręcając lampę tak, by jej światło padało na blat stołu. Stół był jednocześnie pracownią starego, blisko siedemdziesięcioletniego mężczyzny, którego włosy w jasnym świetle lampy błyszczały jak prawdziwe srebro.

- Prawo jazdy, karta Military Service, Identyfikator Uliczny, Karta Naukowa, Socjalna Karta Emeryturowa.

- To łatwe. Sześćdziesiąt dolców, dla każdego prócz ciebie, Bennie.

- Zrobisz to dla mnie?

- Dla twojej żony. Dla ciebie nie. Nie mam zamiaru kłaść głowy pod topór dla kogoś takiego jak ty, Bennie Richards.

- Jak długo to potrwa, Mollie?

- Znając twoją sytuację, będę musiał się pospieszyć. Godzinę na każdą z kart.

- Pięć godzin. Czy mogę pójść...

- Nie, nie możesz. Zwariowałaś, Bennie? W zeszłym tygodniu był u was glina. Przywiózł kopertę dla twojej żony. Przyjechał czarnym wozem razem z sześcioma innymi. Flapper Donnigan stał wtedy na rogu z Geny Hanrahanem. Opowiedział mi wszystko. Jest miękki, wiesz o tym.

- Wiem, że jest miękki - rzekł niecierpliwie Richards. - To ja wysłałem pieniądze. Czy ona...

- Kto wie? Kto widział? - Mollie wzruszył ramionami i zmrużył oczy, przygotowując miejsce pracy w samym środku kręgu światła rzucanego przez lampę. - Wokół twojego domu ustawiono czterech gliniarzy, Bennie. Każdy, kto się tam zjawi, skończy w piwnicy na rozmowie z gumowymi pałami. Nikomu do tego nie spieszno, nawet jeśli chodzi tu o twoją żonę. Chcesz jakieś szczególne nazwisko na tych dokumentach?

- Nieważne jakie, byle brzmiało z angielska. Jezu, Mollie przecież ona musiała wychodzić po zakupy! A lekarz...

- Wysłała chłopaka od Budgie'ego Sancheza. Nie pamiętam jego imienia.

- Walt.

- O, właśnie. Coraz częściej zapominam imion różnych ludzi. Starzeję się, Bennie. - Spojrzał nagle na Richardsa. - Pamiętam, że kiedyś był taki słynny facet, Mick Jagger. Pewno nawet o nim nie słyszałeś?

- Wiem, kim on był - odparł Richards. Odwrócił się do okna wychodzącego na ulicę. Bał się. Sheila i Cathy również znalazły się w pułapce. Przynajmniej dopóki...

- Nic im nie jest, Bennie - powiedział cicho Mollie. - Trzymaj się tylko od nich z daleka. Jesteś teraz dla nich niczym trucizna. Rozumiesz?

- Tak - odparł Richards.

Nagle ogarnęła go czarna rozpacz. Tęsknię za domem - pomyślał ze zdziwieniem. Ale było to coś o wiele gorszego. Wszystko wokoło zdawało się być tak nierealne. Twarze pojawiały się przed jego oczami jak w upiornym tańcu - Laughlin, Burns, Killian, Jansky, Mollie, Cathy, Sheila. Patrzył w ciemność, podczas gdy dreszcze wstrząsały jego ciałem. Mollie zabrał się do pracy, podśpiewując jakąś starą piosenkę z lat swojej młodości, w której pojawiała się wzmianka o oczach jakiejś Betty Davis - kto to w ogóle był, do diabła?

- Był perkusistą - rzekł nagle Richards. - Grał w angielskiej grupie The Beatles. Mick McCartney.

- Ech, wy, dzieciaki - rzekł Mollie, pochylając się nad stołem. - To wszystko, co wiecie...

Wyszedł od Molliego dziesięć po dwunastej lżejszy o tysiąc dwieście dolarów. Paser przefarbował mu włosy na siwo i dołożył w ramach charakteryzacji okulary i sztuczną szczękę - plastikowe zęby, które delikatnie zmieniły linię jego ust.

- Udawaj, że kulejesz - nakazał Mollie. - Nie za bardzo, rzecz jasna. Tylko troszeczkę. Pamiętaj, że masz szansę zmylić pogoń. Nie przegap tej szansy. Nie pamiętasz pewno nowych danych?

Nie pamiętał. Zgodnie z informacją umieszczoną w jego nowych dokumentach, nazywał się John Griffen Springer i był handlowcem z Harding. Miał 43 lata. Był wdowcem. Nie miał statusu technika, ale o to właśnie chodziło. Technicy posługiwali się sobie tylko znanym slangiem.

Richards pojawił się na Robert Street o dwunastej trzydzieści. Była to dość niebezpieczna pora na wałęsanie się po ulicach, ale spędził przecież całe życie w południowej dzielnicy nad Kanałem. Przeszedł na drugą stronę Kanału dwie mile dalej na zachód, prawie na skraju jeziora. Kilku pijaczków popijało wino wokół niewielkiego ogniska, tu i ówdzie kręciły się szczury, nigdzie jednak nie było widać gliniarzy. O pierwszej piętnaście przeszedł na drugą stronę „ziemi niczyjej”, na północny kraniec Kanału. O pierwszej trzydzieści złapał kolejną taksówkę. Tym razem kierowca nie przyglądał mu się.

- Lotnisko - rzekł Richards.

- Jak sobie życzysz, kolego.

Powietrzne dysze pomogły im włączyć się w ruch uliczny. Na lotnisko dojechali o pierwszej pięćdziesiąt. Richards minął po drodze paru gliniarzy i ochroniarzy, którzy jednak nie zwrócili na niego uwagi. Wykupił bilet do Nowego Jorku. Było to pierwsze miasto, jakie przyszło mu na myśl. Kontrola dokumentów była rutynowa i krótka. O drugiej trzydzieści znalazł się na pokładzie promu odrzutowego zmierzającego do Nowego Jorku. Oprócz niego było około czterdziestu innych pasażerów, wśród których większość stanowili drzemiący w fotelach biznesmeni i studenci. Gliniarz w maleńkim pomieszczeniu w tyle promu spał przez całą podróż. Wkrótce po starcie Richards również uciął sobie drzemkę. Wylądowali o trzeciej sześć. Wyszedł z samolotu i opuścił lotnisko przez nikogo nie niepokojony. O trzeciej piętnaście jechał już taksówką w dół Lindsay Overway. O trzeciej dwadzieścia przejechał po przekątnej Central Park.

Ben Richards rozplynął się na dobre w największym z miast na powierzchni Ziemi.



Udał się do hotelu Brant, najbardziej ekskluzywnego hotelu na East Side. Znajdował się on niecałą milę od Manhattanu, największego na świecie miasta w mieście. Kiedy sprawdzano jego dokumenty, raz jeszcze przypomniał sobie słowa Killiana: Zmieszaj się z tymi, którzy są po twojej stronie. Wyszedłszy z taksówki, ruszył na Times Square uznawszy, że byłoby raczej dziwne, gdyby przyszedł do któregoś z hoteli o tak późnej porze. Pięć i pół godziny - od trzeciej trzydzieści do dziewiątej spędził w podrzędnym lokalu striptizowym. Chciało mu się spać, ale za każdym razem, gdy chciał uciąć sobie drzemkę, budził się, czując, jak dłoń o długich palcach przesuwa się delikatnie po wewnętrznej stronie jego uda.

- Jak długo zechce się pan u nas zatrzymać, sir? - spytał recepcjonista, spoglądając na wystawione na nazwisko Johna G. Springera dokumenty Richardsa.

- Nie wiem - odpowiedział. - To zależy od klientów, rozumie pan.

Zapłacił sześćdziesiąt nowych dolarów za dwie doby hotelowe i wjechał windą na dwudzieste trzecie piętro. Okna pokoju wychodziły na East River. W Nowym Jorku również padało. Pokój był czysty, wręcz sterylny. Łazienka i ubikacja były połączone, z rezerwuaru i rur dobiegały dziwne odgłosy, których w żaden sposób nie można było zagłuszyć. Obejrzawszy dokładnie apartament, Richards zamówił śniadanie - jajka, tosty, napój pomarańczowy i kawę.

Zjadłszy śniadanie, wyjął z kieszeni kurtki wideokamerę i przyjrzał się jej uważnie. Na małej metalowej plakietce zamocowanej pod obiektywem widniał napis: INSTRUKCJA OBSŁUGI. Richards przeczytał umieszczony poniżej tekst.

1. Włożyć taśmę w otwór oznaczony literą A, dopóki nie rozlegnie się sygnał oznaczający gotowość do rejestracji.

2. Ustawić ostrość poprzez właściwą regulację dwóch przecinających się linii na tle rejestrowanego obiektu.

3. Nacisnąć guzik oznaczony literą B w celu rejestracji obrazu i dźwięku.

4. Kiedy rozlegnie się sygnał oznaczający zakończenie nagrywania, taśma opuści automatycznie wnętrze kamery. Czas nagrywania dziesięć minut.

- Dobra - mruknął Richards. - Niech sobie popatrzą, jak śpię.

Ustawił kamerę obok Biblii Gideona w ten sposób, by rejestrowała łóżko. Ściana była pomalowana na jaskrawy kolor i w sumie nijaka. Wątpił, by ktoś mógł go odnaleźć na podstawie widoku zarejestrowanego na taśmie łóżka czy fragmentu ściany. Odgłosy z ulicy



były z tej wysokości prawie niedosłyszalne, ale na wszelki wypadek włączył prysznic, by zagłuszyć je na dobre. W ostatniej chwili, tuż przed tym, jak miał zamiar włączyć guzik zapisu i wejść w pole rejestrowane przez kamerę przypomniał sobie, że ciągle jeszcze ma na sobie charakteryzację. Zdjął okulary, wyjął sztuczną szczękę, ale co miał zrobić z ufarbowanymi włosami? Nałożył na głowę poszewkę od jaśka. Potem nacisnął guzik zapisu, podszedł do łóżka i usiadł twarzą do obiektywu.

- Witajcie - powiedział, zwracając się do tych, którzy jeszcze tego samego dnia wieczorem będą gorączkowo oglądać ten zapis. - Nie widzicie tego, ale śmieję się z was, gnojki.

Położył się i zamknął oczy, starając się o niczym nie myśleć. Kiedy taśma dziesięć minut później opuściła kamerę, już spał.

Kiedy się obudził, było już po czwartej. Pościg rozpoczął się. Zważywszy różnicę w czasie, trwał od trzech godzin. Myśl ta zmroziła niczym lód całe jego wnętrze. Włożył nową taśmę do kamery i wzięwszy Biblię Gideona, z poszewką na głowie przez dziesięć minut recytował przykazania. W szufladzie znalazł koperty, ale na wszystkich znajdował się nadruk z nazwą hotelu.

Zawahał się, ale uznał, że i tak nie ma wyboru. Musiał zaufać słowom Killiana, że nie przekaze informacji o miejscu jego pobytu Mc Cone'owi i jego Łowcom. Informacji zawartej na stemplach pocztowych i adresach zwrotnych. Musiał skorzystać z usług poczty. Nie miał przecież możliwości zdobycia choćby jednego gołąbka pocztowego. Przy windach znajdowały się skrzynki pocztowe. Wrzucił taśmę do tej przeznaczonej dla przesyłek zamiejscowych z wyraźnym niepokojem. Choć urzędnicy pocztowi nie otrzymywali wynagrodzeń za doniesienie o miejscu pobytu uciekiniera, perspektywa współpracy z tą instytucją nadal wydawała mu się wielce ryzykowna. Mógłby co najwyżej przestać w ogóle wysyłać kasety, ale to przecież nie wchodziło w rachubę.

Wrócił do pokoju, wyłączył prysznic i położył się na łóżku. Rozmyślał. W jaki sposób miał umykać przed prześladowcami? Co miał robić? Pierwszy impuls był czysto zwierzęcym instynktem. Znaleźć sobie kryjówkę i zaszyć się w niej. Zrobił to. Znajdował się w hotelu Brant. Czy Łowcy spodziewali się takiego posunięcia? Tak. Nie będą szukać kogoś, kto stale znajduje się w ruchu i przez cały czas zmienia miejsce pobytu. Będą szukać kogoś, kto próbuje się ukryć. Czy zdołają odszukać jego kryjówkę? Chciał w głębi serca móc powiedzieć „nie”, ale nie mógł. Jego kamuflaż był niezły, lecz łatwo można było dodać dwa do dwóch. Niewielu ludzi posiada zmysł obserwacji, jest jednak kilku, którzy potrafią robić to nadzwyczaj dobrze. Recepcjonista, boy hotelowy, który przynosił mu śniadanie. Może ktoś, kto był razem z nim tej nocy w striptizowym lokalu na czterdziestej drugiej ulicy. Niezbyt prawdopodobne, ale jednak możliwe. A co z jego podrobionym identyfikatorem, w który zaopatrzył go Mollie? Jak długo będzie w stanie zapewnić mu bezpieczeństwo? A taksówkarz, który zabrał go sprzed Gmachu Gier i zawiózł do południowej dzielnicy? Łowcy byli dobrzy. Bardzo dobrzy. Mogli polegać na wszystkich, których znał - od Jacka Cragera aż po tę sukę, Eileen Jenner. Potworny pościg. Jak długo uda mu się ukrywać, dopóki ktoś taki jak na przykład tchórzliwy Flapper Donigan nie doniesie, że Mollie załatwił komuś w wielkim pośpiechu cały zestaw lewych dokumentów? Jeżeli znajdą Molliego, będzie spalony

na całej linii. Co potem? Sprawdzą listę pasażerów na lotnisku w Harding i odkryją, że niejaki John G. Springer udał się w podróż do Zwyrodniałego Miasta. Jeżeli dotrą do Molliego. Zdawał sobie sprawę, że muszą do niego dotrzeć. Pozostaje ucieczka. Dokąd? Nie wiedział. Całe swoje życie spędził w Harding, na środkowym zachodzie. Nie znał wschodniego wybrzeża. Nie miał dokąd uciec i czuł, że to jego podstawowy atut. A więc dokąd? Dokąd? Jego przemęczony umysł odpowiedział na to pytanie przedziwną koszmarną wizją. Znajdą Molliego bez większych trudności. Ten zaś, kiedy zerwą mu paznokcie z dwóch palców i obleją benzyną, a potem zagrożą, że go podpalą, w pięć minut poda im jego obecne nazwisko. Jeden telefon wystarczy, by dowiedzieli się, dokąd udał się mężczyzna nazwiskiem Springer. Do Nowego Jorku przybędą o drugiej trzydzieści. Tu będą czekać na nich ci, którzy zdołają sprawdzić za pomocą teleksów wprowadzane każdego dnia do pamięci głównego komputera listy gości we wszystkich nowojorskich hotelach. Będą na nich czekać z adresem Hotelu Brant. Byli teraz gdzieś tam, na zewnątrz i okrążali go. Przechodnie i pracownicy hotelowi, urzędnicy i barmani zostali zastąpieni przez Łowców. Sześciu innych zmierzało ku niemu, używając schodów pożarowych. Pięćdziesięciu następnych wjeżdżało na górę trzema windami. Było ich coraz więcej i więcej. Otoczyli cały budynek pojazdami powietrznymi. Teraz byli już w korytarzu i za chwilę drzwi runą pod ich naporem. Wpadną do środka jak burza, a jeden z nich uwieczni na wideokasie chwilę, kiedy zmienią jego ciało w okrwawiony i bezkształtny ochłap mięsa.

Obudził się i usiadł zlany zimnym potem. Nie miał nawet broni. Jeszcze nie. Musiał uciekać. I to szybko. Na początek postanowił wybrać się do Bostonu.

Opuścił swój pokój o piątej i zszedł do holu. Recepcjonista uśmiechnął się doń życzliwie.

- Dzień dobry, panie...

- Springer - odparł Richards z uśmiechem. - Dogadałem się z trzema klientami. Chyba zostanę tu jeszcze ze dwa dni. Apartament jest przewspaniały, aż nie sposób odmówić. Mogę zapłacić z góry?

- Oczywiście, sir.

Dolary zmieniły właściciela. Richards, nadal uśmiechając się radośnie, wrócił do swego pokoju. Korytarz był pusty. Wywiesił na kłamce napis NIE PRZESZKADZAĆ i ruszył szybkim krokiem w stronę schodów pożarowych. Miał szczęście i po drodze nie natknął się na nikogo. Zszedł na parter i nie zauważony opuścił hotel bocznym wejściem. Deszcz przestał już padać, ale nad Manhattanem wciąż wisiały ciemne chmury. W powietrzu pachniało kwasem.

Richards szedł szybko, lekko utykając, w stronę terminalu elektrobusów przy Port Authority Building. Każdy mógł tu kupić bilet na autobus Greyhounda, nie podając przy tym swego nazwiska.

- Do Bostonu - powiedział, zwracając się do brodatego sprzedawcy biletów.

- Dwadzieścia trzy dolce, koleś. Autobus odjeżdża o szóstej piętnaście.

Richards wręczył tamtemu pieniądze. Zostało mu niecałe trzy tysiące nowych dolarów. Miał godzinę czasu, a w terminalu było pełno ludzi. Wśród nich wielu wojskowych, noszących niebieskie berety. Ich chłopięce twarze przepelnione były zaciętością. Kupił pornomagazyn, usiadł i rozłożył, próbując zakryć twarz. Przez następną godzinę przeglądał pismo, raz po raz odwracając stronę i próbując zachować kamienną powagę. Kiedy elektrobus podjechał, wstał i wraz z innymi ruszył w stronę otwartych drzwi.

- Ej, ty! Tak, tak, ty!

Richards rozejrzał się wokół. Gliniarz z ochrony biegł w jego stronę. Stał jak wryty, nie mogąc się poruszyć. Gdzieś, w głębi jego mózgu rozległ się okrzyk rozpaczony, że jednak mu się nie udało, że zostanie schwytyany w tym podłym terminalu, jeszcze zanim na dobre rozpoczął walkę o życie. Zostanie schwytyany przez jakiegoś parszywego platfusa, do którego nagle uśmiechnęło się szczęście.

- Zatrzymajcie go! Zatrzymajcie tego faceta! - gliniarz skrzęcił.

A więc nie chodziło o niego. Policjant ścigał jakiegoś podejrzanego wyglądającego chłopaka, który pędził w stronę schodów, wymachując trzymaną w ręce damską torebką i roztrzucając na boki przechodniów, którzy stanęli mu na drodze.

Chłopak i jego prześladowca trzema skokami pokonali schody i zniknęli Richardsowi z oczu. Wsiadający i wysiadający przez chwilę obserwowali pościg, po czym znów wszystko powróciło do normy, jak gdyby nic się nie stało.

Richards czekał przed drzwiami autobusu drżący i zziębnięty. Usiadł na jednym z tylnych siedzeń. W parę minut potem elektrobus z delikatnym szmerem ruszył z miejsca i włączył się w strumień ruchu ulicznego. Obaj mężczyźni - ścigający i ścigany rozplynęli się w tłumie przechodniów. Gdybym miał broń, rozwalilibym go bez zastanowienia - pomyślał Richards. Boże, o Boże! A potem, następnym razem nie będą ścigać złodzieja damskich torebek, tylko ciebie.

Postanowił, że w Bostonie musi postarać się o broń. Przypomniał sobie słowa Laughlina, że wywali paru z nich przez okno wieżowca, zanim go dostaną.

Autobus ruszył na północ. Wokół powoli zapadał zmierzch.

*MINUS 073. ODLICZANIE TRWA*

Gmach YMCA w Bostonie znajdował się na Huntington Avenue. Budynek w kształcie sześcianu był duży, czarny i staromodny. Stał w miejscu, gdzie w połowie minionego wieku znajdowała się jedna z najbogatszych dzielnic w tym mieście. Stał tam jak relikwiarz minionych czasów, minionych dni, a jego staroświecki neon wciąż łykał literami w stronę okręgu występku i rozpusty. Przypominał szkielet zamordowanej idei.

Kiedy Richards wszedł do holu, recepcjonista sprzeczał się z chudym, krostowatym Murzynem ubranym w kręglarską kurtkę sięgającą mu do połowy łydek. Sprzeczka dotyczyła automatu z gumami do żucia stojącego w holu.

- Połknęła mi dwadzieścia pięć centów, facet. Połknęła moją forszę!

- Jak stąd zaraz nie wyjdiesz, zadzwonię po detektywa hotelowego, gówniarzu. To wszystko. Już ci powiedziałem.

- Ale ten cholerny automat połknął moją forszę!

- Zamknij się wreszcie, ty parszywy gnoju!

Recepcjonista wyciągnął rękę i złapał chłopaka za połę kurtki, próbował nim potrząsnąć. Kurtka była jednak o wiele za duża, więc jego wysiłki poszły na marne.

- Wynoś się stąd. Nie mam zamiaru dłużej z tobą rozmawiać.

Zrozumiawszy, że mężczyzna nie żartuje, komiczna maska wściekłości i bezczelności na brązowej twarzy dziecka zmieniła się nagle w oblicze przepełnione rozpaczą i niedowierzaniem.

- Po...posłuchaj, ja..ja...ja miałem te pieniądze. Automat połknął mi dwadzieścia pięć centów. To...

- Dzwonię po detektywa - recepcjonista sięgnął ręką w stronę przycisku pod blatem stołu.

Chłopak z wściekłością kopnął w obudowę automatu z gumami do żucia i uciekł.

- Pieprz się, biały skurwysynu - krzyknął jeszcze, wycofując się ile sił w nogach.

Recepcjonista przez chwilę patrzył w jego stronę, ale jeżeli nawet przycisk pod blatem stołu naprawdę istniał, to nie zdecydował się go nacisnąć. Uśmiechnął się do Richardsa i wskazał na tablicę z kluczami. Kilku z nich brakowało.

- Nie ma co gadać z czarnuchami. Koniec z tym. Jakbym był szefem Sieci, pozamykałbym ich wszystkich w klatkach.

- Czy automat naprawdę połknął mu monetę? - spytał Richards, wpisując się do książki jako John Deegan z Michigan.

- Chyba tak - odparł recepcjonista. - Nic się nie stało. Ten gnój na pewno zwinął gdzieś tę forszę. Gdybym mu dał dwadzieścia pięć centów, to do wieczora zjawiłoby się tu ze dwie setki innych bachorów, które powiedziałyby to samo, co ten mały czarnuch. Gdzie oni uczą się tego języka? Chciałbym to wiedzieć. Czy rodzice tych dzieciaków nie wiedzą, co one robią? Jak długo chce się pan tutaj zatrzymać, panie Deegan?

- Nie wiem. Przyjechałem tu w interesach - uśmiechnął się znacząco.

Recepcjonista natychmiast zrozumiał, o co chodzi i też się uśmiechnął.

- Płaci pan piętnaście i pół dolara, panie Deegan - przesunął klucz zakończony chropowatym drewnianym językiem na drugą stronę kontuaru. - Pokój pięćset dwanaście.

- Dziękuję - Richards zapłacił gotówką. Raz jeszcze obyło się bez kontroli identyfikatora.

Podszedł do windy, spojrzął w stronę korytarza prowadzącego do Chrześcijańskiej Biblioteki. Jej wnętrze było słabo oświetlone paroma półkulistymi lampami. Przy jednym ze stołów siedział starszy mężczyzna ubrany w długi płaszcz. Na nogach miał kalosze. Metodycznie przekładał kartki drżącym, poślinionym palcem. Richards, stojąc przy drzwiach windy, słyszał świst jego oddechu i poczuł, jak nagle zaczyna go ogarniać strach zmieszany ze smutkiem. Winda zatrzymała się, a jej drzwi rozsunęły się w chwilę potem. Kiedy wchodził do środka, usłyszał recepcjonistę mówiącego:

- To naprawdę wstyd i hańba. Pozamykałbym ich wszystkich w klatkach!

Odwrócił się, sądząc że recepcjonista zwracał się do niego, ale okazało się, że się pomylił. Mężczyzna patrzył nieruchomymi oczami w odległą przestrzeń. Wnętrze holu było puste. Zaległa w nim głucha cisza.

Piąte piętro przesiąknięte było wonią moczu. Korytarz był tak wąski, że wzbudzał w Richardsie uczucie klaustrofobii, a dywan, który był niegdyś czerwony, został pośrodku przetarty niemal do ostatniej nitki. Pomalowane na szaro drzwi nosiły ślady świeżych kopniaków i uderzeń. Kilka najwyraźniej niedawno próbowano sforsować siłą. Co dwadzieścia kroków na ścianie wisiała tabliczka z napisem: PALENIE W KORYTARZU WZBRONIONE. DECYZJA DOWÓDCY STRAŻY POŻARNEJ. Pośrodku korytarza znajdowały się drzwi wspólnej łazienki; woń moczu stała się nagle nie do zniesienia. Zapach ten kojarzył się Richardsowi z uczuciem bezgranicznej rozpacz. Ludzie kręcili się niespokojnie za drzwiami jak zwierzęta w klatkach, zwierzęta zbyt potworne, zbyt złe i zbyt przerażone, by można je było wystawić na widok publiczny. Ktoś śpiewał coś, co przypominało hymn do Marii Panny. Spoza następnych drzwi dochodziły dziwaczne, zniekształcone odgłosy. Zza następnych dobiegały dźwięki piosenki country. Odgłosy szurania nogami. Zgrzyt sprężyn łóżka pod naciskiem wyginającego się konwulsyjnie ciała. Ktoś się onanizował. Płacz. Śmiech. Pijackie rżenie. Za jednymi drzwiami panowała cisza. Tylko cisza. Mężczyzna o zapadłej klatce piersiowej, z kostką mydła i ręcznikiem w dłoni, minął Richardsa nie spojrzawszy nawet na niego. Miał na sobie przewiązane sznurkiem spodnie od pizamy. Na nogach nosił papierowe pantofle.

Richards otworzył drzwi i wszedł do pokoju. Zamknął drzwi na zasuwę. W środku stało łóżko przykryte wojskowym kocem. Obok zobaczył szafkę, z której zniknęła jedna szuflada. Na ścianie wisiał portret Jezusa. To było wszystko, nie licząc okna, za którym rozciągała się ciemność. Była dziesiąta piętnaście.

Powiesił kurtkę na metalowym haku, zdjął buty i położył się do łóżka. Nagle zdał sobie sprawę, jaki był mały, nieszczęśliwy i bezbronny w porównaniu z ogromem otaczającego go świata. Wszechświat zdawał się krzyczeć i wyc wokół niego, tocząc się z szaleńczą prędkością ku bezdennej otchłani. Usta nagle zaczęły mu drżeć. Przez chwilę płakał.

Nie nagrał taśmy. Leżał, patrząc na sufit pokryty milionami rys, jak garnek źle obrobiony przez garniarza. Ścigali go już od ośmiu godzin. Zarobił dalszych osiemset dolarów. Chryste, a nawet nie wystawił jeszcze głowy z nory! I nie nagrał programu dla Free Vee.



Gdzie byli teraz? W Harding? W Nowym Jorku? A może w drodze do Bostonu? Nie. Na razie był tu bezpieczny. Autobus nie mijał po drodze żadnej blokady. Wyjechał z największego z miast cichaczem, zupełnie anonimowy i do tego posługiwał się fałszywym nazwiskiem. Nie mogli wpaść na jego trop. Nie dał im szans. W YMCA w Bostonie był bezpieczny, przynajmniej przez najbliższe dwa dni. Potem ruszy na północ do New Hampshire i Vermont, albo na południe do Hartford lub Filadelfii, a może do Atlanty. Dalej na wschód rozciągał się ocean, a za nim Wielka Brytania i Europa. To był interesujący pomysł, najprawdopodobniej jednak niemożliwy do zrealizowania.

Aby znaleźć się na pokładzie samolotu zdążającego do Francji, potrzebował nowej karty identyfikacyjnej. Rzecz jasna mógł zaryzykować podróż na gapę, ale ewentualna wpadka przekreśliłaby ostatecznie wszystkie jego szanse i nadzieje. To byłby koniec wszystkiego. Nie brał pod uwagę ucieczki na zachód. Tam pościg przybierze największe rozmiary. Jeżeli nie możesz znieść gorąca, powinieneś wyjść z kuchni. Kto to powiedział? Mollie wiedziałby z pewnością. Uśmiechnął się. To trochę poprawiło mu humor.

Wiedział, że byłoby dobrze, gdyby zdołał jak najszybciej, jeszcze tego wieczoru, zdobyć jakąś broń, ale był zbyt zmęczony. Jazda wyczerpała go. Zmęczyło go odgrywanie roli zbiega. Zwierzęce instynkty, które nagle się w nim odezwały, podpowiadały mu, że jeżeli czegoś nie zrobi, już wkrótce pójdzie do piachu. Jutrzejszej nocy musi zdobyć broń. Zgasił światło i zasnął.

Znowu był na wizji. Stał zwrócony w stronę kamery, pogwizdując z cicha melodię z czołówki UCIEKINIERA. Na głowę zarzucił wywróconą na lewą stronę poszewkę jaśka, tak by nie było widać stempla z numerem. Kamera pobudziła w Richardsie specyficzne poczucie humoru, choć już dawno temu zwątpił, że je w ogóle posiada. Perspektywa rychłej śmierci pozwoliła odkryć drzemiącego w jego wnętrzu samotnego komika.

Kiedy taśma wypadła z kamery uznał, że drugie nagranie wykona po południu. Pusty pokój nudził go i miał nadzieję, że być może w tym czasie wpadnie na jakiś ciekawy pomysł. We wtorkowy ranek na Hunington Avenue panował spory ruch. Na dwóch chodnikach tłoczyli się idący wolno piesi. Wielu przyglądało się ogłoszeniom o zatrudnieniu. Większość jednak po prostu szła przed siebie. Zdawać by się mogło, że na każdym rogu stoi uzbrojony gliniarz. Richards wyobraził sobie ich słowa: Ruszaj się! Nie masz się gdzie szwędąć? Spadaj stąd, gnojku!

Richards zastanawiał się, czy zaryzykować wędrówkę do holu, by wziąć szybki prysznic. Uznał, że nie zaszkodzi spróbować. Zszedł na dół z ręcznikiem przewieszonym przez ramię, nie napotkał po drodze nikogo i ruszył do łazienki. Woń moczu, kału, wymiocin i środków dezynfekcyjnych tworzyła zabójczą mieszankę. Drzwi ubikacji były przeważnie wyrwane z zawiasów, nad pisuarem ktoś wypisał wysokimi na stopę literami PIEPSZYĆ SIEĆ. Był najwyraźniej wściekły, odwalając swoją robotę. W jednym z pisuarów widniał stos fekaliów. Ktoś musiał być naprawdę zalany - uznał Richards. W górze wznosiło się stado otepiałych, jesiennych much. Nie czuł obrzydzenia. W swoim życiu widział gorsze rzeczy. Cieszył się jednak, że schodząc na dół, założył buty.

Miał cały prysznic dla siebie. Podłoga wyłożona była spękanyimi kafelkami. Kafelki biegnące wzdłuż ścian tuż przy podłodze niemal nie istniały. Odkręcił zardzewiały kurek prysznicza na pełną moc. Odczekał, aż woda stanie się lekko ciepła, po czym wykapał się szybko. Użył mydła, które znalazł na podłodze.

Kiedy wracał do pokoju, minął w korytarzu mężczyznę z zajęczą wargą. Był głodny, ale uznał, że zaczeka do świtu zanim wyjdzie coś przekąsić. Nuda znów zaciągnęła go pod okno. Zaczął wyliczać rodzaje zaobserwowanych przez siebie wozów - fordys, chevrolety, winty, volvo, plymouthy, studebakery, ramblery. Grał do stu punktów. Była to nudna gra, ale lepsza taka niż żadna. Dalej, za Hunington Avenue znajdował się uniwersytet, a dokładnie po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko budynku YMCA zauważył olbrzymią, zautomatyzowaną

księgarnię. Licząc samochody, Richards patrzył na przechodzących studentów. Różnili się od poszukujących zatrudnienia bezrobotnych. Mieli krócej przycięte włosy i nosili coś, co przypominało dresy, które stanowiły niejako ich znak rozpoznawczy. Dokonywali zakupów z dziwną niechęcią, co jeszcze bardziej bawiło Richardsa. Co pięć minut przed sklepem pojawiały się nowe, błyszczące wozy, wytworne, sportowe, czasami zagraniczne. W większości z nich znajdowały się plakietki uniwersyteckie - Northeastern, MIT, Boston College, Harvard. Wint zaparkowany dokładnie naprzeciw sklepu odjechał, a jego miejsce zajął ford. Jego kierowca, facet palący długie cygaro pograżył się w głębokiej beczynności. Wóz zachybotał łagodnie, gdy pasażer samochodu, mężczyzna w brązowo-białej kurtce myśliwskiej wysiadł i z trzaskiem zamknął drzwi.

Richards westchnął. Liczenie samochodów było naprawdę nużące. Fordy zdecydowanie przewodziły stawce. Ich przewaga wynosiła obecnie siedemdziesiąt osiem do czterdziestu. Wynik był zresztą łatwy do przewidzenia.

Ktoś zastukał do drzwi. Richards znieruchomiał.

- Frankie? Jesteś tam, Frankie?

Nie odpowiedział. Strach sparaliżował go, przemieniając w słup soli.

- Pierdol się, Frankie.

Rozległ się pijacki rechot i kroki oddaliły się. Po chwili usłyszał stukanie w drzwi obok.

- Jesteś tam, Frankie?

Serce Richardsa z wolna wracało z gardła do piersi.

Jeden z fordów zniknął, ale już inny zajmował jego miejsce. Numer siedemdziesiąt dziewięć.

Nadeszło popołudnie, a wraz z nim godzina pierwsza. Richards słyszał, jak zegar w pobliskim kościele wybija godzinę. Jak na ironię mężczyzna, który walczył o każdą kolejną minutę swojego życia nie posiadał zegarka. Zmienił zasady gry w samochody. Ford wart był dwa punkty, studebaker trzy, wint cztery. Grał do pięćuset punktów.

Jakieś piętnaście minut potem zauważył, że młody mężczyzna w brązowo-białej myśliwskiej kurtce stoi oparty o latarnię obok księgami i przegląda kalendarz koncertów. Stał w bezruchu, nie niepokojony przez nikogo. Policjanci wyraźnie go ignorowali. Masz zwidy, koleś - pomyślał Richards z niechęcią. Jak tak dalej pójdzie będzie ci się wydawało, że czyhają na ciebie na każdym rogu ulicy.

Zauważył winta z wgiętym błotnikiem. Żółtego forda. Starego studebakera. Volvo w kiepskim stanie - prawie się ich już już dziś nie widuje. Jeszcze jednego winta. Kolejnego

studebakera. Mężczyzna palący długie cygaro, stał beztrosko na przystanku autobusowym, na rogu. Był jedynym oczekującym. Richards widział autobusy przyjeżdżające i odjeżdżające z tego przystanku. Wiedział, że następny zjawi się tam dopiero za czterdzieści pięć minut.

Poczuł, jak chłód zaczyna drażnić jego wnętrze. Stary mężczyzna w wytartym, czarnym płaszczu idący wolno ulicą, jakby przypadkiem zatrzymał się i oparł o ścianę budynku. Dwaj przyjaciele w dresach wysiedli z taksówki, dyskutując o czymś z ożywieniem. Zaczęli przyglądać się menu wywieszonemu w oknie restauracji Sztokholm. Jakiś policjant podszedł do stojącego na przystanku mężczyzny i w chwilę potem oddalił się. Richards z przerażeniem zauważył, że paru gazeciarzy wolniej niż zwykle przechadzało się po ulicy. Ich ubiór i sposób poruszania się wydawał się dziwnie znajomy, jakby powtarzali tę samą sytuację już wielokrotnie. Richards próbował to sobie wyobrazić, ale nie było to łatwe, tak jak zazwyczaj niełatwo jest rozpoznać głosy zmarłych przemawiających w snach. Gliniarzy też było jakby trochę więcej.

Okrażają mnie - pomyślał. To stwierdzenie wzbudziło w nim poczucie bezsilności i przerażenie osaczonego zwierzęcia. Nie - poprawił się w myślach. Oni już cię okrażyli. Jesteś w pułapce, Richards.

Richards szybkim krokiem udał się do łazienki. Był spokojny. Próbował przezwyciężyć strach, tak jak człowiek stojący na parapecie okna wieżowca próbuje przezwyciężyć strach przed skokiem w dół. Gdyby poddał się panice, czekałoby go rychła i niechybna śmierć. Wpadł na ten pomysł, stojąc przy oknie i obserwując, jak tamci zbierają się powoli przed budynkiem. Sposób, w jaki to robili był doprawdy przerażający. Gdyby na to nie wpadł, pomyślał, stałby tam nadal niczym Alladyn patrzący, jak wydobywający się z lampy obłoczek dymu zmienia się we wszechmocnego dzina. Używali tego tricku jeszcze w dzieciństwie, kradnąc gazety z piwnic Koncernu. Mollie płacił za nie po dwa centy od funta.

Mocnym szarpnięciem wyrwał ze ściany jeden z prętów stojaka na szczoteczki do zębów.

Metal był trochę przerdzewiały, ale to było teraz nieważne. Idąc rażno w stronę windy, próbował rozgiąć cienki pręt i wyprostować go w miarę możliwości. Wcisnął guzik, by przywołać windę. Zjazd z ósmego piętra na piąte zdawał się ciągnąć w nieskończoność. Winda była pusta. Wszedł do środka, rozejrzał się po korytarzu, po czym odwrócił się w stronę tablicy kontrolnej. Obok guzika z napisem PIWNICA znajdował się wąski otwór. Portier miał pewnie specjalną kartę, którą należało wcisnąć do niewielkiego otworu. Kiedy elektroniczne oko zbadało już kartę, portier mógł nacisnąć guzik i zjechać w dół.

Krzywiąc się na myśl o możliwości porażenia prądem, Richards wepchnął pręt w otwór i jednocześnie nacisnął przycisk. Wewnątrz tablicy kontrolnej rozległ się dziwny trzask, jakby urządzenie rzuciło mu krótkie, elektroniczne przekleństwo. Błysk poraził oczy; poczuł, jak fala bólu przeszywa ramię. Przez chwilę nic się nie wydarzyło. Dopiero po paru sekundach obite miedzią drzwi zamknęły się i winda ruszyła w dół. Z otworu w tablicy kontrolnej unosiła się wąska, błękitna smużka dymu. Richards odsunął się od drzwi i patrzył na zapalające się nad nimi cyfry. Kiedy zapaliła się litera H - oznaczenie holu, silnik w górze zazgrzytał i zdawać by się mogło, że winda musi się zatrzymać. W chwilę potem jednak ruszyła w dół. Dwadzieścia sekund później drzwi otworzyły się i Richards znalazł się w olbrzymiej, słabo oświetlonej piwnicy. Z oddali dobiegał odgłos kapiącej wody i tupot uciekającego w popłochu, przestraszonego szczura. Tak czy inaczej piwnica należała teraz do Richardsa. Od teraz.

Olbrzymie, przerdzewiałe rury ciepłownicze obwieszane girlandami pajęczyn ciągnęły się wysoko nad jego głową. Kiedy w piecu coś nagle zadudniło, odwrócił się błyskawicznie i mało brakowało, a zaczęłby krzyżeć. Bał się. Ciągły napływ adrenaliny do jego członków i serca był niezwykle bolesny, a chwilami nawet niemożliwy do zniesienia. Richards dostrzegł leżące na podłodze posegregowane i przewiązane sznurkami gazety. Szczury gnieździły się pośród nich tysiącami. Całe ich rodziny spoglądały na intruza rubinowymi, nieufnymi oczami. Ruszył w stronę przeciwległej ściany pomieszczenia. Zatrzymał się w pół drogi. Do jednego z filarów przymocowana była sporych rozmiarów skrzynia z bezpiecznikami, a tuż za nią, po drugiej stronie wisiało pudełko z narzędziami. Richards wyjął z niego łom i ruszył dalej, spoglądając uważnie na podłogę. Przy ścianie po lewej zauważył studzienkę ściekową. Podeszedł bliżej i przyjrzał się jej uważnie, zastanawiając się, czy tamci domyślili się już, że ukrył się w piwnicy. Pokrywa studzienki wykonana była z pokrytej licznymi otworami stalowej płyty. Miała jakieś dziewięćdziesiąt centymetrów średnicy i umieszczony z jednej strony otwór, aby można weń było włożyć łom. Richards zrobił to i uniósł pokrywę, po czym napał stopą na stalowy pręt, by utrzymać płytę w dogodnej do uchwycenia pozycji, włożył obie dłonie pod pokrywę i odsunął ją. Upadła na cement z głośnym brzękiem, który spowodował, że szczury rozpiezchły się na wszystkie strony, piszcząc przeraźliwie. Studzienka opadała w dół pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Richards uznał, że promienie światła mogą przebić się tu na głębokość co najwyżej siedemdziesięciu centymetrów. Wewnątrz było niezwykle ciemno. Poczul jak nagle zaczyna go ogarniać uczucie klaustrofobii. Zbyt mało miejsca, by się poruszyć, niemal za mało, by oddychać. Musiał się tu schronić. Nie miał wyboru. Odsunął pokrywę i ustawił ją tak, by mógł bez trudu zasunąć ją od środka, po czym podeszedł do skrzynki z bezpiecznikami, wyłamał łomem kłódkę i otworzył ją. Miał już zabrać się do wykręcania bezpieczników, kiedy przyszedł mu do głowy nowy pomysł.

Podeszedł do pozólkłych stosów gazet zalegających podłogę piwnicy. Z kieszeni wyjął pomiętą paczkę zapalek, którymi ostatnio przypalał papierosy. Zostały jeszcze trzy. Z paru karteek papieru skręcił zgrabny rulon. Włożył go pod pachę i zapalił zapalke. Błysnęła i zgasła. Druga wypadła mu z drżającej dłoni i zgasła na cementowej podłodze. Trzecia zapaliła się. Żółty płomień zaczął łapczywie pożerać papier. Jakiś szczur, być może przeczuwający co ma się wkróćce wydarzyć, przemknął mu pomiędzy nogami i zniknął w ciemnościach.

Richards spieszył się. Mimo to odczekał, aż papier, który trzymał w dłoni nie rozbłyśnie wysokim na stopę płomieniem. Nie miał więcej zapalek. Ostrożnie wsadził prowizoryczną pochodnię w wąską szczelinę w sięgającej mu niemal do piersi papierowej ścianie i poczekał, aż ogień zaczął się rozprzestrzeniać. W jedną ze ścian piwnicy wmontowany był zbiornik paliwowy. Prawdopodobnie wybuchnie. Richards po chwili namysłu uznał, że jest to nieuniknione.

Pospiesznie powrócił do skrzynki z bezpiecznikami i zaczął usuwać je jeden po drugim. Wykręcił większość z nich, zanim światła w piwnicy zgasty. Wracił do studzienki wiedziony blaskiem bijącym od sterty płonących gazet. Usiadł na krawędzi z nogami w otworze, po czym wolno wsunął się do środka. Kiedy jego głowa znalazła się pod poziomem cementowej podłogi, przywarł całym ciałem do ściany kanału, by zachować równowagę i trzymając obie dłonie nad głową, zabrał się do roboty. Była to żmudna praca. Miał mało miejsca. Płomienie nabrały teraz jasnożółtego koloru. Słyszał szum buzującego ognia. Jego palce odnalazły krawędź otworu. Przesuwał je wolno dopóty, dopóki nie natknął się na ciężką pokrywę. Powoli ruszył ją z miejsca, napierając całym ciałem. Kiedy uznał, że pokrywa lada chwila powinna znaleźć się w otworze kanału, zdecydował się na ostatnie, gwałtowne szarpnięcie i pociągnął z całej siły stalową płytę.

Pokrywa z głośnym brzękiem usadowiła się w otworze. Opadła na skierowane ku górze dłonie Richardsa i mało brakowało, a połamałaby mu kości. Rozluźnił mięśnie nóg i ześlizgnął się w dół jak dziecko na zjeżdżalni. Wnętrze kanału pokrywała gęsta warstwa mułu. Zsunął się dwanaście stóp w dół do miejsca, z którego ściek skręcał pod kątem prawie dziewięćdziesięciu stopni. Zaparł się nogami i stał tam jak pijak oparty o latarnię. Nie mógł dostać się do kanału poziomowego, bo kąt, pod jakim zakręcała rura ściekowa był zbyt ostry. Uczucie klaustrofobii rosło z każdą chwilą, dławilo.

- Jesteś w pułapce, W PUŁAPCE...

Krzyk narastał w jego gardle. Naraz poczuł, że się dusi. Spokojnie... Wiedział, że musi zachować spokój. Tylko spokojnie. Siedział na dnie tej rury i nie mógł ani wspiąć się na górę, ani zejść niżej. Jeżeli zbiornik eksploduje, usmaży się tutaj. To więcej niż pewne. Ponadto...

Zaczął odwracać się powoli tak, by dotykać ściany nie plecami, a klatką piersiową. Szlam utrudniał mu ruchy. Wewnątrz kanału zrobiło się nagle jaśniej i goręcej. Stalowa pokrywa rzucała na jego twarz cień formujący się w kształt więziennych krat. Przywarł całym ciałem do ściany i podkurczył nogi, próbując wślizgnąć się do niedostępnego dotąd dlań odcinka kanału. Bez powodzenia. Przez chwilę wydawało mu się, że pośród trzasków płomieni słyszy wydawane głośnym okrzykiem rozkazy. Był tak zmęczony, że nie wierzył już

własnym zmysłem. Zmusił mięśnie ud i łydek do kolejnego wysiłku i wreszcie poczuł, jak kolana zaczynają tracić kontakt z podłożem. Uniósł ręce nad głowę, by mieć więcej miejsca i opierał się teraz twarzą o ścianę kanału. Prawie mu się udało. Wyprężył się jak tylko mógł w tył i zaczął odpychać się rękoma i głową. Tylko tyle mógł zrobić w obecnym położeniu. Kiedy zaczął się zastanawiać, czy w rurze będzie miał wystarczająco dużo miejsca, by móc pełznąć dalej, jego biodra i pośladki nagle znikły w otworze rury, tak jak znika korek wystrzelony z butelki szampana. Poobcierał sobie niemiłosiernie plecy, kiedy kolana wyslizgnęły się spod niego. Koszulę miał podciągniętą aż do ramion. Znajdował się w poziomej rurze z wyjątkiem ramion i głowy, wciąż jeszcze wykręconych pod nieprawdopodobnym kątem.

Wsunął się cały do otworu i położył się, dysząc, z twarzą pokrytą szlamem i szczerzymi odchodami. Na plecach miał parę otwartych, krwawiących ran. Rura zwężała się. Gdy chciał nabrać więcej powietrza, dotykał ramionami ścian kanału po obu stronach. Bogu dzięki, że jestem niedożywiony! - pomyślał. Dysząc ciężko, zaczął pełznąć tyłem w nie znaną ciemność kanału.



Na ślepo jak kret przebył wolno jakieś pięćdziesiąt jardów wzdłuż rury kanału. Nagle zbiornik paliwowy w piwnicy budynku eksplodował z hukiem.

Fala drgań przeszła rurę kanału, a odbijający się głuchym echem grzmot wybuchu o mało nie uszkodził mu bębenków. Błysk był biało-żółty, efekt mniej więcej taki sam jak podczas spalania fosforu. W chwilę potem poświata nabrała krwistoczerwonego koloru. Parę sekund później fala gorącego powietrza omiotła mu twarz; skrzywił się z bólu. Kiedy próbował jak najszybciej wydostać się z zagrożonej strefy, kamera, którą miał w kieszeni kurtki obijała się o ścianę kanału. Rura nagrzewała się, gdzieś w górze szalały płomienie, a on nie miał zamiaru dać się usmażyć tu na dole jak ziemniaki w piekarniku. Pot spływał mu po twarzy, rzeźbiąc na niej czarne smugi. W woskowym, nikłym blasku płomieni wyglądał jak Indianin z obliczem przyozdobionym barwami wojennymi. Boki rury były dosyć gorące. Pełzł dalej jak homar, wspierając się na łokciach i kolanach. Oddychał szybko, spazmatycznie jak pies. Powietrze było gorące, przepelnione wonią benzyny, duszące. Bolała go głowa, czuł, jak sztylety bólu wbijają się od wewnątrz w jego gałki oczne.

Nagle jego stopy zawisły w powietrzu. Richards próbował obejrzeć się przez ramię i zobaczyć, na co natrafił, ale jego oczy były zbyt przemęczone ciągłym wpatrywaniem się w tańczące u wylotu rury płomienie, by dostrzec cokolwiek. Musiał zaryzykować. Pełzł dalej, póki jego kolana nie znalazły się ponad zakończeniem rury, a potem zaczął wolno opuszczać je w dół. Buty nagle znalazły się w wodzie, lodowato zimnej w porównaniu z gorącym wnętrzem rury. Natrafił na nową odnogę kanału, ale o wiele większą niż poprzednia. Rura była tak duża, że mógł w niej stanąć, pochylając się nieco. Płynąca leniwie woda sięgała mu mniej więcej do kostek. Stał nieruchomo jeszcze przez chwilę, spoglądając w wąski otwór, w którym w oddali widać było pomarańczową poświatę płomieni. Fakt, że widział tę poświatę z tak dużej odległości świadczył, że eksplozja musiała być naprawdę potężna.

Richards zastanawiał się. Tamci byli zawodowcami. Niejako z założenia powinni uznać, że nie zginął w piekle płomieni w podziemiach gmachu YMCA, że nadal żyje i jest gdzieś w Bostonie. Miał nadzieję, że nie odkryją drogi jego ucieczki, zanim służby pożarnicze nie poradzą sobie z szalejącymi płomieniami. Czuł się na razie bezpieczny. Pamiętał jednak, jak jeszcze niedawno był przekonany, że tamci nie będą w stanie odnaleźć go tu, w Bostonie.

Może to nie oni? Może nie wpadli jeszcze na jego trop? Nie, to byli oni. Był tego pewien. Łowcy. Byli przesiąknięci wonią zła. Czuł to nawet tam, w swoim pokoju na piątym

piętrze. Emanowali jakimiś dziwnymi, niewidzialnymi falami, które jedynie on potrafił odebrać.

Szczur płynący pieskiem minął go i zatrzymał się na chwilę, by przyjrzeć mu się błyszczącymi oczami. Spłoszył go, gwałtownie uderzając dłonią w wodę i ruszył w dalszą drogę.

Richards stał przy stalowej drabince i oślepiiony światłem spoglądał w górę. Światło było dlań kompletnym zaskoczeniem, bo wydawało mu się, że wędrował kanałami przez wiele godzin. W ciemności, błądząc po omacku w kompletnej ciszy, mając w uszach jedynie szum płynącej wody i od czasu do czasu słysząc odgłos płynącego szczura i dudnienie dobiegające z pobliskich studzienek, stracił na dobre poczucie czasu. Teraz patrząc na znajdujący się jakieś piętnaście stóp nad nim otwór, zauważył, że na zewnątrz wciąż jeszcze jest jasno. W pokrywie znajdowały się otwory. Przechodzące przez nie wąskie promienie światła odmalowały na jego piersi i ramionach słoneczne krążki.

Odkąd się tu znalazł nie zauważył, by ponad otworem przejechał pojazd powietrzny. Dostrzegł jedynie parę staroświeckich samochodów i kilkanaście motocykli. Pomyślał, że przypadkowo udało mu się odnaleźć drogę do jądra miasta, do ludzi takich jak on.

Zdecydował się opuścić kryjówkę dopiero po zmierzchu. Siedząc w ukryciu, wyjął kamerę, załadował i przez dziesięć minut rejestrował obraz swej obnażonej klatki piersiowej. Wiedział, że taśmy można nagrywać nawet przy kiepskim oświetleniu. Nie chciał rejestrować miejsca, w którym się znajdował. Tym razem milczał, był zbyt zmęczony, by mówić czy dowcipkować. Kiedy taśma wypadła z kamery, włożył ją do kieszeni obok drugiej, którą nagrał wcześniej. Nie mógł pogodzić się z przeświadczeniem, że to właśnie taśmy naprowadzały łowców na jego ślad. Musiał być jakiś sposób, aby rozwiązać ten problem. Musiał być...

Usiadł na trzecim szczeblu drabiny, oczekując nadejścia zmierzchu. Uciekał już od prawie trzydziestu godzin.

Czarny, siedmioletni chłopiec palił papierosa u wylotu alei, patrząc na ulicę. Dostrzegł, że w oddali coś się poruszyło. Cień drgnął, znieruchomiał i ponownie się poruszył. Pokrywa kanału uniosła się. Zastygła w bezruchu i w ciemnościach rozbłysło coś jakby oczy. W chwilę potem pokrywa odsunęła się z głośnym zgrzytem. Ktoś (lub coś - pomyślał z przerażeniem chłopiec) wychodził z kanału. Może diabeł przybył tu wprost z otchłani piekieł, aby zabrać Cassie - pomyślał. Mama powiedziała, że Cassie pójdzie do nieba, by połączyć się z Dicky i innymi aniołkami. Chłopiec uznał, że to idiotyczna perspektywa. Uważał, że wszyscy idą po śmierci do piekła, gdzie diabeł dźga ich w tyłki olbrzymimi widłami. Widział rysunek diabła w książce Bradleya, którą ten gwizdnął z biblioteki publicznej. Niebiosy były przeznaczone dla ćpunów. Diabeł był mężczyzną.

To może być diabeł - pomyślał, kiedy Richards wydostał się z kanału i przez parę chwil leżał na popękany asfalcie, próbując złapać oddech. Nie miał ogona ani rogów i nie był czerwony jak w książce, ale wyglądał naprawdę okropnie.

Diabeł zasunął pokrywę i pobiegł w stronę alei. Chłopiec z krzykiem rzucił się do ucieczki, ale potknął się i upadł. Próbował wstać, ciskając za siebie kamykami i różnymi odpadkami, ale diabeł go złapał.

- Nie rób mi nic złego! - krzyknął chłopiec łamiącym się głosem. - Nie dźgaj mnie widłami, ty czarny sukinsynu!

- Cicho bądź! - Diabeł potrząsnął nim tak, że zęby zaszczeły jak kastaniety. Poskutkowało. Chłopiec umilkł.

Diabeł rozglądał się wokoło najwidoczniej czymś zaniepokojony. Wyglądał śmiesznie, gdy jego twarz zastygła nagle w grymasie niewypowiedzianego przerażenia. Przypominał chłopcu tych zabawnych ludzi, którzy brali udział w programie „Prześcignąć krokodyla”. Gdyby nie był tak przestraszony, wybuchnąłby śmiechem.

- Nie jesteś diabłem - rzucił chłopiec.

- Jeżeli zaczniesz krzyczeć, to naprawdę zamienię się w diabła.

- Nie zacznę - odpowiedział z pogardą w głosie. - Myślisz, że chcę abyś pourywał mi jaja? Jezu, przecież one mi jeszcze nawet na dobre nie urosły!

- Znasz jakieś spokojne miejsce, dokąd moglibyśmy teraz pójść?

- Nie zabijaj mnie, jestem biedny jak mysz kościelna. - Mały patrzył na Richardsa bielejącymi w ciemnościach oczyma.

- Nie mam zamiaru cię zabić.

Chłopiec, trzymając Richardsa za rękę, przeszedł przez wąską, krętą uliczkę i skręcił w jedną z bocznych alejek. U jej wylotu wzbijały się w niebo dwa olbrzymie wieżowce. Pomiedzy nimi znajdowała się wolna przestrzeń. Przy ścianie jednego z wieżowców wznosiła się niewielka przybudówka z cegieł i desek. Była nieduża, przeznaczona dla kogoś, kto mierzy cztery stopy wzrostu. Richards, wchodząc do środka, mocno uderzył się w głowę.

Chłopiec zasłonił wejście kawałkiem brudnej szmaty i zaczął majstrować przy jakimś urządzeniu. Przymocował niewielką żarówkę do starego akumulatora. Chwilę potem pomieszczenie zalała fala słabego światła.

- Sam zwędziłem ten akumulator - powiedział. - Bradley mi powiedział, jak mam go naprawić. On ma masę książek. Mam skarbonkę, wiesz? Dam ci ją, tylko mnie nie zabijaj. Lepiej tego nie rób. Bradley jest jednym ze Stabbersów. Jak mnie zabijesz, to tak się tobą zajmie, że zesrasz się w buty, a potem zaczniesz żreć własne gówno.

- Nie mam zamiaru nikogo zabijać - rzekł Richards. - A już na pewno nie takiego dzieciaka jak ty.

- Nie jestem dzieciakiem! Sam zwędziłem akumulator!

Wybuch wściekłości chłopaka sprawił, że Richards uśmiechnął się.

- W porządku. Jak ci na imię, mały?

- Nie jestem mały. - Po chwili dodał: - Stacey.

- W porządku, Stacey. Jestem uciekinierem. Wierzysz mi?

- Tak, uciekinierze. Przecież nie wyszedłeś z tego kanału, żeby kupić znaczek pocztowy. - Przyjrzał mu się uważniej. - Jesteś biały? Trudno orzec, taki jesteś ubłocony!

- Stacey, ja... - Przerwał i przesunął dłonią po włosach. Kiedy znów zaczął mówić, zdawało się, że mówi sam do siebie.

- Muszę komuś zaufać, a tu okazuje się, że przyszło mi zaufać dzieciakowi. Boże, przecież ty nie masz nawet sześciu lat!

- W marcu skończę osiem - odparł chłopiec ze złością. - Moja siostra Cassie jest chora na raka. Często krzyczy, dlatego lubię to miejsce. Sam zwędziłem akumulator. Chce pan rozbić moją skarbonkę?

- Nie. Ty też tego nie rób. Chcesz dwa dolce, Stacey?

- Chryste, tak! - Nieufność zniknęła z jego oczu. - Oszukuje mnie pan. Jest pan bez grosza.

Richards wyjął nowego dolara i dał go chłopcu. Ten patrzył na niego z wyraźnym przerażeniem w oczach.

- Dostaniesz drugiego, jak przyprowadzisz tu swego brata - powiedział Richards i dodał po chwili: - Dam ci go na stronie, żeby tego nie zauważył. Sprowadź go tu.

- Niech pan nie próbuje zabić Bradleya, to byłoby nierozsądne, psze pana. On pana załatwi. Zesra się pan...

- Wiem, wiem. Pospiesz się i sprowadź go tu. Poczekaj, aż będzie sam.

- Trzy dolce.

- Nie.

- Posłuchaj, facet, za trzy dolce mogę kupić Cassie trochę lekarstw. Nie będzie się tak darła...

Na twarzy mężczyzny pojawił się dziwny grymas, jakby ktoś niewidzialny uderzył go nagle w twarz.

- W porządku. Trzy dolce.

- Trzy nowe dolce - podkreślił chłopak.

- Tak, na Boga, tak! Sprowadź go. Jak ściągniesz tu gliny, nie dostaniesz ani grosza.

Chłopak zatrzymał się w pół kroku. Odwrócił się i rzekł z wyrzutem:

- Jesteś głupi, jeżeli myślałeś, że mógłbym zrobić coś takiego. Nienawidzę tych skurwysynów bardziej niż kogokolwiek innego. Bardziej niż diabła.

Wyszedł. Siedmioletni chłopiec dzierżący w swych brudnych, zniszczonych dłoniach jego życie. Richards był jednak tak zmęczony, że nie odczuwał z tego powodu strachu. Zgasił światło, położył się wygodnie i zasnął.

*MINUS 065. ODLICZANIE TRWA*

Zaczął właśnie śnić, kiedy niesamowicie wyczulone zmysły zmusiły go do przerwania krótkiej drzemki. Jeszcze przez chwilę wydawało mu się, że sen trwa nadal i że rzuca się nań olbrzymi policyjny pies - istna maszyna do zabijania wysoka na siedem stóp - kiedy ocknął się zakłopotany. Miał ochotę krzyknąć, ale Stacey uprzedził go szeptem:

- Jak rozwalisz mi lampę, to cię...

Uciszył go i włączył światło. Miał przed sobą Stacey'a i jeszcze jednego czarnego. Ten drugi wyglądał na osiemnaście lat. Miał na sobie czarną skórzaną kurtkę. Patrzył na Richardsa z zainteresowaniem i nienawiścią zarazem. Rozległ się trzask sprężynowca, ostrze błysnęło złowieszczo.

- Jesteś uciekinierem?

- Tak.

- Nie ufam temu skurwy... - przerwał. Jego oczy rozszerzyły się. - Hej, ty jesteś tym facetem z Free Vee. Rozwaliłeś budynek YMCA na Hunington Avenue. - Czerń jego twarzy rozjaśnił mimowolny uśmiech.

- Powiedzieli, że spaliłeś żywcem pięciu gliniarzy. Prawdopodobnie było ich piętnastu albo i więcej.

- Wyszedł z kanału - rzekł Stacey z powagą. - Od razu domyśliłem się, że to nie diabeł. Wiedziałem, że to jakiś biały sukinsyn. Załatwisz go, Bradley?

- Zamknij się i daj mężczyznom pogadać. - Bradley usiadł naprzeciwko Richardsa na odwróconej, popękanej skrzynce po pomarańczach. Spojrzał na nóż, który trzymał w dłoni najwyraźniej zdziwiony, że jeszcze go dotąd nie schował, po czym natychmiast zamknął go i włożył do kieszeni.

- Jesteś gorętszy niż słońce, przyjacielu - rzekł w końcu.

- To fakt.

- Dokąd zamierzasz się udać?

- Jeszcze nie wiem. Muszę wydostać się z Bostonu.

Bradley siedział w milczeniu rozmyślając.

- Możesz pójść z nami. Ze mną i Staceyem. W domu będziemy mogli swobodnie pogadać. Tu jest to raczej niemożliwe, teren jest zbyt otwarty.

- W porządku - rzekł ze zmęczeniem w głosie Richards. - Może być.

- Pójdziemy okrężną drogą. Dziś na ulicach aż roi się od tych drani. Teraz już wiem dlaczego.

Kiedy Bradley wyszedł, Stacey mocno kopnął Richardsa w łydkę. Ten przez chwilę patrzył nań ze zdziwieniem, aż wreszcie przypomniał sobie o co chodziło. Wcisnął chłopcu do ręki trzy nowe dolary. Stacey natychmiast schował je do kieszeni.



Kobieta była bardzo stara. Richards pomyślał, że jeszcze nigdy nie widział kogoś równie starego. Miała na sobie szlafrok z olbrzymią dziurą pod pachą. Pożółkłe od nikotyny palce poruszały się nerwowo, jakby przez cały czas obierały niewidzialne jabłko. Na nogach, powyginanych i zniekształconych latami ciągłego stania, nosiła różowe, miękkie kapcie. Jej włosy sprawiały wrażenie, jakby układała je trzymanym w drżącej dłoni przyrządem do fryzowania. Były zaczesane ku tyłowi na kształt piramidy przytrzymywanej starą, krzywo założoną siatką na włosy. Twarz była odbiciem lat, które miała za sobą - nie była brązowa czy czarna - po prostu szara, naznaczona zmarszczkami, obwisła, stara. W bezzębnych ustach trzymała papierosa, a kłęby dymu, które ją otaczały przypominały małe, okrągłe niebieskie piłki. Dym wypuszczała na przemian do przodu i do tyłu, opisując trójkąt pomiędzy ładą, ścianą i stołem. Pończochy miała podwinięte do kolan. Widział skrawek jej nóg z wyraźnymi, nabrzmiętymi żyłami. W pokoju unosiła się woń kapusty. Z sypialni dobiegł go głos Cassie. Dziewczynka krzyknęła głośno, przejmująco i ucichła. Bradley z wyraźnym zażenowaniem powiedział Richardsowi, że nie powinien zaprzętać sobie nią głowy. Miała raka płuc i najwyraźniej zaczęły się już przerzuty na gardło i żołądek. Dziewczynka miała pięć lat.

Pokój wypełnił się nagle zapachem pieczeni, jarzyn i sosu pomidorowego. Richards dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak bardzo był głodny.

- Mógłbym cię zabić, facet. Mógłbym cię zabić, zabrać forszę, którą masz przy sobie, a potem podrzucić gdzieś ciało. Jeszcze bym na tym zarobił.

- Nie zrobisz tego - rzekł Richards. - Wiem, że nie mógłbyś tego zrobić.

- A właściwie po co ty to robisz? - spytał Bradley z irytacją w głosie. - Dlaczego dajesz się im pierdolić? To cię bawi czy jak?

- Mam córkę imieniem Cathy. Jest młodsza niż Cassie. Ma zapalenie płuc. Cały czas płacze...

Bradley nie odpowiedział.

- Może wyzdrowieje. Ma przynajmniej szansę. Nie tak jak... Zapalenie płuc to po prostu silniejsze przeziębienie, ale potrzebne są lekarstwa i lekarz. A to kosztuje. Ten sposób zarobienia pieniędzy wydał mi się najodpowiedniejszy.

- Twardziel z ciebie - rzekł Bradley. - Połowa ludzi w Stanach chce twojej głowy, a ty mówisz o tym tak spokojnie, jak... Jesteś sprytniejszy ode mnie, facet. Kiedyś posłałem takiego jednego gościa do szpitala. Był nadziany. Gliny ścięły mnie przez trzy dni. Ty jesteś

sprytniejszy ode mnie. - Wyjął papierosa i zapalił. - Może uda ci się wytrwać te 30 dni. Miliard dolarów! Musiałbyś kupić chyba cały pieprzony pociąg, żeby zgarnąć tyle szmalu.

- Nie przeklinaj, na Boga - powiedziała stara kobieta z drugiego końca pokoju, gdzie obierała marchewkę.

- Wtedy ty i twoja córka moglibyście rozpocząć nowe życia. Było nie było, dwa dni masz już za sobą.

- Nie. W grze jest pewien haczyk. Widziałeś te dwa przedmioty, które dałem Staceyowi, żeby nadał je, kiedy wychodził z waszą matką do sklepu? Codziennie muszę wysyłać dwie takie taśmy.

Wyjaśnił Bradleyowi, że podejrzewa, iż tamci wyśledzili go w Bostonie na podstawie stempli pocztowych na kopertach.

- Łatwo się z tym uporać.

- Jak?

- Nieważne. Później. Jak zamierzasz wydostać się z Bostonu? Jesteś gorący. Rozwścieczyłeś ich, rozwalając tych gości w YMCA. Pokazywali to we Free Vee. A ten numer z maską na twarzy! To było niezłe. Mamo! - krzyknął ze zdenerwowaniem. - Kiedy zrobisz coś do żarcia? Zostaną z nas tylko cienie, jak tak dalej pójdzie.

- Jeszcze trochę - odpowiedziała kobieta. Położyła pokrywkę na garnek i poszła do sypialni, by usiąść przy łóżku dziewczynki.

- Nie wiem - powiedział Richards. - Spróbuję wykombinować jakiś samochód. Mam lewe papiery, ale chyba nie będę mógł ich używać. Może założę czarne okulary i będę próbował się stąd wyrwać. Myślałem o wyruszeniu do Vermont. Stamtąd mógłbym przedostać się do Kanady.

Bradley uśmiechnął się i postawił na stole talerze.

- Do tej pory z pewnością wszystkie drogi wyjazdowe zostały zablokowane. Człowiek w ciemnych okularach zawsze zwraca na siebie uwagę. Załatwiliby cię, zanim zdołałbyś przebyć pierwszych sześć mil.

- No to nie wiem - powiedział Richards. - Jeżeli tu zostanę, mogę przysporzyć ci kłopotów.

Bradley zaczął jeść.

- Prawdopodobnie uda się nam załatwić jakiś wóz. Ty masz sałatę, ja mogę użyczyć ci nazwiska. Jeden taki gość na Milk Street sprzeda mi winta za trzy paczki. Każę jednemu z moich kumpli dostarczyć go do Manchesteru.

W Manchesterze będzie bezpiecznie, bo oni przecież szukają cię tu, w Bostonie. Jadłś już, mamó?

- Tak, chwała Bogu. - Wyszła z sypialni. - Twoja siostra usnęła.
- To dobrze. - Zabrał się za hamburgera i dopiero po chwili dorzucił: - Gdzie Stacey?
- Poszedł po lekarstwa - odparła. - Tak przynajmniej powiedział.
- Jak go złapią na kradzieży, przetrąca mu kark - rzekł Bradley.
- Nic mu nie grozi - powiedział Richards. - Ma pieniądze.
- A może nie chcemy darowizny od ciebie, nie pomyślałeś o tym?

Richards roześmiał się i posolił zupę.

- Gdyby nie on, prawdopodobnie nie żyłbym już. Te pieniądze mu się należały.

Bradley rozsiadł się wygodnie, spoglądając w talerz. Do końca posiłku nie zamienili ani słowa. Kiedy zapalili papierosy, rozległ się szcęk przekręcanego w zamku klucza. Zastygli w bezruchu, dopóki ich oczom nie ukazał się Stacey. Był trochę przestraszony i wyraźnie podekscytowany, w ręce trzymał brązową torbę. Wręczył matce butelkę z lekarstwem.

- To najlepszy środek uśmierzający ból, jaki mogłem dostać - oznajmił. - Ten facet, Curry, zapytał mnie skąd mam forszę, ale powiedziałem mu żeby się odpierdolił.

- Przestań przeklinać. Zobaczysz, za te słowa diabeł porwie cię kiedyś do piekła! - powiedziała matka. - Tu masz obiad.

- O rany! - Oczy chłopca rozszerzyły się. - W tym jest mięso!
- Nie. Po prostu nasraliśmy w zupę, żeby była treściwsza - powiedział Bradley.

Chłopiec obejrzał się odruchowo, zdał sobie sprawę, że jego brat stroi sobie z niego żarty, roześmiał się i zabrał się do jedzenia.

- Czy aptekarz może pójść na policję? - spytał Richards.

- Curry? Nie! Widok pieniędzy odbierze mu mowę. Dobrze wie o chorobie Cassie. Wie, że musi brać środki uśmierzające ból.

- A co z Manchesterem?

- No tak, dobrze. Vermont odpada. To nie miejsce dla ciebie. Ludzie są tam inni niż tutaj. Gliny też są twardsze. Poproszę mojego dobrego kumpla Ricka Goleona, żeby dostarczył winta do Manchesteru i zostawił go w automatycznym garażu. Podrzucę cię na miejsce sam, innym wozem. - Zgasił papierosa. - W bagażniku. Boczne drogi nie będą tak dobrze obsadzone. Pojedziemy czterysta dziewięćdziesiątą piątą.

- To może być dla ciebie niebezpieczne.

- Jeszcze się taki nie urodził, który poradziłby sobie z Bradleyem - rzekł Stacey, wycierając usta. - Każdy kto z nim zacznie zesra się, a potem będzie musiał zreć własne gówno. - Patrzył na swojego brata z podziwem. W jego oczach Bradley był prawdziwym bohaterem.

- Pobrudziłeś sobie koszulę - rzekł Bradley. Szturchnął brata w głowę. - Uporałeś się już ze swoją porcją? Za mało ci było, co?

- Jeżeli nas złapią, wsadzą cię do pierdła. Kto wtedy zaopiekuje się chłopcem? - spytał Richards.

- Gdyby coś się stało, jest w stanie sam się o siebie zatroszczyć - odrzekł Bradley. - Ma jeszcze matkę. Nie będzie sam. Prawda, Stacey?

Stacey energicznie pokiwał głową.

- Wie dobrze, że gdybym znalazł na jego rękach ślady po strzykawce, rozpieprzyłbym mu łeb. Prawda, Stacey?

Chłopiec potwierdził.

- Ponadto mamy przecież forszę. Nie mówmy już o tym. Wiem co robię.

Richards palił papierosa w milczeniu, podczas gdy Bradley poszedł dać Cassie nową porcję lekarstwa.

Kiedy się obudził, było jeszcze ciemno. Była czwarta trzydzieści. Dziewczynka zaczęła krzyżeć i Bradley musiał wstać. Spali we trójkę w małej sypialni, Stacey i Richards na podłodze. Matka spała z Cassie. Mimo miarowego chrapania Staceya, Richards słyszał, jak Bradley wychodzi z pokoju. Rozległ się cichy brzęk łyżki. Krzyki dziewczynki z wolna przerodziły się w jęk, po czym ucichły. Bradley wrócił, usiadł, westchnął, a gdy się położył, dał się słyszeć zgrzyt uginających się sprężyn.

- Bradley?

- Co?

- Stacey mówi, że ona ma dopiero pięć lat. Czy to prawda?

- Tak. - Miejski akcent znikł z jego głosu tak, że brzmiał on teraz nierealnie i dziwnie nieswojo.

- Jak pięcioletnia dziewczynka mogła nabawić się raka płuc? Nie przypuszczałem, że to możliwe. Białaczka to tak, ale rak płuc?

Od strony łóżka dał się słyszeć stłumiony gorzki chichot.

- Jesteś z Harding, tak? Jakie jest tam stężenie zanieczyszczenia powietrza?

- Nie mam pojęcia - odparł Richards. - Takich informacji nie podają już od... od dawna.

- Od dwutysięcznego dwudziestego w Bostonie też nie - powiedział Bradley. - Boją się. Nie masz pewno filtrów nosowych?

- Chyba żartujesz - rzekł z irytacją Richards. - To gównu kosztuje dwieście dolców nawet w nędznych sklepikach. Przez cały ostatni rok nie widziałem dwustu dolarów. A ty?

- Nie - szepnął Bradley. - Stacey ma jeden. Matka i Rick Goleon też je mają...

- Zalewasz.

- Nie, facet.

Richards był pewien, że Bradley zastanawia się teraz nad tym, co już powiedział i co jeszcze miał do powiedzenia. Zastanawiał się, ile jeszcze mógł powiedzieć. Kiedy znów zaczął, mówił z wyraźnym trudem:

- Czytaliśmy. Free Vee to papka dla tępaków.

Richards przytaknął.

- Gang, rozumiesz. Niektórzy z naszej paczki za jedyną rozrywkę uważają zadymę z białasami. My zaś, jeszcze kiedy mieliśmy po dwanaście lat, zaczęliśmy wypuszczać się do biblioteki.

- Wpuszczali cię do Bostonu bez karty identyfikacyjnej?

- Nie. Nie dostałbym karty, gdybym nie miał poświadczenia osoby, której roczne pobory wynoszą około pięć tysięcy dolarów. Oczywiście musi to być ktoś z rodziny. Podwędziłem kartę jednemu tłustemu gnojowi. Jeździliśmy na zmianę. Na każdy taki wypad zakładaliśmy specjalne kombinezony. - Bradley urwał. - Jak się zaczniesz śmiać, to cię chlasnę, facet.

- Ani mi to w głowie.

- Z początku czytaliśmy tylko książki o seksie. Potem, kiedy Cassie zachorowała, znalazłem książkę o skażeniach. Wszystkie książki o zanieczyszczeniach, poziomie skażeń i filtrach nosowych znajdowały się w sektorze rezerwowym. Mieliśmy klucz, dorobiliśmy go z woskowej formy. Człowiek, czy wiedziałeś, że do dwutysięcznego dwunastego roku w Tokio wszyscy musieli nosić takie filtry?

- Nie.

- Rick i Dink Moran zbudowali miernik skażeń. Dink przerysował z książki wzorzec, a potem zrobił model z puszek po kawie i paru drobiazgów podwędzonych z samochodów. Ukryli go w alei. Już w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym ósmym roku poziom zanieczyszczenia powietrza podniósł się z jednego do dwudziestu stopni. Rozumiesz?

- Tak.

- Kiedy poziom skażeń wynosił jakieś dwanaście stopni, zamknięto wszystkie fabryki i zakłady zatruwające atmosferę. Było tak aż do tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego siódmego, kiedy Kongres Rewizyjny uchylił tę decyzję. Założę się, że znasz wielu ludzi cierpiących na astmę?

- Jasne - odrzekł Richards. - Pewno, że się z nią zetknąłem. Łapie się ją z powietrza. Chryste, wszyscy wiedzą, że kiedy jest gorąco, parno i pochmurno, siedzisz w domu i...

- Odwrotność temperatur - rzekł Bradley.

- Wielu ludzi cierpi na astmę. Powietrze w sierpniu i wrześniu działa jak syrop od kaszlu. Ale rak płuc...

- Nie mówisz teraz o astmie - przerwał mu Bradley. - Mówisz o rozedmie płuc.

Rozedma płuc - Richards powtórzył w myślach. Nie wiedział, co oznacza to słowo, choć wydawało mu się ono dziwnie znajome.

- Całe twoje płuca jakby puchną. Masz trudności z oddychaniem, jest ci ciężko. Znałeś ludzi, którzy na to chorowali?

Richards zamyślił się. Znał wielu ludzi, którzy umarli w ten sposób.

- Nie mówili o tym - rzekł Bradley, jakby czytał w myślach Richardsa. - Poziom skażenia powietrza w Bostonie wynosi teraz około dwudziestu stopni. To tak, jakbyś palił cztery paczki papierosów dziennie i próbował oddychać tym dymem. Czasami poziom zanieczyszczeń podnosi się aż do czterdziestu dwóch. W całym mieście starcy padają jak muchy. W ich aktach zgonu jako przyczynę śmierci podaje się astmę. Ale to wina powietrza. A jest go naprawdę coraz mniej. Olbrzymie kominy dymią przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Filtry za dwieście dolców są gównem warte. Ten tak zwany filtr to dwie warstwy materiału, pomiędzy którymi umieszczono warstwę nasyczonej mentolem bawełny. Naprawdę dobry sprzęt mają tylko w General Atomics. Tylko szczyty mogą sobie pozwolić na coś takiego. Dają nam Free Vee, ażeby powstrzymać nas przed wychodzeniem na ulicę. Jak pozdychamy w domach, to nie przysporzymy im tym samym niepotrzebnych kłopotów. I co ty na to? Najlepszy filtr nosowy, G.A, kosztuje w sklepie sześć tysięcy dolców, nowych dolców. Dzięki książce zrobiliśmy jeden taki dla Stacey'a. Kosztował dziesięć dolarów. I co ty na to?

Richards nie odpowiedział. Po prostu nie mógł powiedzieć słowa.

- Kiedy Cassie umrze to wydaje ci się, że jako przyczynę zgonu podadzą raka płuc? Gównem prawda. Astma, napiszą... Jeszcze by się ktoś przestraszył. Ktoś mógłby podpierdolić kartę do biblioteki i dowiedzieć się, że poziom zgonów spowodowanych przez przypadki raka podniósł się od dwutysięcznego piętnastego roku o siedemset procent.

- Czy to prawda? Na pewno wszystko to przeczytałeś?

- Wyczytałem to w książce. Człowieku, oni nas wykańczają. Free Vee nas wykańcza. To tak jak z magikiem, który przykuwa twoją uwagę gradem ciastek wypadających zza koszuli swego pomocnika, podczas gdy w tym samym czasie wyciąga ze spodni królika i wsadza go do kapelusza. - Przerwał, po czym dodał sennie:

- Czasami myślę, że gdyby dali mi szansę wypowiedzenia się przed kamerami Free Vee choć przez dziesięć minut, to mógłbym zburzyć spokojne wody ludzkiej nieświadomości. Powiedzieć im. Pokazać im. Gdyby Sieć tego chciała, każdy z nas mógłby mieć filtr ochronny.

- Nie mogę ci pomóc. Nie mogę pomóc nikomu - rzekł Richards.

- To nie twoja wina. Jesteś uciekinierem.

Przed oczami Richardsa pojawiły się twarze Killiana i Arthura M. Burnsa. Miał ochotę zrobić z nich miazgę, zetrzeć na proch, zdeptać... A jeszcze lepiej - zedrzeć im filtry ochronne z twarzy i wyprowadzić na ulicę.

- Ludzie są szaleni - rzekł Bradley. - Szaleni od trzydziestu lat. Potrzebują tylko powodu. Jednego, jedyne go powodu...

Richards usnął, mając w uszach to jedno wciąż powtarzające się słowo.



Przesiedział cały następny dzień w mieszkaniu, podczas gdy Bradley wybrał się na poszukiwanie samochodu i któregoś z członków swego gangu, który dostarczyłby wóz do Manchesteru. Bradley i Stacey wrócili o szóstej.

- Załatwione, facet. Ruszamy dziś w nocy.

- Teraz?

Bradley uśmiechnął się ponuro. Wskazał na odbiornik Free Vee.

- A nie chcesz zobaczyć, jak wszyscy od wybrzeża do wybrzeża prześcigają się w poszukiwaniach?

Richards uznał, że to nie byłoby złe i kiedy na ekranie ukazała się plansza UCIEKINIERA, wbił w nią wzrok z wyraźnym zainteresowaniem. Z mroku wyłoniła się nagle patrząca nieruchomymi oczyma w kamerę twarz Bobby Thompsona.

- Spójrzcie - powiedział. - Oto wilk, który krąży teraz gdzieś tam, pośród was...

Na ekranie pojawiła się twarz Richardsa. Pozwolono widzom podziwiać ją przez moment, po czym pokazano drugie ze zdjęć, tym razem ukazujące nowe oblicze Richardsa - Johna Griffena Springera. Thompson był wyraźnie przygnębiony.

- Dzisiejszej nocy zwracam się szczególnie do mieszkańców Bostonu. Wczoraj po południu w podziemiach budynku YMCA w Bostonie zostało spalonych żywcem pięciu policjantów. Zginęli z ręki tego okrutnego potwora, który zastawił na nich sprytną i bezlitosną pułapkę. Kim jest dzisiejszej nocy? Gdzie jest dzisiejszej nocy? Spójrzcie! Spójrzcie na niego raz jeszcze!

Na ekranie pojawił się teraz zapis z dwóch taśm, które Richards nagrał tego ranka. Stacey wrzucił je do skrzynki na drugim końcu miasta przy Commonwealth Avenue. Matka ustawiła kamerę w tylnej sypialni, zasłaniając uprzednio okno i wynosząc meble.

- Wszyscy będziecie to oglądać - powiedział ekranowy Richards. - Nie chodzi mi tu o techników czy pracowników stacji telewizyjnych. Nie o tych gnojów mi chodzi. Chodzi mi o was, mieszkańców Development, gett, dzielnic nędzy. O was, członków motocyklowych gangów. O was, bezrobotnych. O was, oskarżonych o domniemane posiadanie narkotyków i o was, oskarżonych o zbrodnie, których nie popełniliście. Sieć chce upewnić się, że nie dojdzie do spotkania między wami. Chce upewnić się, że się ze sobą nie dogadacie. Chcę opowiedzieć o potwornym spisku, którego szczegóły...

W tym momencie głos stał się mieszanką pisków, zgrzytów i dziwaczych charkotów. Parę sekund potem umilkł na dobre. Usta Richardsa poruszały się, ale słowa były niesłyszalne.

- Zdaje się, że nie mamy dźwięku - rozległ się głos Bobby Thompsona. - Ale chyba nie musimy słuchać tego bezlitosnego mordercy i jego idiotycznych oświadczeń. Myślę, że wszyscy wiemy, z kim mamy do czynienia.

- TAAAK - ryknął tłum.

- Co zrobicie, gdy zobaczycie go na waszej ulicy?

- WYDAMY GO!

- A co my zrobimy, gdy go odnajdziemy?

- ZABIJECIE GO!

Richards uderzył pięścią w oparcie krzesła.

- To skurwysyny! - rzekł bezradnie.

- A myślałeś, że puszcza to na antenie? - spytał Bradley. - Człowieku, i tak się dziwię, że puścili taki długi kawałek...

- Nie - odparł Richards.

- Tak też myślałem - dorzucił Bradley.

Na ekranie rozpoczęło się właśnie jego drugie wystąpienie. W tym wejściu Richards zwracał ludziom uwagę na biblioteki i prawdę o rzeczywistości. Odczytywał listę książek dotyczących skażenia wody i zanieczyszczenia powietrza, którą podał mu Bradley. Postać Richardsa otworzyła usta.

- Do diabła z wami wszystkimi - powiedziała. Usta zdawały się wypowiadać inne słowa, ale ile spośród dwóch milionów obserwujących to osób zdołało to zauważyć?

- Pieprzę was. Pieprzę Komisję Gier. Rozpierzolę każdego skurwysyna, którego napotkam na swojej drodze. Roz...

Richards miał dość. Miał ochotę zatkać uszy i wybiec z pokoju. Przekaz skończył się i na ekranie pojawiła się twarz Thompsona, a w jego tle oblicze Richardsa.

- Spójrzcie na tego człowieka - rzekł Thompson. - Ten człowiek jest w stanie zabić. Ten człowiek jest w stanie spowodować, że grupy jemu podobnych wykolejeńców zaczną grasować na naszych ulicach, grabiąc, podpalając, gwałcąc i mordując. Ten człowiek jest w stanie okłamać was, a nawet zabić. Ma na swoim koncie niejedno istnienie ludzkie! Benjaminie Richards! - Głos był pełen chłodnej wściekłości. - Oglądasz ten program? Dostaniesz swoje okrwawione pieniądze. Sto dolarów za każdą godzinę, mija właśnie

pięćdziesiąta czwarta, odkąd jesteś na wolności. I dodatkowe pięćset dolarów, po setce za każdego z tych pięciu ludzi.

Na ekranie pojawiły się twarze pięciu policjantów. Wyglądali jakby dopiero opuścili mury Akademii Policyjnej. Na ich twarzach widniała świeżość, nadzieja i łamiąca serce prostota. W tle rozległy się dźwięki trąbki. - A to...- Thompson zniżył głos - były ich rodziny.

Żony - uśmiechnięte, pełne nadziei. Dzieci, rozbawione widokiem kamery. Dużo dzieci. Richards spuścił głowę i przytknął dłoń do ust. Na szyi poczuł dotyk dłoni Bradleya.

- Daj spokój, facet. To lipa. Tych pięciu gości to było pewno pięciu starych wyjadaczy, którzy...

- Zamknij się - rzekł Richards. - Po prostu nic nie mów. Proszę. Nic nie mów...

- Pięćset dolarów - rzekł Thompson z pogardą i nienawiścią w głosie.

Na ekranie raz jeszcze pojawiło się oblicze Richardsa. Twarz była zimna, pozbawiona wszelkich uczuć, jedynie w jego oczach zdawała się płonąć żądza mordu.

- Pięciu policjantów. Pięć żon, dziewiętnaścioro dzieci. Wypada po siedemnaście dolarów i dwadzieścia pięć centów na każdego ze zmarłych, na każdą z sierot, na każde ze złamanych serc. O, tak! Jesteś tani, Benie Richards. Nawet Judasz otrzymał trzydzieści srebrników za swoją zdradę. Ty nie zażądałeś nawet tyle. Może teraz, gdzieś tam, któraś z tych matek mówi małemu chłopcu, że jego tatuś nigdy już nie wróci do domu, bo pewien zdesperowany, okrutny człowiek z rewolwerem...

Na ekranie pojawiła się twarz młodej kobiety.

- Morderca! - szlochała. - Nikczemny, wstrętny morderca! Bóg cię za to ukarze!

- Ukarze cię za to! - podjął tłum.

- Spójrzcie na tego człowieka! Otrzymał swoje okrwawione pieniądze, ale pamiętajcie: Kto mieczem wojuje, od miecza ginie! I niech dłoń każdego mężczyzny uniesie się teraz przeciwko Benowi Richardsowi!

Nienawiść i strach przybierały na sile. Nie, oni nie uniosą przeciw niemu rąk. Po prostu rozerwą go na strzępy, gdy tylko go zobaczą. Bradley wyłączył obraz.

- Teraz już wiesz, na czym stoisz. Sam widzisz.

- Może uda mi się ich wykończyć - rzekł Richards pełnym zamyślenia głosem. - Może, nim mnie złapią, uda mi się dostać na jedno z najwyższych pięter tego wieżowca i dorwać tych drani. Może uda mi się załatwić ich wszystkich.

- Przestań! - wybuchnął Stacey. - Ani słowa więcej! Daj spokój!

W drugim pokoju Cassie spała niespokojnym, narkotycznym snem umierającej.

Bradley nie odważył się wiercić otworu w podłodze bagażnika, Richards więc skulił się jak mógł najbardziej, przytykając usta i nos do wąskiej plamki światła - otworu zamka bagażnika. Samochód ruszył gwałtownie. Bradley powiedział, że podróż potrwa około półtorej godziny, a po drodze czekają ich co najmniej dwie, a może i więcej, blokady drogowe. Zanim zamknął bagażnik, wręczył Richardsowi olbrzymi rewolwer.

- Przeszukują co dziesiąty, może co dwunasty wóz - oświadczył. - Otwierają bagażnik i robią niezły bałagan. Nasze szanse wynoszą więc mniej więcej jednaście do jednego. Jeżeli się nam nie uda, to przynajmniej rąbniesz sobie paru z nich.

Wóz trząśł się i chybotał, jadąc po pokrytych dziurami i licznymi pęknięciami ulicach wewnętrznego miasta. Jakiś dzieciak zachichotał i rzucił w bagażnik grudką asfaltu. Potem otoczyły ich odgłosy innych pojazdów i co jakiś czas zaczęli zatrzymywać się na światłach. Richards leżał cierpliwie, trzymając rewolwer luźno w prawej dłoni. Zastanawiał się, jak Bradley wyglądał w stroju członka gangu młodzieżowego. Teraz miał na sobie elegancki, dwurzędowy nowy garnitur i wąski, dobrze dobrany krawat z wpiętą weń złotą szpilką. Nie przypominał już członka gangu, zamieniając się w typowego, czarnego urzędnicy.

- Wyglądasz świetnie - rzekł Richards z podziwem.

- Naprawdę wspaniale!

- Bój się Boga! - powiedziała matka.

- Wygląda na to, że zrobiłem na tobie dobre wrażenie - rzekł Bradley z powagą w głosie. - Jestem kierownikiem okręgowym Raygon Chemicals, rozumiesz. Nasze interesy w tym regionie po prostu kwitną. Niezłe miasto ten Boston. Bardzo wesołe.

Stacey wybuchnął śmiechem.

- Ty, czarny, lepiej stul pysk - powiedział Bradley. - Bo jak nie, to ci tak dopierdołę, że popamiętasz.

- Niezły z ciebie twardziel, Bradley - zaśmiał się Stacey. - Kurwa, naprawdę.

Wóz skręcił w prawo na łagodniejszą nawierzchnię i zjechał szerokim łukiem w dół ulicy. Zatrzymali się przy rozwidleniu dróg. Stąd prowadził zjazd na czterysta dziewięćdziesiątą piątą albo na autostradę. Richards czuł, jakby ktoś przytykał mu do nóg końcówki przewodów pod napięciem. Jeden na jednaście. Szansa była duża.

Samochód jechał teraz trochę szybciej, pokonał niewielkie wzniesienie, przyspieszył i nagle gwałtownie zaczął zwalniać.

Przeraźliwie bliski głos rozlegał się z monotonną regularnością.

- Przejeżdżać, przygotować prawo jazdy i dowód rejestracyjny, przejeżdżać...  
przygotować...

A więc to już. Zaczęło się. Był naprawdę niebezpieczny. Chcieli jego głowy. Czy aż tak bardzo, że zaczną sprawdzać co ósmy, a nawet co szósty samochód? A może sprawdzają każdy wóz? Samochód stanął. Oczy Richardsa przypominały oczy schwytanego w sidła królika. Zacisnął mocniej dłoń na kolbie rewolweru.

*MINUS 060. ODLICZANIE TRWA*

- Proszę wysiąść z wozu, sir - rzekł pełen wewnętrznej powagi głos. - Dowód rejestracyjny i prawo jazdy poproszę.

Drzwi otworzyły się i zamknęły. Silnik chodził wolno.

- Kierownik okręgowy Raygon Chemicals - usłyszał Richards.

Przyszła kolej na Bradleya. Boże, a jeśli policjant nie da się na to nabrać? Jeżeli Raygon Chemicals nie istnieje? - myślał Richards. Tylne drzwi otworzyły się i ktoś zaczął gramolić się na siedzenie. Wyglądało to tak, jakby gliniarz albo członek Straży Państwowej miał zamiar dołączyć do Richardsa w niezbyt przytulnym wnętrzu bagażnika.

Drzwi zamknęły się z trzaskiem. Z tyłu samochodu rozległ się tupot kroków. Richards oblizwał wargi i wzmocnił uchwyt na kolbie rewolweru. Przed oczyma miał obraz zabitych policjantów. Widział ich łagodne, anielskie oblicza i poskręcane, okrwawione ciała. Zastanawiał się, czy gliniarz zdąży zasypać go gradem kul z pistoletu maszynowego, kiedy otworzy bagażnik i zobaczy w nim zwiniętego w kłębek Richardsa. Zastanawiał się, co zrobi Bradley. Czy będzie próbował ucieczki? Czuł, jak jego napięte mięśnie powoli zaczynają się rozluźniać. Gorączkowe myśli przebiegały mu przez głowę. Pośle kulę prosto w podstawę nosa i w czoło gliniarza. Kawalki mózgu i rozwalonej czaszki rozbryzną się wokół. Następnym kilka sierot. Tak. To dobrze. Jezus mnie kocha, wiem o tym. Chryste, co on tam robi? Wrywa siedzenia? Sheila, Kocham cię. Na jak długo wystarczy ci sześć stów? Na rok? Być może, jeżeli wcześniej nie zabiją cię dla tych pieniędzy. Potem znów na ulicę, w górę, w dół, szybko za róg, rozstawić nogi, żeby poflirtować z pustym portfelem. „Hej, mister, może masz ochotę na mnie? Nauczę cię jak...”.

Dłoń zastukała ostrożnie w klapę bagażnika. Richards o mało nie krzyknął. Miał zapchany nos, piekło go w gardle.

- Co jest w bagażniku, sir?

Bradley odpowiedział trochę zmienionym głosem:

- Zapasowy cylinder, bo ten nie działa najlepiej. Klucz jest przy kluczyku w stacyjce. Chwileczkę, zaraz otworzę.

- Jak będę chciał go otworzyć, to powiem.

Drugie z tylnych drzwi otworzyły się i zamknęły po chwili.

- Ruszaj.

- Bądź czujny, przyjacielu. Mam nadzieję, że go dostaniecie.

- Ruszaj, sir. Ruszaj już.

Samochód ruszył i zaczął z wolna nabierać prędkości. Zwolnił raz jeszcze, ale najwyraźniej pozwolono im przejechać. Przy każdym oddechu z gardła Richardsa wydobywał się cichy, stłumiony jęk.

Jazda zdawała się trwać dłużej niż półtorej godziny. Zatrzymywali się jeszcze dwukrotnie. Raz była to rutynowa kontrola dokumentów. Za drugim razem gliniarz o posepnym głosie rozmawiał przez jakiś czas z Bradleyem o tym, jak ci cholerni motocykliści pomogli temu facetowi, Richardsowi, i temu drugiemu pewno też. Laughlin nikogo nie zabił, ale krążyły plotki, że zgwałcił jakąś kobietę w Topece.

Potem nie było już nic, tylko monotonne wycie wiatru i jęk jego wymęczonych do granic wytrzymałości mięśni. Nie spał, zapadł w półsen. Kilka godzin po ostatniej blokadzie - tak przynajmniej mu się wydawało - wóz zwolnił, po czym skręcił łagodnym łukiem w stronę rampy wyjazdowej. Zbierało mu się na wymioty. Po raz pierwszy w życiu poczuł oznaki choroby lokomocyjnej. Po długiej serii skrętów, bardziej lub mniej łagodnych domyślił się, że znajdowali się teraz na jednej z zatłoczonych miejskich ulic. W pięć minut potem odgłosy ulicy ucichły. Richards próbował zmienić niewygodną pozycję, ale okazało się to niemożliwe. Zrezygnował więc z dalszych prób. Czekał tylko, aż uciążliwa jazda dobiegnie końca. Prawa ręka, na której się opierał, zdrętwiała całkowicie. Była teraz równie nieczuła jak kawałek drewna. Dotykał jej końcem nosa i czuł tylko nacisk, jaki ręka wywierała na nos. Skręcili w prawo, przez jakiś czas jechali prosto, po czym znowu skręcili. Kiedy wóz zjechał w dół pod ostrym kątem, uderzył boleśnie żebrami o dno bagażnika. Odgłos silnika świadczył o tym, że znajdowali się już w garażu. Westchnął z ulgą.

- Masz rezerwację, koleś? - spytał głos.

- Proszę, przyjacielu.

- Podjazd piąty.

- Dzięki.

Ruszyli w prawo. Wóz wjechał pod górę, zwolnił, skręcił w prawo, po czym raz jeszcze w lewo. Samochód jechał coraz wolniej, wreszcie stanął. Koniec podróży. Nastąpiła chwila ciszy, którą przerwał odgłos otwieranych i zamykanych drzwi.

Bradley podszedł do bagażnika. Gdy włożył klucz w otwór zamka, plamka światła przed oczyma Richardsa znikła.

- Jesteś tam, Bennie?

- Nie - skrzeknął. - Zostawiłeś mnie na granicy stanu. Otwórz to draństwo i wypuść mnie.



- Jeszcze chwileczkę. Parking jest teraz pusty. Twój wóz stoi obok mojego, po prawej. Możesz wyjść z bagażnika w miarę szybko?

- Nie wiem.

- To spróbuj. Musimy stąd spływać.

Pokrywa uniosła się, wewnątrz zalała fala przyjemnego światła. Richards podniósł ramię, przerzucił nogę przez krawędź bagażnika. Okazało się, że nie jest w stanie zrobić nic więcej. Zdrętwiałe ciało krzyczało z bólu. Bradley chwycił go za ramię i pomógł wydostać się z bagażnika.

Nogi ugiwały się pod nim. Bradley objął go ramieniem, zaciągnął do zielonego winta zaparkowanego po prawej i pomógł wsiąść. Usadowiwszy Richardsa na siedzeniu, zamknął drzwi. W chwilę potem zajął miejsce w swoim samochodzie.

- Jezu! - rzekł cicho. - Zrobiliśmy to człowieku. Zrobiliśmy to.

- Tak - rzucił Richards.

Palili w półmroku, końce papierosów jarzyły się niczym czerwone ślepia bestii. Przez krótką chwilę nie odzywali się do siebie.

*MINUS 058. ODLICZANIE TRWA*

- Niewiele brakowało. O mały włos wpadlibyśmy na pierwszej blokadzie - powiedział Bradley.

Richards próbował rozruszać bolące ramię. Wydawało mu się, że ktoś wbija w nie niewidzialne gwoździe.

- Ten gliniarz prawie otworzył bagażnik. - Wypuścił z ust potężny obłok dymu. Richards nie odezwał się.

- Jak się czujesz? - spytał Bradley.

- Trochę lepiej. Wyjmij mój portfel. Nie mogę jeszcze zbyt dobrze poruszać ręką. Bradley machnął ręką.

- To później. Chcę powiedzieć ci, co Rick i ja przygotowaliśmy dla ciebie.

Richards przypalił następnego papierosa. Czuł, że powoli odzyskuje władzę w ręce.

- W hotelu na Winthrop Street zarezerwowaliśmy dla ciebie pokój. Hotel nosi nazwę Winthrop House. Nazwisko brzmi Ogden Grassner. Zapamiętasz?

- Tak. Rozpoznają mnie chyba natychmiast.

Bradley sięgnął na tylne siedzenie. Wyjął spod niego spore pudło i podał je Richardsowi. Było długie, brązowe i przewiązane sznurkiem. Richards spojrział na niego ze zdziwieniem.

- Otwórz je.

Zrobił to. Wewnątrz znalazł parę okularów o grubych niebieskawych szklach. Leżały na stercie ubrań czarnego koloru. Richards położył okulary na deskę rozdzielczą i wyjął strój z pudełka. Była to szata księdza. Na dnie pudełka znajdował się także różaniec, Biblia i liliowa stuła.

- Ksiądz? - spytał Richards

- Oczywiście. A teraz przebieraj się. Pomogę ci. Na tylnym siedzeniu znajdziesz też laskę. Nie, nie, nie masz grać roli niewidomego. Po prostu masz kłopoty ze wzrokiem. Wpadasz czasami na różne rzeczy. Jesteś w Manchesterze, by wziąć udział w Soborze Kościelnym. Chodzi o problem nadużywania narkotyków. Kapujesz?

- Tak - odpowiedział. Zawahał się i znieruchomiał z palcami na guzikach koszuli. - Czy pod tę szatę powinienem włożyć spodnie?

Bradley wybuchnął śmiechem.

Wioząc Richardsa przez miasto, mówił energicznie:

- W teczce masz paczkę kopert. Teczka jest w bagażniku. Koperty mają stemple z napisem: Po pięciu dniach odesłać na adres Brickhile Manufacturing Company, Manchester. Rick i jeszcze jeden gość zajmą się tym. Czekają na przesyłkę w głównej kwaterze Stabbersów na Boylston Street. Codziennie będziesz wysyłał do mnie dwie taśmy w paczce, do której włożysz jedną z tych kopert. Wyślę je z Bostonu osobiście. Będę wysyłał je ekspresem. To najlepszy sposób.

Wóz skręcił w uliczkę wiodącą pod budynek Winthrop House.

- Samochód będzie czekał na parkingu opodal. Nie próbuj wyjeżdżać z Manchesteru, chyba że wcześniej zmienisz swoje przebranie. Musisz być teraz kameleonem, przyjacielu.

- Jak uważasz, jak długo będę tu bezpieczny? - spytał Richards.

Oddałem się w jego ręce - pomyślał. Wyglądało na to, że nie potrafił już sam myśleć racjonalnie tak jak kiedyś. - Masz rezerwację na tydzień. Być może przez ten czas nie wydarzy się nic złego, ale kto wie, mogą się przecież mylić. Bądź czujny. W walizce znajdziesz nazwisko i adres pewnego faceta. To mój kumpel w Portland, w Maine. Ukryją cię tam przez dzień lub dwa. To cię będzie kosztowało, ale będziesz bezpieczny. Muszę się zmywać, facet. Tu wolno się zatrzymywać tylko na pięć minut. Czas na pieniądze.

- Ile? - spytał Richards.

- Sześćset.

- Pieprzysz. To nawet nie pokryło twoich kosztów.

- Pokryło. Zostanie jeszcze nawet parę dolarów dla rodziny.

- Weź tysiąc.

- Forsa jeszcze ci się przyda, koleś.

Richards spojrzał nań bez słowa.

- Wyślesz nam więcej, jeżeli ci się poszczęści. Wyślesz nam milion. Wyciągniesz nas z tego bagna.

- Myślisz, że mi się poszczęści?

Bradley uśmiechnął się smutno, ale nie odpowiedział.

- A więc dlaczego? - spytał Richards - Dlaczego tyle dla mnie zrobiłeś? Byłbym w stanie zrozumieć, gdybyś zdecydował się mnie sypnąć. Ja też bym tak zrobił. Ale chyba

naraziłeś się przez to innym gangom. Wypuściłeś się jakby trochę za daleko. Twoje wpływy tu nie sięgają.

- Oni się w tę sprawę nie mieszają. Znają regułę.

- Jaka?

- Odpłacić pięknym za nadobne. Gdybyśmy sami zdecydowali się na taki wypad, potraktowaliby nas odpowiednio. Nie trzeba by było ich o to prosić. Równie dobrze moglibyśmy odkręcić rurę od pieca we własnym mieszkaniu, włączyć Free Vee i czekać.

- Ktoś cię kiedyś zabije - rzekł Richards. - Ktoś uweźmie się na ciebie i skończysz gdzieś w piwnicy z wyprutymi bebechami.

Oczy Bradleya błysnęły nieznacznie.

- Nadchodzą złe czasy, tak mi się przynajmniej wydaje. Złe czasy dla skurwysynów z żołądkami wypchanymi smażoną wołowiną. Widzę krew na Księżycu. Broń, krew i płomienie. Nadchodzi ich koniec.

- Ludzie mieli taką wizję od dwóch tysięcy lat.

Rozległ się brzęczyk oznaczający, że pięć minut minęło. Richards sięgnął ręką w stronę klamki.

- Dziękuję - powiedział. - Nie wiem, co mam ci powiedzieć... Jak...

- Idź już - rzekł Bradley.

Silna, brązowa dłoń zacisnęła się na skraju szaty. - A kiedy cię dostaną, zabierz ze sobą choćby kilku z nich...

Richards otworzył bagażnik, by wyjąć z niego czarną torbę. Bradley bez słowa podał mu laskę.

Samochód łagodnie włączył się w ruch uliczny. Richards stał przez chwilę na zakręcie, patrząc, jak wóz się oddala. Tylne światła błysnęły raz jeszcze na rogu, po czym samochód skręcił, zmierzając w stronę parkingu, gdzie Bradley miał go zostawić i przesiąść się do drugiego - tego, którym wróci do Bostonu.

Richards poczuł wyraźną ulgę. Uznał, że zaczął darzyć Bradleya sympatią. Pewno cieszy się, że w końcu się mnie pozbył - pomyślał. Udał, że nie zauważył pierwszego stopnia schodów przy wejściu do Winthrop Hotel i skorzystał z pomocy odźwiernego.

Minęły dwa dni. Richards dobrze odgrywał swoją rolę. Grał można by rzec, jakby od tego zależało jego życie. Kolacje zamawiał do pokoju. Wstawał o siódmej, czytał Biblię w holu, po czym udawał się na „spotkanie”. Pracownicy hotelu traktowali go z pogardliwą serdecznością, tak jak zazwyczaj odnosili się do na wpół niewidomych, nieporadnych księży. W dniach, gdy prawo zalegalizowało morderstwo, w Egipcie i Ameryce Południowej zanosilo się na wojnę, a w Nevadzie królowało bezprawie. Papież był mamrocącym dziewięćdziesięciosześcioletnim starcem, a jego edykty dotyczące bieżących wydarzeń podawano zazwyczaj w żartobliwej formie na zakończenie wieczornych wiadomości.

Richards odbywał swoje „spotkania” w pomieszczeniach wynajętej biblioteki, gdzie przy zamkniętych drzwiach czytał artykuły o skażeniach. Po 2002 roku było na ten temat mało informacji, a to, co znajdował, klóciło się zazwyczaj z tym, o czym czytał wcześniej. Rząd jak zwykle posługiwał się starą, wyjątkowo skuteczną metodą dwójmyślenia.

O dwunastej w południe, potykając się i przepaszając popychanych „niechąco” ludzi udawał się na lunch do restauracji na rogu, niedaleko hotelu. Popołudnia spędzał w pokoju; jadł kolację, oglądając UCIEKINIERA. Nagrał już cztery taśmy i wysłał je rano w drodze do biblioteki. Z Bostonu do miejsca swego przeznaczenia dotarły najwyraźniej bez większych przeszkód. Producenci programu przyjęli taktykę zagłuszania jego przekazu na temat skażeń, choć ci, którzy potrafili czytać z ust zapewne odebrali jego przesłanie. Tłum zagłuszał jego głos burzą okrzyków, wulgaryzmów i wymyślań. Pewnego popołudnia Richards doszedł do wniosku, że w ciągu tych pięciu dni, od chwili gdy rozpoczęła się jego ucieczka, coś się w nim zmieniło. Spowodował to Bradley - Bradley i ta mała dziewczynka. Nie był już sobą, samotnym mężczyzną walczącym o swoją rodzinę - walczył teraz o nich wszystkich, zachłystujących się skażonym powietrzem. Nigdy nie był społecznikiem. Patrzył na te sprawy z pogardą i zde gustowaniem. Społeczników postrzegał jako naiwnych frajerów, którzy mają za dużo wolnego czasu i pieniędzy. Jego ojciec zwiął pewnej nocy, gdy Richards miał pięć lat. Był zbyt mały, by go pamiętać. Wspomnienia dotyczące ojca tworzyły zaledwie serię nie powiązanych ze sobą, zamglonych czasem obrazów. Nigdy jednak nie znienawidził ojca za to. Rozumiał, że człowiek mogący wybrać pomiędzy dumą a odpowiedzialnością zawsze wybierze dumę, jeżeli odpowiedzialność obędzie go do cna z męskości. Prawdziwy mężczyzna nie jest w stanie patrzeć spokojnie, jak jego żona zarabia na jedzenie, rozkładając nogi. Jeżeli mężczyzna miałby być dla kobiety, którą poślubił jedynie zwyczajnym alfonsem,

byłoby lepiej, gdyby od razu popełnił samobójstwo. Richards zarabiał jako alfons od najmłodszych lat, wraz z bratem. Skończył z tym, mając piętnaście lat. Matka zmarła na syfilis, kiedy miał dziesięć lat, a jego brat Todd siedem. Pięć lat później Todd zginął, kiedy hamulec awaryjny olbrzymiej ciężarówki powietrznej zawiódł u szczytu wzgórza w chwili, gdy Todd zajmował się załadunkiem. Ciała zarówno matki, jak i syna odesłano do miejskiego krematorium. Dzieciaki z ulicy nazywali je wytwórnią popiołu albo krematornią. Było to gorzkie i bolesne, ale większość z nich wiedziała, że czeka ich właśnie taki koniec. W wieku szesnastu lat Richards został sam, pracując po szkole na normalnej ośmiogodzinnej zmianie jako czyściciel maszyn. Był zdany tylko na siebie. Wkrótce potem ożenił się. On i Sheila spędzili pierwszy rok spokojnie, oczekując przyjścia dziecka. Kiedy nadzieje zawiodły, ich zapał jakby osłabł. Zamieszkali w Co-Op City, w apartamencie zarezerwowanym dla nowożeńców. Krąg znajomych ograniczyli jedynie do mieszkańców budynku, w którym się znajdowali. Richards nie miał nic przeciwko temu. Pracował teraz na pełnych obrotach i kiedy tylko mógł, brał nadgodziny. Nie miał najmniejszych szans na awans. Ich miłość nie przeminęła. Richards był typem samotnika, człowiekiem potrzebującym uczucia i umiejącym wywrzeć silny wpływ na kobietę, którą dla siebie wybrał. Nie zmienił się ani odrobinę. W ciągu jedenastu lat ich małżeństwa nigdy nie doszło do poważniejszych scysji. W 2018 roku rzucił pracę, bo z każdą zmianą, którą spędzał za słabą, przestarzałą ołowianą płytą ochronną General Atomics coraz bardziej tracili nadzieję, że kiedykolwiek doczekają się dzieci. Może wszystko potoczyłoby się inaczej, gdyby skłamał brygadziście, gdy ten zapytał go o powód rzucenia pracy. Richards odpowiedział jasno i wyraźnie co myśli o General Atomics, a potem wyjaśnił co brygadzista może zrobić za pomocą wszystkich płyt ochronnych znajdujących się na terenie zakładu. Rozmowa zakończyła się rękoczynem.

Informacje o Richardsie zaczęły zataczać szerokie kręgi. Jest niebezpieczny. Trzymajcie się od niego z daleka. Jeśli naprawdę potrzebujecie w danej chwili rąk do pracy to owszem, przyjmijcie go, a po tygodniu wylejcie faceta za bramę. Richards otrzymał wilczy bilet w General Atomics. W ciągu następnych pięciu lat przez jakiś czas pracował jeszcze jako roznosiciel gazet, ale wraz z nadejściem Free Vee skończyła się na dobre epoka słowa pisanego. Richards wylądował na bruku. Zmieniał miejsca pracy jak rękawiczki. Chwytał się, czego mógł, łapał dorywcze dostawy i pojedyncze dniówki. Wielkie wydarzenia dziesięciolecia minęły go nie zauważone jak duchy przepływające w powietrzu obok niewierzącego w nie człowieka. Nie słyszał nigdy o Masakrze Gospodyń w 2024 roku, dopóki w trzy tygodnie po tym wydarzeniu nie opowiedziała mu o nim żona. Dwustu gliniarzy uzbrojonych w pistolety maszynowe i elektryczne pałki rozbiło pochód kobiet zmierzający w

stronę dyspozytorni żywności Southwest. Zginęło sześćdziesiąt kobiet. Nie wiedział, że w starciach na Dalekim Wschodzie użyto gazów bojowych. To wszystko zdawało się go nie dotyczyć - zarówno protesty, demonstracje, jak i użycie przemocy. Świat był tym, czym był, a Ben Richards przedzierał się przezeń na podobieństwo miniaturowej kosy. Niczego nie żądał - po prostu szukał pracy. Pracował przy moło, oczyszczając jego filary z galaretowatego szlamu i w kanałach odwadniających, podczas gdy inni bezrobotni, którzy w głębi serca wierzyli, że szukają pracy, nie robili kompletnie nic.

Jakiś czas potem wyszło nawet owe nikłe źródło pracy dorywczej. Nie mógł znaleźć dla siebie niczego. Jakiś zalany bogacz w jedwabnym kombinezonie zaczął go pewnego wieczoru na ulicy i zaproponował, że da Richardsowi dziesięć nowych dolarów, jeżeli ten zdejmie spodnie. Chciał naocznie przekonać się czy to prawda, że - jak powiadają - ci uliczni włóczędzy mają członki długości trzydziestu centymetrów. Richards dał mu w zęby i uciekł. Wtedy właśnie po dziewięciu latach prób Sheila zaszła w ciążę. Ludzie w budynku mówili, że to będzie potworek. Będzie miał dwie głowy i ani jednego oka. Promieniowanie.

Na świat przyszła Cathy. Okrągłutka, doskonała, krzykliwa. Poród odbierała akuszerka z dolnego bloku. Wzięła za swoją robotę pięćdziesiąt centów i cztery piwa.

Teraz zaś, po raz pierwszy od dnia śmierci swego brata, stał się bierny. Wszystkie oznaki jakiegokolwiek nacisku po prostu przestały dla niego istnieć. Całą swoją uwagę i złość skoncentrował na Federacji Gier i jej powiązaniu z innymi organizacjami na całym świecie. Grubasy z filtrami na twarzach spędzający wieczory z lalkami w atlasowych desusach. Nie miał jak się do nich dostać. Górowali nad nimi jak budynek Gmachu Gier.

Rozmyślał o tym, bo był tym, kim był. Był sam i zmienił się wewnętrznie. Nie zdawał sobie sprawy, że siedząc samotnie w pokoju i rozmyślając o tym, uśmiechał się. Jego uśmiech przypominał uśmiech wilka i sam w sobie zdawał się burzyć budynki i kruszyć asfalt ulic. Był to ten sam uśmiech, który wykwitł na jego ustach tego niemal zapomnianego dnia, gdy rozprawił się z pewnym nadzianym facetem, a potem uciekł z pustymi kieszeniami, i zamętem w głowie.

Ojciec Ogden Grassner z kolacją na tacy i butelką wina zasiadł przed ekranem Free Vee, by obejrzeć kolejne wydanie UCIEKINIERA. Część pierwsza poświęcona Richardsowi niczym nie różniła się od programów dwóch ostatnich wieczorów. Ryk tłumu w studio zagłuszał głos z taśmy. Bobby Thompson był uprzejmy i zjadliwy. W Bostonie przeszukano dom po domu. Każdego, kto udzieliłby schronienia uciekinierowi skazano by na karę śmierci. Richards uśmiechnął się gorzko. Nie było tak źle, jak to sobie wyobrażał. Na swój sposób było to nawet zabawne. Druga część programu była, o dziwo, inna. Thompson uśmiechnął się radośnie.

- Po obejrzeniu taśm, które nam przysłał ten potwór ukrywający się pod nazwiskiem Bena Richardsa chciałbym z nie ukrywaną przyjemnością przekazać państwu nader radosną wiadomość...

Dostali Laughlina. W piątek wpadli na jego trop w Topece, ale intensywne poszukiwania prowadzone przez całą sobotę i niedzielę zakończyły się niepowodzeniem. Richards przypuszczał, że Laughlinowi, tak jak i jemu, udało się prześliznąć niepostrzeżenie przez policyjne blokady. Tego popołudnia jednak Laughlin został zauważony przez dwójkę dzieci. Ukrywał się w przydrożnym magazynie departamentu autostrad. Miał prawą rękę złamaną w nadgarstku. Na ekranie pojawiła się dwójka dzieci, Bobby i Mary Cowles. Dzieciaki uśmiechały się radośnie do kamery. Bobby Cowles nie miał jednego zęba. Zastanawiam się, czy Wróżka Zębatka przyniesie mu ćwierćdolarówkę - pomyślał gorzko Richards. Thompson oświadczył z dumą, że Bobby i Mary Cowles (honorowi mieszkańcy Topeki) pojawią się w jutrzejszym wydaniu UCIEKINIERA, by odebrać dyplomy zasłużonych, dożywotnie abonamenty na Fun Twinks i czeka na tysiąc nowych dolarów wystawione przez gubernatora stanu Kansas. Tłum podniósł radosną owację. W dalszym ciągu programu pokazano, jak podziurawione niczym sito, bezwładne ciało Laughlina wnoszono z szopy. Zmasowany ogień z broni maszynowej zmienił drewniany budynek w olbrzymi stos drewnienek do zapalek. Tłum w studio zareagował na ten widok mieszanką stłumionych chichotów i porozumiewawczych szeptów.

Richards odwrócił się od ekranu, przygnębiony i przepelniony obrzydzeniem. Cienkie, niewidzialne palce zdawały się wpijać w jego skronie. Z oddali dobiegały go kolejne słowa spikera:



- Ciało zostało wystawione w rotundzie gmachu stanowego Kansas. Obok ciała przemaszerowały już długie szeregi mieszkańców miasta. Policjant, z którym przeprowadzono wywiad i który był świadkiem zabicia Laughlina stwierdził, że uciekinier nie stawiał większego oporu.

To miło z twojej strony - pomyślał Richards, wspominając Laughlina, jego gorzki głos i dziwne, szydercze spojrzenie. Pozostał sam. Gwiazda programu, Ben Richards, tego wieczora nie miał już ochoty na kolację.

Tej nocy miał wyjątkowo zły sen. Było to rzeczą niezwykłą, Richards nigdy nie śnił o niczym. Co było jeszcze dziwniejsze - nie istniał w tym śnie jako osoba. Był jedynie niewidzialnym obserwatorem. W pokoju panował półmrok, na obrzeżach jego kąta widzenia - całkowita ciemność. Zdawało mu się, że słyszy odgłos kapiących kropel. Miał wrażenie, że znajduje się gdzieś głęboko pod ziemią. Pośrodku pokoju, na drewnianym krześle, ze skórzanymi pasami na rękach i nogach siedział Bradley. Miał ogoloną głowę jak więzień. Otaczało go kilkanaście zakapturzonych postaci. Łowcy - pomyślał Richards. O Boże, to Łowcy!

- Ja nie jestem tym człowiekiem - rzekł Bradley.

- Jesteś, jesteś, mały bracie - powiedziała jedna z postaci w kapturze i wbiła igłę w policzek Bradleya. Bradley krzyknął przeraźliwie.

- Czy jesteś tym człowiekiem?

- Pierdol się!

Igła bez trudu przeszła gałkę oczną Bradleya. Gdy ją wyciągnięto, ociekała gęstym bezbarwnym płynem. Oko Bradleya wyglądało jak przedziurawiona, sflaczała piłka.

- Czy jesteś tym człowiekiem?

- Wsadź to sobie w dupę.

Elektryczna pałka dotknęła karku Bradleya. Krzyknął raz jeszcze.

- Czy jesteś tym człowiekiem?

- Filtry nosowe przyprawią was o raka płuc - rzekł Bradley. - Wszyscy gnijecie od wewnątrz, łajdaki.

Postać w kapturze przebiła mu drugie oko.

- Czy jesteś tym człowiekiem?

Bradley, choć oślepiiony, śmiał się z nich. Jedna z zakapturzonych postaci skinęła ręką i z ciemności wyłoniły się sylwetki Bobbiego i Mary Cowles. Zaczęły tańczyć wokół Bradleya śpiewając:

- Kto się boi wielkiego, złego wilka? Wielkiego, złego wilka...?

Bradley zaczął krzyczeć i miotać się na krześle. Próbował unieść ręce w obronnym geście. Dzieci śpiewały coraz głośniej i głośniej, echo stawało się niemożliwe do zniesienia. Naraz zaczęły się zmieniać. Ich głowy wydłużyły się i pociemniały od krwi, usta otwarły się. Kły zabłysły niczym ostrza brzytw.

- Powiem! - krzyknął Bradley. - Powiem! Powiem! To nie ja jestem tym człowiekiem.  
Jest nim Ben Richards! Powiem, Boże! O Boże...!

- Gdzie jest ten człowiek, braciszku?

- Powiem, powiem. On jest w...

Ale słowa zagłuszył śpiew dzieci. Nachylały się właśnie w stronę wyprężonej jak struna szyi Bradleya, gdy Richards obudził się zlany zimnym potem.

Nie był już bezpieczny w Manchesterze. Nie wiedział, czy to z powodu informacji o śmierci Laughlina, czy z powodu snu, czy też po prostu czuł wewnętrzną potrzebę opuszczenia tego miasta - ot, dziwne przeczucie. We wtorek rano nie udał się jak zazwyczaj do biblioteki. Czuł, że pozostając w tym miejscu rzuca wyzwanie losowi. Patrząc przez okno, widział zakapturzonego Łowcę w każdym przechodniu i taksówkarzu. Miał wizję uzbrojonych ludzi zbliżających się bezszelestnie do drzwi jego pokoju. Czuł jak pod czaszką tyka mu jeden wielki zegar.

Parę minut po jedenastej przed południem przemógł się wreszcie. Wziął laskę i ruszył niepewnym krokiem w stronę wind, po czym zjechał do holu.

- Wychodzicie, ojciec Grassner? - spytał recepcjonista jak zwykle z pogardliwym uśmiechem na ustach.

- Mam wolny dzień - rzekł Richards. - Czy w tym mieście jest jakieś porządne kino? Wiedział, że w Manchesterze było co najmniej dziesięć kin. W ośmiu wyświetlano zazwyczaj trójwymiarowe filmy porno.

- No cóż, jest takie kino, Center. Dziś powinni wyświetlać Disneya.

- Może być Disney - odparł Richards i wyszedł z hotelu, wpadając po drodze na doniczkę z palmą. Dwa bloki dalej wszedł do drugstore'u, gdzie kupił sporą rolkę bandaża i parę tanich, aluminiowych kul. Sprzedawca zapakował zakupione przedmioty do długiego, kartonowego pudełka. Samochód był dokładnie tam, gdzie miał być i jeżeli parking był obstawiony, to Richards po prostu tego nie zauważył. Wsiadł do samochodu i włączył silnik. Przez chwilę chciał zrezygnować, wiedział bowiem, że nie ma prawa jazdy, które mogłoby mu gwarantować bezpieczeństwo. W końcu jednak przeszedł nad tym do porządku dziennego. Jego przebranie przy dokładnym badaniu i tak by zawiodło. Jeżeli napotka blokadę na drodze, po prostu będzie próbował się przebić. Prawdopodobnie zginie, ale wiedział, że oddanie się w ich ręce oznaczałoby śmierć. Wrzucił okulary Ogdena Grassnera do schowka na rękawiczki i wyjechał z parkingu, machając obojętnie w stronę chłopaka pełniącego służbę strażnika przy szlabanie. Chłopak uniósł leniwie głowę znad magazynu porno, który właśnie przeglądał. Przy wyjeździe z miasta Richards uzupełnił zapas sprężonego powietrza. Pracownik stacji wyglądał na tak przerażonego, że nawet na niego nie spojrzał. Jak dotąd szło nieźle. Zjechał z dziewięćdziesiątej pierwszej na siedemnastą, stamtąd zaś na nie oznaczoną szosę. Trzy mile dalej skręcił w boczną drogę i wyłączył silnik.

Spoglądając w lusterko wsteczne, jak tylko mógł najszybciej obandażował sobie głowę. Na jednej z gałęzi starego wiązu siedział ptak i podśpiewywał radośnie.

Nieźle. Jeżeli w Portland mu się powiedzie, może jeszcze dokupi sobie efektowny kołnierzyk. Położył kule na siedzeniu obok i uruchomił silnik. Czterdzieści minut później włączył się w ruch uliczny w okolicy Portsmouth. Wjechał na dziewięćdziesiątą piątą, sięgnął do kieszeni i rozprostował pomietą, złożoną kartkę papieru, którą zostawił mu Bradley. Przeczytał słowa napisane ostrożnym pismem samouka:

*94 State Street, Portland BLUE DOOR GUESTS*

*Elton Parrakis i Virginia Parrakis*

Richards zamyślił się na chwilę, po czym uniósł wzrok. Górnym pasem autostrady mknął żółto-czarny policyjny wóz patrolowy. Ciężki krążownik policyjny jechał również jednym z pasów autostrady w dole. Przez chwilę wydawało mu się, że został otoczony, ale pojazd policyjny niczym baletnica wyminął w serii łagodnych zygzaków wolniej jadące wozy i znikł w oddali. Rutynowy patrol uliczny.

Po przejechaniu dalszych paru mil poczuł, że kamień spadł mu z serca. Miał ochotę śmiać się i wymiotować jednocześnie.

Do Portland dotarł spokojnie, bez żadnych przygód. Zanim dojechał jednak do rogatek miasta, minął pnące się w górę przedmieścia Scarborough (wytworne domy, ulice, prywatne szkoły otoczone ogrodzeniami pod napięciem) i uczucie ulgi jakby na nowo zaczęło go opuszczać. Mogli być gdziekolwiek. Być może już go otaczali. Być może jeszcze ich tu nie było. State Street była dzielnicą willową, przypominała olbrzymi park, a niekiedy nawet miniaturową dżunglę; miejsce, gdzie jak przypuszczał Richards zbierali się przedstawiciele miejskiej szumowiny: pedały, dziwki i złodzieje. Po zmroku nikt nie odważyłby się znaleźć w tej dzielnicy bez psa policyjnego na smyczy czy ochrony kilku kumpli - członków jednego z wielu ulicznych gangów. Dom noszący numer 94 był rozpadającym się ze starości budynkiem o oknach przesłoniętych starymi, zielonymi kotarami. Richardsowi przypominał zgrzybiałego, umierającego człowieka, którego oczy pokryte są kataraktą. Skręcił w boczną uliczkę, zatrzymał wóz i wysiadł. Na ulicy znajdowało się wiele opuszczonych pojazdów powietrznych. Niektóre z nich były przeżarte przez rdzę. Na skraju parku, przewrócony na bok leżał studebaker. W tej dzielnicy prawo najwyraźniej nie obowiązywało. Jeżeli zostawi się wóz bez opieki, za piętnaście minut znajdzie się przy nim kilku bystrookich chłopców. W pół godziny potem kilku z nich wyjmie swoje narzędzia pracy - łomy, metalowe pręty, śrubokręty. W godzinę z samochodu zostanie jedynie szkielet.

Mały chłopiec podbiegł do Richardsa niepewnie opartego na swoich kulach. Nabrzmałe, lśniące blizny po oparzeniach zmieniły jedną stronę twarzy chłopca w upiorne oblicze Frankensteina.

- Dymka, psze pana? Mam świetny towar. Zaniesie pana aż na Księżyc. - Zaśmiał się dyskretnie, a skóra na jego oparzonej twarzy naciągnęła się groteskowo.

- Spierdalaj - rzucił krótko Richards.

Chłopak próbował wykopać spod niego kulę, ale Richards zamachnął się i trafił go w piszczel. Chłopak uciekł, klnąc na czym świat stoi. Richards powoli wszedł po kamiennych schodach i spojrzał na drzwi. Były niegdyś niebieskie, ale farba przybladła. Obok futryny zauważył ślad po dzwonku. Zapukał. Nic. Zapukał ponownie. Było już późne popołudnie i na ulicy robiło się chłodno. W domu nie było nikogo. Czas ruszać w dalszą drogę. Zapukał jednak jeszcze raz, powodowany wewnętrznym przecuciem, że w domu mimo wszystko ktoś jest. Tym razem nagroda go nie ominęła. Usłyszał szelest stóp obutych w miękkie pantofle. Ktoś stanął przy drzwiach.

- Kto tam? Niczego nie potrzebuję. Proszę odejść.

- Powiedziano mi, że mogę się tu do kogoś zgłosić.

W otworze judasza pojawiło się na sekundę brązowe oko.

- Nie znam pana. - Delikatnie dawano mu do zrozumienia, że powinien odejść.

- Powiedziano mi, żebym zapytał o pana Eltona Parrakisa.

- A więc jest pan jednym z tych...

Zasuwy, jedna po drugiej, zostały otwarte. Opadły łańcuchy. Rozległ się szcęk otwieranych dwóch zamków. Z głuchym trzaskiem odsunięto grubą, policyjną zasuwę. Na koniec właściciel odblokował specjalny zamek zapadkowy typu TrapBolt. Drzwi stanęły otworem. Richards ujrzał przed sobą płaską jak deska kobietę o dużych, pokrytych węzłami żył dłoniach. Na jej twarzy nie naznaczonej nawet jedną zmarszczką czas jak dotąd nie wycisnął jeszcze swego bezlitosnego piętna. Miała prawie sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, i to w pantoflach. Jej kolana były spuchnięte. Artretyzm spowodował, że przypominały swym wyglądem pnie drzew. Włosy miała owinięte ręcznikiem. Brązowe oczy były inteligentne i przepełnione dzikimi błyskami. Trudno powiedzieć, czy owe iskierki wywołał strach czy gniew. Później zrozumiał, że kobieta była po prostu zastraszona, niemal na skraju wytrzymałości psychicznej.

- Jestem Virginia Parrakis - powiedziała. - Matka Eltona. Proszę wejść.

Nie poznała go. Zaprowadziła go do kuchni, by zaparzyć herbatę.

- Ellona nie ma teraz w domu - powiedziała, pochylając się nad starym, aluminiowym czajnikiem ustawionym na kuchence.

Światło było tu mocniejsze. Widział plamy zacieków na tapecie, kilkanaście martwych much leżących na parapecie - pozostałości minionego lata, stare linoleum pokryte siatką czarnych pęknięć i stertę paków wokoło przeciekającej rury. W pomieszczeniu unosił się zapach środka dezynfekcyjnego. Richardsowi przypominał się wieczór w mieszkaniu, w którym na wąskim łóżku leżała chora dziewczynka. Kobieta przeszła przez kuchnię. Jej obrzmiałe palce z trudem przesuwaly stertę różnych rupieci zaścielających blat stołu, dopóki nie odnalazły dwóch torebek herbaty. Jedna z nich była już używana, przypadła ona Richardsowi. Wcale go to nie zdziwiło.

- Pracuje - powiedziała, wyraźnie akcentując to słowo. - Przysłał cię ten typek z Bostonu, ten, do którego Eltie pisał w sprawie skażeń, tak?

- Tak, pani Parrakis.

- Spotkali się w Bostonie. Mój Ellon naprawiał automatyczne dystrybutory.

Zatrzymała się na chwilę, po czym powoli ruszyła z powrotem w stronę kuchenki.

- Powiedziałaam Eltiemu, że Bradley postępuje niezgodnie z prawem. Powiedziałaam mu, że grozi to więzieniem, albo nawet czymś gorszym. On mnie nie słuchał. Nie słucha już swojej starej matki. - Uśmiechnęła się. - Elton zawsze lubił majsterkować. Gdy był chłopcem, zbudował na drzewie czteropokojowy domek dla ptaków. To było dawno, zanim ścięli ten olbrzymi wiąz, rozumie pan. Ten pomysł ze zrobieniem stacji pomiarów zanieczyszczeń nie był najlepszy. - Włożyła torebki do filiżanek i stanęła plecami do Richardsa, ogrzewając dłonie nad palnikiem. - Oni korespondowali. Powiedziałaam mu, że pisanie listów jest niebezpieczne. Pójdiesz do więzienia albo i gorzej, powiedziałaam. Powiedział: „Mamo, my przecież posługujemy się kodem. On mnie prosi o tuzin jabłek, ja mu piszę, że mój wujek czuje się coraz gorzej”. Ja na to: „Eltie, czy wydaje ci się, że oni nie potrafią złamać tego waszego szyfru? Nie słucha mnie. A powinien. To ja powinnam być jego jedynym najlepszym przyjacielem. Czasy się zmieniły. Pod jego łóżkiem znajduję jakieś okropne magazyny. A teraz ten czarnuch. Złapią go na badaniu poziomu zanieczyszczeń i do końca życia nie zazna spokoju”.

- Ja...



- To nieważne - rzuciła ostro w kierunku okna. Wychodziło na niesamowicie zagracony i zaśmiecony ogród. - To nieważne! - powtórzyła. - Te czarnuchy... - Odwróciła się do Richardsa, jej ciemne oczy przepelniała wściekłość. - Mam sześćdziesiąt pięć lat, a kiedy się to wszystko zaczęło, miałam dziewiętnaście i byłam całkiem niebrzydką dziewczyną. To było w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym roku. Te czarnuchy były wszędzie. Wszędzie. Wysyłali tych czarnuchów do szkół razem z białymi, radykałowie, wichrzyciele i buntownicy. - Prawie krzyczała. - Dostali się nawet do rządu. Ja to bym... - Przerwała, jakby słowo nagle pękło w jej ustach na pół. Po raz pierwszy zobaczyła wyraźnie twarz Richardsa. - Boże wszechmogący - wyszeptała.

- Pani Parrakis...

- Nic z tego! - powiedziała podniesionym głosem. - Nic z tego! Nic z tego! O nie!

Ruszyła w jego stronę, zatrzymała się na chwilę przy kontuarze, wzięła zeń długi, błyszczący nóż rzeźnicki i przyspieszyła kroku.

- Jazda stąd! Wynocha, ale już!!!

Wstał i wolno zaczął się wycofywać, najpierw przez krótki hol pomiędzy kuchnią i spowitym mrokiem salonem, potem przez salon. Zauważył wiszący na ścianie automat telefoniczny z czasów, gdy dom prosperował zupełnie nieźle jako zajazd. Blue Door Guests. Kiedy to było? - zastanawiał się Richards. Przed dwudziestu laty? Przed czterdziestu? Jeszcze przed czasami Murzynów, czy już po? Dotarł do holu prowadzącego do drzwi wejściowych, kiedy rozległ się zgrzyt przekręcanego w zamku klucza. Oboje zamarli w bezruchu, jakby boska dłoń zatrzymała nagle film, by zastanowić się, jak poprowadzić dalszą akcję.

Drzwi otworzyły się i wszedł Elton Parrakis. Był bardzo gruby, a szesane ku tyłowi, faliste włosy ukazywały pyzata, dziecięcą twarzyczkę zastygłą w wyrazie kompletnego zdziwienia. Miał na sobie niebiesko-złoty kombinezon Vendo-Spendo-Company.

Spojrzał w zamyśleniu na Virginię Parrakis.

- Odłóż nóż, mammo!

- Nic z tego! - krzyknęła, ale grymas na jej twarzy świadczył, że opór słabł.

Parrakis zamknął drzwi i ruszył w jej stronę. Uśmiechnął się. Zaczęła się cofać.

- Nie może tu zostać, synku. To ten niegodziwiec, ten Richards. To oznacza więzienie albo coś gorszego. Nie chcę, żebyś poszedł siedzieć!

Zaczęła płakać. Upuściła nóż i ukryła twarz w dłoniach. Objął ją ramieniem i przytulił.

- Nie pójde do pierdla - powiedział.

Ponad jej ramieniem uśmiechnął się do Richardsa. Ten nie poruszył się. Czekał.

- A teraz - rzekł Parrakis, kiedy płacz matki zmienił się w ciche pochlipywanie - pan Richards pomieszka tu z nami przez parę dni, mamó. To dobry przyjaciel Bradleya Throckmorta.

Chciała krzyknąć, ale zasłonił jej usta dłonią, mrugając porozumiewawczo.

- Tak, mamó. Tak właśnie będzie. Ja zajmę się jego wozem, a ty pójdziesz jutro na pocztę i nadasz przesyłkę do Cleveland.

- Do Bostonu - rzekł Richards automatycznie. - Taśmy idą do Bostonu.

- Teraz będziemy je wysyłać do Cleveland - rzekł Elton Parrakis z łagodnym uśmiechem. - Bradley musiał wiać.

- O Boże!

- Ty też będziesz musiał uciekać. - warknęła na syna pani Parrakis. - Złapią cię! Jesteś za gruby!

- Zabiorę teraz pana Richardsa na górę i pokażę mu pokój, mamó.

- Pan Richards! Pan Richards! Czemu nie mówisz mu po imieniu: Truczna!

Parrakis ruszył po schodach na górę. Richards podążył za nim.

- Tam na górze jest wiele pokoi - powiedział Elton. - Kiedy byłem dzieckiem, mieliśmy wielu klientów. Wybiorę najlepszy pokój. Będziesz mógł obserwować ulicę.

- Może lepiej pójdę. Jak złapią Bradleya, to co powiedziała twoja matka może okazać się prawdą.

- Oto twój pokój - powiedział Parrakis, otwierając z impetem drzwi do zakurzonego, cuchnącego wilgocią pomieszczenia. Zdawał się nie słyszeć słów Richardsa.

- Nie oferujemy tu wielkich wygód, niestety, ale - odwrócił się do Richardsa z przepaszającym uśmiechem - możesz zostać tu tak długo, jak tylko zechcesz. Bradley Throckmorton to najlepszy przyjaciel, jakiego kiedykolwiek miałem. - Uśmiech na jego twarzy jakby trochę przygasł. - Jedyne przyjaciel, jakiego kiedykolwiek miałem. Będę miał oko na moją mamę. Nic się nie martw.

- Lepiej sobie pójdę - powtórzył Richards.

- Wiesz dobrze, że nie możesz. Tym bandażem nie zdołałeś zmylić nawet mojej mamy. Muszę zabrać w bezpieczne miejsce pański wóz, panie Richards. Porozmawiamy później.

Wyszedł szybkim krokiem. W pokoju pozostała po nim słaba woń skruchy i pokory. Odsunawszy nieco zielone zasłony Richards zauważył, że chłopak wychodzi przed dom i wsiada do samochodu. Wysiadł z niego po krótkiej chwili. Ruszył niemal biegiem z powrotem w stronę domu. Richards poczuł w sercu zimne ukłucie strachu. Na schodach

zadudniły głośne kroki. Drzwi otworzyły się. Elton wszedł do pokoju i uśmiechnął się do Richardsa.

- Mama miała rację - powiedział. - Nie nadaję się na tajnego agenta. Zapomniałem kluczyków.

Richards podał mu je i zażartował:

- Nawet pół tajnego agenta to lepiej niż nic.

Parrakis wyszedł. Po chwili mały samochód, którym Richards przyjechał z New Hampshire ruszył w stronę parku.

Richards oczyścił łóżko z pokrywającej je warstwy kurzu i położył się na nim powoli, oddychając głęboko i patrząc bezmyślnie w sufit. Na dole matka Eltona popłakiwała z cicha.

Drzemał trochę, ale nie mógł spać. Było już bardzo późno, gdy na schodach rozległy się kroki Ellona. Richards z prawdziwą ulgą postawił stopy na podłodze. Kiedy Parrakis wszedł, Richards zobaczył, że przebrał się - miał teraz na sobie sportową kurtkę i dżinsy.

- Zrobione - powiedział. - Stoi w parku.

- Zostanie rozebrany?

- Nie - rzekł Elton. - Mam taki drobiazg, akumulator i dwa krokodylkowe zaczepy. Jeśli ktoś dotknie wozu łomem, to tak go potrząśnie, że popamięta. No i włączy się przy tym alarm. Niezła robota. Sam to wykombinowałem. - Usiadł z cichym westchnieniem.

- A co z tym Cleveland? - spytał Richards.

Parrakis wzruszył ramionami.

- To taki chłopak jak ja. Spotkałem go w Bostonie, w bibliotece. Badacz skażeń. Mama pewno już o tym wspominała. - Zatarł ręce i uśmiechnął się ponuro.

- Owszem, wspominała.

- Ona jest... jakby trochę niedzisiejsza - powiedział Parrakis. - Nie zdaje sobie sprawy z tego, co się wydarzyło w ciągu ostatnich dwudziestu lat. Boi się przez cały czas. Jestem dla niej wszystkim.

- Jak myślisz, złapią Bradleya?

- Nie wiem. Ma niezłe powiązania... - mówiąc to, spuścił wzrok.

- Ty...

Drzwi otworzyły się i stanęła w nich pani Parrakis. Ręce miała założone na piersiach. Uśmiechała się, ale jej oczy były oczami szaleńca.

- Wezwałam policję - powiedziała. - Teraz będziesz musiał odejść.

Twarz Eltona stała się blada jak płótno.

- Kłamiesz!

Richards wstał i słuchał w milczeniu. W oddali rozległ się dźwięk policyjnych syren.

- Nie kłamie - oznajmił. - Zaprowadź mnie do samochodu!

- Ona kłamie! - zaprotestował Elton.

Wstał, prawie dotknął ramienia Richardsa i nagle odsunął rękę, jakby obawiając się, że może się sparzyć. - To straż pożarna.

- Zaprowadź mnie do samochodu. Szybko!

Dźwięk syren stał się głośniejszy, wznosił się i opadał, zanosząc się nieustannym jękiem. Przejmował Richardsa nieopisaną grozą. Był zamknięty w domu z dwójgim szaleńców, podczas gdy...

- Mamo! - krzyknął chłopiec z twarzą wykrzywioną grymasem.

- Wezwałam ich! - Wyciągnęła rękę i złapała syna za ramię, jakby chciała nim potrząsnąć. - Musiałam! Zrobiłam to dla ciebie! To wszystko przez tego obrzydliwego czarnucha! Powiemy, że się włamała i jeszcze nam za to zapłacą!

- Chodź. - Elton skinął na Richardsa i próbował odsunąć rękę matki zaciśniętą kurczowo na jego ramieniu. Wpiła się w nie jak dziki pies wgrzyzający się w gardło swojej ofiary.

- Musiałam! Musiałam coś zrobić, żebyś przestał robić to, co robisz, Eltie. Ty przecież nie możesz... Eltie! - krzyknęła. - Eltie!

Odepchnął ją silnie. Znalazła się pod przeciwległą ścianą i upadła na łóżko.

- Szybko - rzekł Elton z twarzą przepełnioną wyrazem przerażenia i rozpacz. - Pośpieszmy się.

Zbiegli po schodach i wypadli przed dom. Z góry dobiegł ich krzyk pani Parrakis, który przerodził się w ochrypły wrzask i zmieszał z jękiem nadciągających syren.

- Zrobiłam to dla cieeebieee...!

Biegli, a ich cienie goniły ich, gdy przebiegali w świetle starych ulicznych lamp. Elton Parrakis z trudem łapał powietrze. Znaleźli się po drugiej stronie ulicy, gdy oświetliły ich reflektory zbliżającego się samochodu. Na dachu policyjnego wozu błyskał niebieski kogut. Pojazd zatrzymał się sto metrów od nich.

- Richards! Ben Richards! - ryknął głos przez megafon.

- Twój wóz stoi przed nami, widzisz? - rzucił Elton.

Richards z trudem zdołał go dostrzec. Parrakis zaparkował go pod nisko zwieszającymi się gałęziami drzewa nad brzegiem stawu. Policyjny krążownik nagle obudził się do życia. Tylne koła pozostawiły na asfalcie ślady stopionej gumy, gdy wóz na pełnych obrotach pomknął w stronę stojącej na skraju parku dwójki uciekinierów. Samochód wziął ostry zakręt, promienie reflektorów zatoczyły szeroki łuk i wycelowały w nich swe jasne ślepie.

Richards odwrócił się w ich stronę. Czuł dziwny spokój, który jak paraliż owładnął całe jego ciało. Cofając się, wyciągnął z kieszeni pistolet Bradleya. W zasięgu wzroku prócz tego jednego nie było innych samochodów. Wóz pędził w ich stronę poprzez trawę, opony ryły głębokie bruzdy w czarnej ziemi.

Strzelił dwukrotnie w przednią szybę. Pajęczna sieć pojawiła się na niej jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, ale pociski nie przebiły twardego szkła. W ostatniej chwili uskoczył i przetoczył się po ziemi. Sucha trawa omiotła mu twarz. Podniósł się na kolana i wypalił jeszcze dwa razy w tył samochodu. Wóz zawracał. Błękitne światło obracało się powoli w mroku nocy, zmieniając ją w koszmar. Krążownik znalazł się pomiędzy nim a samochodem. Elton zdążył jednak dotrzeć do wozu, pracował nad wymontowaniem swego elektrycznego urządzenia z drzwi. Ktoś wychylił się z okna policyjnego samochodu. Mrok wypełnił głuchy, kaszlący dźwięk. Pistolet maszynowy typu Sten. Kule wyryły w ziemi wokół Richardsa skomplikowaną mozaikę. Odpryski ziemi uderzyły go w twarz, przyklejały się do policzków i czoła. Ukląkł jak do modlitwy i raz jeszcze wypalił w przednią szybę. Tym razem kula przeszła szkło. Wóz mknął prosto na niego. Uskoczył w lewo. Potężny stalowy zderzak trafił go w lewą nogę, rozłupując kostkę. Upadł na twarz. Gdy samochód zawracał, silnik ryczał na pełnych obrotach. Światła reflektorów raz jeszcze go odnalazły. Richards próbował wstać, ale złamana kostka nie była już w stanie go utrzymać. Z trudem chwytając powietrze, patrzył na zbliżający się samochód. Wszystko wydawało się jakby wyolbrzymione,

surrealistyczne. Adrenalina wprawiła go w stan dziwnego delirium. Scena wokół rozgrywała się jakby w zwolnionym tempie. Nadciągający policyjny wóz przypominał olbrzymiego, ślepego bizona. Znow rozległ się szczęk Stena. Tym razem kula trafiła go w lewe ramię. Impet uderzenia odrzucił w tył. Ciężki wóz skręcił, próbując go dosięgnąć. Przez krótką chwilę miał szansę oddać celny strzał do mężczyzny siedzącego za kierownicą. Wypalił, odłamki szyby rozprysły się wokół. Samochód zaczął przechylać się niebezpiecznie, po czym runął bezwładnie na bok, przetoczył się na dach aż wreszcie zwałił się na drugi bok i znieruchomiał. Silnik zgasł. Nagle w ciszy rozległ się trzask policyjnej radiostacji. Parrakis siedział już za kierownicą, próbując uruchomić samochód, ale widocznie wiedziony paniką zapomniał o otwarciu przewodu zabezpieczającego. Za każdym razem, kiedy przekręcał kluczyk z komór powietrznych dobiegał jedynie głuchy, astmatyczny łoskot. Ciszę nocy zaczęły rozcinać odgłosy zbliżających się policyjnych wozów.

Był wciąż pięćdziesiąt jardów od wozu, gdy Elton zrozumiał, na czym polegał jego błąd i zwolnił dźwignię zabezpieczającą. Gdy teraz przekręcił kluczyk, silnik zaskoczył i pojazd powietrzny ruszył w stronę Richardsa. Podniósł się z trudem, otworzył gwałtownie drzwi i runął bezwładnie na siedzenie.

Parrakis skręcił na siedemdziesiątą siódmą łączącą się ze State Street. Spód samochodu niemal otarł się o krawężnik, niemniej pojazd pokonał go bez trudu. Elton łączywie wciągnął do płuc powietrze i wypuścił je z siłą, która wydeła jego mięsiste wargi jak zasłony okienne pod naporem wiatru. Zza rogu ulicy wyłoniły się nagle dwa kolejne samochody policyjne z włączonymi błękitnymi kogutami. Wozy rozpoczęły pościg.

- Nie jesteśmy wystarczająco szybcy! - krzyknął Elton. - Nie jesteśmy za szybcy...

- To zwykle samochody! Mają koła! - odkrzyknął Richards. - Zasuwamy! Tędy!

Pojazd skręcił w lewo i gwałtownie wzniósł się w powietrze, by przemknąć ponad wysokim krawężnikiem. Wozy policyjne zostały z tyłu. Rozległy się pierwsze strzały. Richards słyszał, jak kule przebijały na wylot karoserię ich samochodu. Tylna szyba pękła z głośnym trzaskiem, odłamki bezpiecznego szkła posypały się na nich. Elton z głośnym krzykiem lawirował pojazdem na prawo i lewo. Jeden z wozów policyjnych jadący z prędkością około dziewięćdziesięciu mil na godzinę skręcił gwałtownie, rozcinając mrok jasnymi snopami światła, a potem przewrócił się na bok, ryjąc gorącą bruzdę na powierzchni placu, dopóki jedna z iskier nie natrafiła na uszkodzony w momencie kapotażu zbiornik paliwa. Wóz zmienił się w kulę białych płomieni. Przypominał jasną flarę sygnalizacyjną. Drugi samochód mknął ich śladem, ale Elton raz jeszcze sobie z nim poradził. Richards wiedział jednak, że dystans między pojazdami już wkrótce zacznie się zmniejszać. Pojazdy

uliczne o napędzie benzynowym były trzy razy szybsze od pojazdów powietrznych. Wiedział również, że ich wóz przy gwałtowniejszym skręcie może zaryć w nawierzchnię, a to mogło oznaczać tylko jedno...

Znajdowali się na drodze numer jeden. Richards przypomniał, że już wkrótce będą musieli wjechać na Coast Turn-pike. Tam nie mieliby najmniejszych szans na jakiegokolwiek działanie. Jedyne wyjściem, jakie by im pozostało byłaby śmierć.

- Skręć! Skręć, do diabła, w tę aleję!

Na chwilę stracili z oczu ścigający ich wóz policyjny. Był o jeden zakręt za nimi.

- Nie, nie - wymamrotał Parrakis. - Wpadniemy jak szczury w pułapkę!

Richards przechylił się, jednym ruchem zbił dłoń Eltona z przepustnicy i przekręcił kierownicę. Pojazd skręcił niemal pod kątem dziewięćdziesięciu stopni w lewo. Z impetem odbił się od ściany budynku przy wjeździe w aleję i kołysząc się z boku na bok, pomknął przed siebie. Tępy nos samochodu uderzył w stertę śmieci, kubłów i potrzaskanych pudeł. Przebiwszy je, zatrzymał się na solidnym murze. W momencie uderzenia Richards runął bezwładnie na tablicę rozdzielczą.

Jego nos pękł z traskiem, krew jasnym strumieniem trysnęła na siedzenie. Pojazd osiadł na chodniku. Jeden z cylindrów pracował na wolnych obrotach. Parrakis leżał nieruchomo na kierownicy. Był nieprzytomny. Richards naparł ramieniem na drzwi. Otworzyły się bez trudu. Postawił nogę na chodniku. Naładował rewolwer nabojami z pogiętego pudełka, które otrzymał od Bradleya. Były chłodne i wilgotne w dotyku. Kilka z nich upadło mu pod nogi. W ramieniu czuł pulsujący ból, który sprawiał, że kręciło mu się w głowie, a przed oczami wirowały ciemne plamy.

Kiedy zobaczył światła reflektorów odniósł wrażenie, że to nie noc, tylko zwykły, pochmurny dzień. Krążownik wyłonił się zza zakrętu. Spod kół dochodziła woń topionej gumy. W chwilę potem samochód na pełnych obrotach ruszył naprzód. Richards trzymał rewolwer oburącz, opierając się o ścianę budynku. Za chwilę zrozumieją, dlaczego nie widzą przed sobą tylnych świateł ściganego pojazdu. Gliniarz z dubeltówką rozejrzy się uważniej i zrozumie...

Łykając krew spływającą ze złamanego nosa, otworzył ogień. Dystans był niewielki. Pociski o dużej sile przebicia przeszły przez kuloodporne szkło jak przez papier. Krzyczał za każdym razem, gdy naciskał spust. Odrzut broni przeszywał zranione ramię niemożliwymi do zniesienia sztyletami bólu.



Wóz policyjny przeleciał nad wąskim chodnikiem, uderzył z niesamowitą siłą o mur i eksplodował. Richards wiedział, że wkrótce zjawią się następni policjanci. Kuśtykając powrócił do pojazdu powietrznego. Czuł, że jego zdrowa noga została mocno nadwreżona.

- Jestem ranny - jęknął Parrakis. - Jestem ciężko ranny. Gdzie jest mama? Gdzie jest moja mama?

Richards upadł na kolana i wśliznął się pod samochód. Jak szalony zaczął wyciągać śmieci i kawałki cegieł z komór powietrznych. Krew z uszkodzonego nosa ściekała mu po policzkach, tworząc wokół uszu szybko powiększające się kałuże.

Sprawnych było jedynie pięć z sześciu cylindrów. Jechali z prędkością sześćdziesięciu mil na godzinę, pojazd chybotał się niepewnie przekrzywiony na jedną stronę niczym pijak. Parrakis zajął miejsce na siedzeniu pasażera; prowadził Richards. Kolumna kierownicy wbiła się w żołądek Eltona. Richards zdał sobie sprawę, że chłopak nie pociągnie długo. Krew na pogiętej kierownicy pod palcami Richardsa była ciepła i lepka.

- Przykro mi - rzekł Parrakis. - Skręć tu w lewo. To naprawdę moja wina. Powinienem był to przewidzieć. Ona... ona jest trochę... nie tego.

Odchrząknął i splunął na udo czarną krwią. Odgłos syren przeszywał ciszę nocy, ale dźwięk dochodził z daleka. Wozy były gdzieś na zachód od miejsca, w którym się znajdowali. Minęli Marginal Way, tu Parrakis kazał mu skręcić w jedną z bocznych dróg. Byli na dziewiątej prowadzącej na północ. Wkrótce krajobraz równin zastąpił widok przedmieść Portland.

- Wiesz dokąd chcesz mnie dowieść? - spytał Richards. Ból przenikał całe jego ciało. Był pewien, że ma złamaną kostkę. Nie miał też wątpliwości co do stanu swego nosa. Oddychał z trudem.

- Wmawiała mi, że matka jest najlepszą przyjaciółką chłopca takiego jak ja. Uwierzyłbyś w to? Ja uwierzyłem. Jak myślisz, co z nią zrobią? Zamkną do więzienia?

- Nie.

Nie wiedział, co ma powiedzieć. Była za dwadzieścia ósma. On i Elton opuścili Blue Door dziesięć po siódmej. Wydawało mu się, że od tej chwili minęły wieki. W oddali do chóru syren dołączyły kolejne wozy. Jeśli nie możesz znieść gorąca, wyjdź z kuchni - pomyślał Richards.

Zniszczył dwa policyjne wozy. Kolejna premia dla Sheili. Okrwawione pieniądze. A Cathy? Jak przyjmie mleko i żywność zakupione za pieniądze, które dla niej zdobywał? Co z tobą, kochanie? Kocham cię. Tu, na tej krętej, wąskiej dróżce, uczęszczanej przez jelenie i zakochane parki, kocham cię i życzę, abyś zawsze miała słodkie i przyjemne sny. Chciałbym...

- Skręć w lewo - skrzeknął Elton.

Skręcił w wąską, asfaltową drogę. W nosie poczuł ostrą woń rzeki zanieczyszczonej przez fabryki, woń siarki. Nisko zwisające gałęzie omiotły dach wozu. Minęli tablicę

opatrzoną napisem: SUPER PINE TREE MALL W BUDOWIE. WSTĘP WZBRONIONY POD KARĄ ADMINISTRACYJNĄ.

Pokonali ostatnie wzniesienie i znaleźli się w Super Pine Tree Mall. Prace przerwano przed jakimiś dwoma laty - pomyślał Richards. Miejsce to było prawdziwym labiryntem na wpół wykończonych domów i sklepów. Ciągnęło się na przestrzeni wielu kilometrów, ziejąc wykopami jak otwartymi grobami rzymskich bogów. Minęli przerdzewiały stalowy szkielet, ściany z wystającymi z nich stalowymi prętami. Prostokątne place przeznaczone niegdyś na parkingi porosły trawą. Wysoko w górze bezgłośnie przeleciała sowa, wybierając się na nocne polowanie.

- Pomóż mi zasiąść za kierownicą.

- Nie jesteś w stanie prowadzić - rzekł Richards, naciskając klamkę i próbując otworzyć drzwi.

- To jedyne, co jeszcze mogę zrobić - rzekł Parrakis z absurdalną w tej chwili powagą.

- Zabawię się z nimi. Będę jechał tak długo, jak będę mógł.

- Nie!

- Pozwól mi to zrobić! - krzyknął, a jego puciołowata twarz wyglądała zarazem przerażająco i groteskowo.

- Umieram i radzę ci, lepiej pozwól mi stąd odjechać. - Chwycił go nagły atak kaszlu i znowu zaczął pluć krwią. Powietrze wewnątrz samochodu było przesiąknięte zapachem krwi jak w rzeźni. - Pomóż mi - wyszeptał. - Jestem za gruby, nie dam rady zrobić tego sam. O Boże, pomóż mi to zrobić.

Richards pomógł mu. Jego ręce ześlizgiwały się po mokrym ubraniu, były czerwone od krwi Eltona. Całe przednie siedzenie było mokre. Parrakis nadal krwawił. Usadził się za kierownicą. Wóz uniósł się gwałtownie, wykręcił. Pojazd kilkakrotnie otarł się o drzewa, nim Eltonowi udało się odnaleźć właściwą drogę. Richards w milczeniu oczekiwał na wybuch, ale bezskutecznie. Odgłos silników pojazdu powietrznego oddalał się, aż wreszcie ucichł zupełnie. Ciszę nocy zakłócał jedynie szum lecącego gdzieś wysoko w górze samolotu. Przypomniawszy sobie, że kule i zestaw, którego używał do charakteryzacji zostały w samochodzie. Konstelacje gwiazd nad jego głową obracały się obojętnie. Widział obłoczki pary wydostającej się z ust. Tej nocy było chłodniej. Opuścił czerń szosy i znikł w dżungli nie dokończonych zabudowań.

Na dnie jednej z piwnic zauważył stertę materiału termoizolacyjnego. Zszedł na dół, chwytając dłońmi sterczące wysoko stalowe pręty. Znalazł kawałek kija i kilkakrotnie uderzył w stertę izolatorów, by wypłoszyć szczury. W odpowiedzi w powietrze wzbila się jedynie chmura kurzu. Jęknął, gdy poczuł palący ból w nozdrzach. Szczurów nie było, wszystkie znajdowały się teraz w mieście. Roześmiał się chrapliwie. Owinął się stertą materiału izolacyjnego. Wyglądał teraz jak żywe igloo, ale przynajmniej było mu ciepło.

Oparł się o ścianę i zapadł w niespokojną drzemkę. Kiedy się obudził, tarcza Księżyca zalewającego okolice bladym światłem wisiała już nad horyzontem na wschodzie. Była mniej więcej trzecia nad ranem. Ramię miał bezwładne, ale krwotok ustał samoistnie. Przekonał się o tym, gdy wyciągnął rękę z izolacyjnego kokonu i delikatnie oczyścił skrzep z przyklejonych do niego włókienek materiału. Kula ze Stena wyrwała mu dość spory, trójkątny kawałek ciała z boku ramienia, tuż nad łokciem. Uznał, że ma szczęście, iż kula nie strzaskała kości. Czuł przejmujący, pulsujący ból w kostce. Stopa wydawała mu się dziwnie obca i nierzeczywista, ledwo ją czuł. Przypuszczał, że kość została strzaskana. Z myślą o tym raz jeszcze zapadł w sen.

Gdy ponownie się obudził, poczuł się jakby trochę lepiej. Księżyc był już wysoko na niebie, ale do świtu było jeszcze daleko. Zapomniał o czymś. Okrutna prawda w bezwzględny sposób przypominała mu o sobie. Jeszcze przed południem musiał nadać dwie taśmy, żeby dotarły do Gmachu Gier przed szóstą trzydzieści wieczorem. A więc musiał albo ruszyć w drogę, albo pogodzić się z utratą pieniędzy. Bradley wciąż jeszcze uciekał albo, być może, został już schwytany, a Elton Parrakis nie podał mu adresu w Cleveland.

Coś dużego, może jeleni, przedzierało się wśród drzew po jego prawej stronie. Aż podskoczył z wrażenia. Warstwa izolacji ześliznęła się z jego ramion jak wąż. Otulił się nią ponownie, dysząc przez złamany nos.

Znajdował się w samym sercu niczego. Noc ożyła nagle przerażającą mieszanką dziwnych chrzęstów, trzasków i stukotów. Oddychał ustami, rozważając swoje możliwości i konsekwencje, jakie każda z nich mogłaby za sobą pociągnąć.

1. Nie robić nic. Siedzieć i czekać, aż wszystko ucichnie. Konsekwencja - stawka pieniężna zostanie zablokowana o szóstej jeszcze tego samego dnia. Będzie uciekał za darmo, ale polowanie się nie zakończy, nawet gdyby udało mu się przetrwać całe trzydzieści dni. Pościg będzie trwał tak długo, dopóki go nie dostaną.

2. Nadać taśmy do Bostonu. Bradley na tym nie ucierpi, bo ich mały układ został już zdemaskowany. Konsekwencje: - taśmy zostaną wysłane do Harding przez Łowców, którzy na pewno kontrolują już korespondencję Bradleya, - Łowcy dowiedzą się, skąd wysłał taśmy i wyruszą na jego poszukiwanie.

3. Wysłać taśmy bezpośrednio do Gmachu Gier w Harding. Konsekwencja - polowanie będzie trwało nadal, ale narazi się na rozpoznanie w każdym z miast, które jest na tyle duże, by znalazła się w nim choćby jedna skrzynka pocztowa.

Nie miał zbyt wielkiego wyboru. Wstał i odsunął na bok materiał termoizolacyjny. Na stercie izolatora w chwilę potem znalazł się zwój niepotrzebnego już bandaża. Po chwili namysłu ukrył go pod warstwą materiału. Zaczął rozglądać się wokoło w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby posłużyć mu za kulę. Z ironią pomyślał o prawdziwych kulach pozostawionych w samochodzie. Kiedy znalazł deskę sięgającą mu mniej więcej do ramienia, przerzucił ją ponad krawędzią fundamentów piwnicy i zaczął pięć się ku górze, zaciskając dłonie na wystających z cementu stalowych prętach. Kiedy wydostał się z piwnicy, spocony i drżący jednocześnie, zdał sobie sprawę, że widzi wyraźnie swoje ręce. Ciemność przebijały pierwsze, nieśmiałe jeszcze promyki wschodzącego słońca. Rozejrzał się wokoło i zamyślił się. To mogłaby być całkiem niezła kryjówka - pomyślał. Nie, to nie tak! Nie miał być człowiekiem szukającym dobrej kryjówki, tylko uciekinierem. Czy to nie dzięki temu jego cena wciąż rosła? Pomiędzy drzewami unosił się gęsty, biały tuman mgły. Richards zatrzymał się, zastanawiał chwilę, po czym ruszył w stronę lasu graniczącego od północy z opustoszałym Super Mall. Zatrzymał się tylko raz, by dokładnie owinać koniec swojej prowizorycznej kuli zwojami płaszcza i w chwilę później podążył w dalszą drogę.

Od dwóch godzin był już dzień. Richards był przekonany, że po prostu kręci się w kółko, kiedy usłyszał dochodzący spoza krzewów jeżyn i wysokich traw szum pojazdów powietrznych. Czołgał się ostrożnie, po czym rozejrzał się wokoło.

Dotarł do autostrady. Samochody przemykały po niej w obie strony z uporczywą regularnością. Czołgał się dalej równoległe do szosy, co jakiś czas kładąc się bezsilnie na ziemi. Dłonie i twarz miał czerwone od krwi, a w ubranie wczepiły mu się brązowe kule rzepów. Nie próbował nawet ich zrywać. Jego ramiona pokryły nasiona dmuchawca, które sprawiły, że wyglądał, jakby przed chwilą stoczył bezpardonową walkę na poduszki. Był przemoczony od stóp do głów. Zdołał przedostać się bez problemu przez dwa strumyki, ale za trzecim razem deska, po której się przeczołgiwał ześliznęła się na zdradzieckim gruncie i wpadł do wody. Kamerze, rzecz jasna, nic się nie stało. Była woda - i wstrząsoodporna.

Gęstwina krzewów i drzew zaczęła rzednąć. Richards podniósł się na kolana i łokcie i zaczął pełznąć. Kiedy dotarł najdalej jak tylko mógł ze względów bezpieczeństwa, rozejrzał się wokoło, aby zbadać sytuację. Znajdował się na niewielkiej stromiźnie tworzącej półwysep okolony linią drzew i krzewów, przez które się właśnie przedarł.

Poniżej widział autostradę, nieco dalej kilkanaście domków w farmerskim stylu i stację dystrybucji powietrza. Stał przy niej samochód, podczas gdy kierowca rozmawiał z właścicielem stacji. Obok stacji oprócz dystrybutorów gum i papierosów zauważył duże skrzynki pocztowe, niebieską i czerwoną. Były dwieście metrów od niego. Patrząc na nie, Richards zdał sobie sprawę, że gdyby przybył tu przed brzaskiem, mógłby załatwić, co miał do zrobienia, przez nikogo nie zauważony. No cóż, nie pora biadać nad rozlanym mlekiem - pomyślał. Wyjął kamerę i nagrał kolejną taśmę, nie pokazując się w ogóle.

- Witajcie wszyscy w kraju Free Vee. Oto jowialny Ben Richards na dorocznym autostopie. Jeśli rozejrzycie się wokoło, być może zauważycie kilka różnych ptaków, które przycupnęły tu i ówdzie na drzewach. - Przerwał. Być może ta część pójdzie z dźwiękiem, następna raczej na pewno nie.

- Jeżeli jesteście pozbawieni strachu i potraficie czytać z warg, pamiętajcie, o czym mówię. Powiedźcie sąsiadom i przyjaciołom. Przekażcie to dalej. Sieć zatruwa powietrze, którym oddychacie, ale nie pozwala, byście korzystali z odpowiednich środków zabezpieczających, ponieważ...

Nagrał obie taśmy i włożył do kieszeni spodni. Dobra. Co dalej? Jedyne, co przyszło mu na myśl, to zejść na dół z bronią w rękę, nadać taśmy i uciec. Mógł ukraść samochód. Zastanawiał się, jak daleko udało się zajechać Parrakisowi, zanim go złapali. Wyjął rewolwer. Trzymał go w dłoni, gdy nagle usłyszał głos z oddali:

- Chodź tutaj, Rolf.

Dobiegło go stłumione warknięcie. Zadrzał. W głowie dudniła jedna myśl: Psy policyjne. Chryste, oni mają psy! Coś olbrzymiego i czarnego wyłoniło się zza zasłony krzewów i ruszyło w jego stronę. Rewolwer wylądował w trawie, a Richards runął bezradnie na plecy. Pies stanął mu na piersiach. Olbrzymi owczarek niemiecki lizał go po twarzy, opierając przednie łapy na jego rozchełstanej koszuli. Ogon kołysał się radośnie z boku na bok.

- Rolf! Nie, Rolf, o Boże!

Richards dostrzegł nogi w niebieskich dżinsach biegnące w jego stronę. W chwilę potem mały chłopiec odciągnął psa na bok.

- Jejku, tak mi przykro, psze pana. On nie gryzie, po prostu lubi się bawić, jest trochę zanadto przyjazny... O rany, a co się panu stało? Zgubił się pan?

Chłopiec trzymał psa za obrozę i patrzył na Richardsa z zainteresowaniem. Pochodził najwyraźniej z dobrej rodziny. Miał jakieś jedenaście lat, był dobrze zbudowany. Nie miał poblądłej twarzy i dziwnego spojrzenia jak ludzie z miasta. W jego rysach było coś obcego i podejrzliwego, choć dostrzegł w nich również cień życzliwości. Po chwili Richards zdał sobie sprawę, co to było - niewinność.

- Tak - rzekł oschle. - Zgubiłem się.

- Co się panu właściwie stało? Upadł pan?

- Upadłem. Czy mógłbyś przyjrzeć się uważniej mojej twarzy i zobaczyć te zadrapania? Czy są poważne? Ja nie jestem w stanie tego oszacować, rozumiesz.

Chłopiec posłusznie podszedł i przyjrzał się twarzy Richardsa. W jego oczach nie pojawiły się iskierki przerażenia. Richards był zadowolony.

- No cóż, nie wygląda to najlepiej - rzekł chłopiec - ale chyba pan to przeżyje.- Zmarszczył brwi. - Uciekł pan z Thompson? Wiem, że nie jest pan z Pineland, bo nie wygląda pan na opóźnionego.

- Znikąd nie uciekłem - odrzekł Richards, zastanawiając się czy mówi prawdę, czy kłamie. - Jechałem autostopem. To zły nawyk, kolego. Nigdy tego nie robiłeś, co?

- Nie. Na drogach roi się od szaleńców. Tak mówi mój tata.

- Ma rację. Ale musiałem dostać się do... - Pstryknął palcami, jakby coś uciekło mu właśnie z pamięci. - No wiesz, lotnisko.

- Pewnie Voigt Field.

- O właśnie.

- Jejku, to sto mil stąd, psze pana. W Derry.

- Wiem. - Richards pogładził Rolfę. Pies przewrócił się na bok i udał martwego.

- Trzech takich facetów zabrało mnie na obrzeżach New Hampshire. Naprawdę twardzi faceci. Pobili mnie, ukradli portfel i zostawili na opuszczonym placu budowy.

- Znam to miejsce. Pójdzie pan ze mną do domu i zje z nami śniadanie?

- Chciałbym, kolego, ale nie mam chwili do stracenia. Muszę jeszcze dziś wieczorem dostać się na lotnisko.

- Chce pan znów spróbować złapać okazję? - oczy chłopca stały się nagle okrągłe.

- Muszę. - Richards spróbował wstać, po czym usiadł, jakby jakiś pomysł przyszedł mu nagle do głowy. - Posłuchaj, zrobiłbyś coś dla mnie?

- No, bo ja wiem... - odpowiedział chłopiec ostrożnie.

Richards wyjął obie taśmy.

- To specjalne czeki gotówkowe - powiedział. - Gdybyś zrobił to dla mnie i wrzucił do skrzynki, paru moich przyjaciół przyjechałoby po mnie do Derry.

- A to dojdzie tak bez adresu?

- Dojdzie.

- No pewno, wrzucę. W Jarrold Store jest skrzynka. - Wstał, ale nie zdołał ukryć faktu, iż podejrzewał że Richards po prostu kłamał w żywe oczy. - Chodź, Rolf.

Pozwolił chłopcu oddalić się na kilka metrów, po czym rzekł:

- Nie. Wróć tu.

Chłopiec odwrócił się i podszedł powoli. Na jego twarzy odmalowało się przerażenie. W opowieści Richardsa były przecież takie luki, że mogłaby przejechać przez nie ciężarówka.

- Chyba muszę ci opowiedzieć o wszystkim - powiedział Richards. - To, co ci mówiłem, to wszystko prawda. Nie chcę jednak, byś opowiadał o tym, co dziś widziałeś. Chcę mieć pewność, że się nie wygadasz.

Październikowe słońce grzało jego odkryte ramiona i szyję. Miał ochotę zostać cały dzień na tym wzgórzu i usnąć w ciepłych objęciach jesieni. Podniósł pistolet i położył go obok siebie na trawie. Oczy chłopca rozszerzyły się.

- Rząd - rzekł Richards szeptem.

- Jezu! - wyszeptał chłopiec. Rolf usiadł obok niego z wysuniętym językiem.



- Ścigam paru facetów, chłopcze. Jak widzisz, mam do czynienia z naprawdę niebezpiecznymi ludźmi. Te taśmy muszą dotrzeć na miejsce.

- Nadam je - powiedział chłopiec szybko. - Jezu, ale będzie, jak opowiem o tym.

- Nikomu o tym nie opowiesz! Nikomu, przez najbliższe dwadzieścia cztery godziny! Mógłbyś tego pożałować - pogroził mu palcem. - A zatem do jutra o tej samej porze nikt nie może się dowiedzieć, że mnie widziałeś. Zrozumiano?

- Tak! Pewno!

- Liczę na ciebie. Dzięki, kolego.

Wyciągnął rękę, a chłopiec uściśnął ją wylewnie. Richards patrzył, jak dziecko i pies schodzą w dół wzgórza. Pies przeskakiwał radośnie przez złoty kijek, który chłopiec trzymał w dłoni. Dlaczego moja Cathy nie może mieć czegoś takiego? - pomyślał. Twarz wykrzywił mu grymas gniewu i nienawiści. Gdyby nie miał lepszego przeciwnika, skierowałby swoją wściekłość przeciw samemu Bogu. Obserwował, jak maleńki z tej odległości chłopiec wrzuca taśmy do skrzynki. Potem wstał zesztywniały, oparł się na swej prowizorycznej kuli i ruszył w stronę drogi. Na lotnisko. Musiał tam dotrzeć. Być może nim to wszystko się skończy, ktoś zapłaci mu za całe zło, którego doświadczył w życiu. Rachunki wciąż pozostały nie spłacone.

Szedł zwirową alejką ciągnącą się między drogą a linią drzew. Usiadł jak człowiek czekający na podwiezienie, ciesząc się ciepłymi promieniami słońca. Przepuścił dwa pierwsze wozy, w obu znajdowały się dwie osoby. Wolał nie ryzykować. Kiedy trzeci wóz podjechał do znaku stopu, wstał. Wiedział, że musi się pośpieszyć, teren był niebezpieczny. Następny pojazd mógł być wozem policyjnym, a to oznaczałoby strzelaninę.

W samochodzie siedziała kobieta. Nawet na niego nie spojrzała. Czowała wstręt do autostopowiczów i zazwyczaj ich ignorowała. Jednym szarpnięciem otworzył drzwi po stronie pasażera i wskoczył do środka, nim samochód zdążył ruszyć z miejsca. Stracił na moment równowagę. Jedną ręką trzymał się desperacko futryny drzwi, zdrowa stopa wciąż znajdowała się na zewnątrz, ryjąc w ziemi wąską, głęboką bruzdę.

Rozległ się pisk wciskanych hamulców. Wóz skręcił ostro.

- Co... Kim... Nie może pan...

Richards skierował broń w jej stronę. Wiedział, że z bliska musi wyglądać groteskowo, jak człowiek, który został właśnie przepuszczony przez maszynkę do mięsa. Okropny image przemawiał jednak obecnie na jego korzyść. Wciągnął stopę do wnętrza pojazdu i zamknął drzwi. Dłoń trzymająca rewolwer nawet nie drgnęła. Dziewczyna była ubrana typowo „po miejsku”, nosiła okulary przeciwsłoneczne. Wyglądała, jego zdaniem, całkiem nieźle.

- Ruszaj - poleciał.

Zrobiła to, co przewidział - napała obiema stopami na hamulce i zaczęła krzyżeć. Richards runął do przodu, objijając boleśnie swą strzaskaną kostkę. Wóz zatrzymał się jakieś pięćdziesiąt metrów za skrzyżowaniem.

- Ty jesteś... R... R... R...

- Ben Richards. Zdejmij ręce z kierownicy i połóż je na udach.

Zrobiła co kazał, drżąc na całym ciele. Nie spojrzała nawet w jego stronę. Strach zmienił ją w kamienną bryłę.

- Jak pani na imię?

- A... Amelia Williams. Nie zabijaj mnie. Nie zabijaj mnie. Ja... oddam ci wszystkie pieniądze... tylko proszę, nie zabijaj mnie...

- Ciiiicho! - rzekł łagodnie Richards. - Ciii...

Kiedy umilkła, odezwał się znowu:

- Niech pani sobie myśli o mnie, co pani zechce, pani Williams.

- Tak - odparła automatycznie.

- Nie mam zamiaru zrobić pani nic złego. Rozumie pani?

- Tak. - Westchnęła z ulgą. - Chce pan mój wóz. Załatwili pańskiego przyjaciela, a teraz potrzebuje pan samochodu. Proszę, niech go pan sobie weźmie. Jest ubezpieczony. Nie powiem nikomu, przysięgam. Powiem, że ktoś ukradł go z parkingu.

- Jeszcze o tym porozmawiamy. Ruszaj już. Najpierw drogą numer jeden. Widziała pani blokady na którejś z ulic?

- N... tak. Setki. Złapią pana.

- Niech pani przestanie kłamać, pani Williams, dobrze?

Ruszyli z początku powoli, potem z coraz większą swobodą. Prowadzenie samochodu najwyraźniej ją uspokajało. Richards powtórzył pytanie dotyczące blokad.

- Wokół Lewinston - odparła z rezygnacją. - Tam dostali tego drugiego lo... faceta.

- Jak to daleko stąd?

- Jakieś trzydzieści mil, może więcej...

Parrakis dotarł dalej niż myślał.

- Zgwałcisz mnie? - spytała nagle Amelia. Richards nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

- Nie - odparł. - Jestem żonaty - dodał.

- Widziałam ją - powiedziała z powątpiewaniem.

Richards miał ochotę uderzyć ją w twarz. Spróbowałabyś zreć byle gówno, ty dziwko - myślał z pasją. Zabij choć raz szczura, który ukrył się w pojemniku na chleb. Spróbowałabyś wykończyć go miotłą, a wtedy mówiłabyś inaczej o mojej żonie...

- Mogę już wysiąść? - spytała. Poczuł jak ogarnia go dziwne, przygnębiające uczucie.

- Nie - odpowiedział. - Jest pani pod moją opieką. Muszę dostać się do Voigt Feld w Derry. Musi mi pani pomóc tam dotrzeć.

- To prawie sto pięćdziesiąt mil! - krzyknęła.

- Ktoś mi mówił, że sto.

- Mylił się. Nigdy się tam nie dostaniesz.

- Może nie - rzekł Richards i spojrział na nią. - A może tak, jeżeli mi pomożesz.

Znowu chciała zaprotestować, ale nie powiedziała ani słowa. Przypominała kobietę oczekującą na przebudzenie z nie kończącego się koszmaru.

*MINUS 044. ODLICZANIE TRWA*

Mknęli na północ. Drzewa nie zostały tu tak wyniszczone jak w Portland, Manchesterze czy Bostonie. Mieniły się żółcią, czerwienią i purpurą. Obudziły w Richardsie uczucie melancholii. Było to uczucie, o którym jeszcze przed dwoma tygodniami nie pamiętał. Za miesiąc spadnie śnieg i skryje wszystko. Wszystko kończyło się jesienią.

Wyczuła jego nastrój i nie odezwała się. Jechali w milczeniu. Przejechali przez most w Yarmouth, potem mieli wokół już tylko lasy. Co jakiś czas w oddali pojawiały się sylwetki biedniuskich chałupek i stojących obok nich szop. Nawet tam jednak dostrzegł błyszczące w słońcu kable Free Vee zamontowane pod zmatowiałym, wypaczonym oknem lub obok ledwo trzymających się w zawiasach drzwi. Dotarli wreszcie do Freeport. Na rogatkach miasta stały trzy policyjne krążowniki. Dziewczyna zeszywniała i pobladła. Richards zdołał zachować spokój. Kiedy minęli policyjne samochody, odetchnęła z ulgą.

- Gdyby to była blokada - wyjaśnił Richards - już by nas mieli. - Równie dobrze mogłabyś wypisać sobie na czole: W TYM SAMOCHODZIE ZNAJDUJE SIĘ BEN RICHARDS.

- Czemu nie pozwolisz mi odejść? - wybuchnęła i dodała po chwili: - Chcesz ze mną po prostu pogadać? A może chcesz mnie mieć?

Uśmiechnął się ironicznie i pokręcił głową. Szmalowni olewają biedaków - pomyślał.

- Śmiejesz się ze mnie? - spytała. - Doprawdy, masz słabe nerwy, ty tchórzliwy mały zabójco! Przerażasz mnie! Pewno mnie zabijesz, tak jak zabiłeś tych biednych chłopców w Bostonie!

- W Bostonie aż roilo się od tego typu „biednych chłopców” - rzekł Richards. - Gotowych, by mnie zabić. To ich praca.

- Zabijanie dla pieniędzy! Ludzie, którzy są w stanie zrobić wszystko za pieniądze. Czemu nie poszukasz sobie jakiejś pracy? Odpowiem ci: jesteś zbyt leniwy! Tacy jak ty gotowi są plunąć w twarz zwykłemu, porządnemu obywatelowi.

- A ty jesteś porządnym obywatelem?

- Tak! - ryknęła. - Czy to nie dlatego jestem tu teraz z tobą? Jestem przecież taka... bezbronna i... porządna... Dlatego możesz mnie wykorzystać, zniżyć mnie do swego poziomu, a potem będziesz się ze mnie śmiał. Mam rację?

- Jeśli jesteś taką porządną obywatelką, to wytłumacz mi, skąd wzięłaś sześć tysięcy nowych dolców, żeby kupić ten ekstra wóz, podczas gdy moja mała córeczka umiera w slumsach na grypę?

- Że co? - była wyraźnie zbита z tropu. - Jesteś wrogiem Sieci. Tak mówili we Free Vee. Widziałam co zrobiłeś... To okropne.

- Co w tym okropnego? - spytał, zapalając papierosa. - Powiem ci. Okropne jest to, że wyrzucają cię z pracy w General Atomics i dają wilczy bilet tylko dlatego, że nie chciałeś tam pracować i stać się bezpłodnym. Okropne jest to, że musisz patrzeć jak twoja żona puszcza się, żeby zarobić na życie. Okropne jest to, że wiesz, że Sieć zabija miliony ludzi rocznie, zatruwając atmosferę, kiedy za jedyne sześć dolców można byłoby wykonać filtry nosowe dla każdego obywatela tego kraju.

- Kłamiesz - powiedziała. Kostki jej palców zaciśnięte na kierownicy były białe.

- Kiedy to się skończy - oznajmił - będziesz mogła wrócić do swojego wytwornego gniazdko i zapomnieć o wszystkim. Nikt z twoich sąsiadów nie będzie zabijał szczurów miotłą ani srał pod siebie, bo toaleta nie działa. Wiesz, spotkałem niedawno pięcioletnią dziewczynkę. Ma raka płuc. Czy to nie okropne? Co o tym...

- Przestań! - krzyknęła. - Przestań mówić te okropności!

- Racja - powiedział i odwrócił się do szyby. Patrzył na krajobraz za oknem. Czuł, jak narasta w nim chęć wyrzucenia tej kobiety z samochodu. Miał ochotę zmiażdżyć pod butem te jej przeciwsłoneczne okulary, przeciągnąć ją po ziemi, wepchnąć do ust garść kamieni i żwiru, zgwałcić, wybić wszystkie zęby, rozebrać do naga, a potem spytać, czy ma ochotę obejrzeć program telewizyjny, ten który leci przez dwadzieścia cztery godziny na dobę na kanale pierwszym.

- Racja - powtórzył - Mówienie o tego typu okropnościach cholernie mnie postarza...

*MINUS 043. ODLICZANIE TRWA*

Dotarli dalej niż Richards mógł się spodziewać. Dojechali do małego miasteczka nad morzem zwanego Camden, sto mil od miejsca, odzie wsiadł do samochodu Amelii Williams.

- Posłuchaj - rzekł, gdy wjechali do Augusty, największego miasta w tej okolicy. - Bardzo możliwe, że wpadną tu na nasz trop. Nie mam zamiaru cię zabijać. Rozumiesz?

- Tak - powiedziała. A potem wybuchnęła: - Potrzebujesz zakładniczki!

- Zgadza się. Jeżeli wyprzedzi nas wóz policyjny, natychmiast się zatrzymasz. Potem otworzysz drzwi i wychylish się trochę do przodu. Wychylish się! Nie wolno opuścić ci tego miejsca jasne?

- Tak.

- Powiesz im: Benjamin Richards wziął mnie jako zakładniczkę. Jeżeli go nie przepuścicie, zabije mnie.

- Myślisz, że to poskutkuje?

- Miejmy nadzieję - rzekł w zamyśleniu. - Chodzi o twoją skórę.

Zagryzła wargi i siedziała w milczeniu.

- To się może udać. Zaraz zaroi się tam od fotografów i operatorów kamer, mających nadzieję zarobienia od Gier paru groszy, a może nawet samej Wielkiej Nagrody Zaprudera. Przy takiej oglądalności będą chcieli zrobić jak najlepszą robotę. Przykro mi, ale z szarzy na kule nici, nie da rady. Nie będą mówić o tobie jako o ostatniej ofierze Bena Richardsa.

- Czemu mi to mówisz?

Nie odpowiedział. Obsunął się na siedzeniu, tak że widać było tylko czubek jego głowy i czekał, aż w lusterku wstecznym ukażą się błękitne światła policyjnego krążownika. W Augustie się ich nie doczekał. Jechali jeszcze półtorej godziny skrajem oceanu, podczas gdy słońce zaczęło zmierzać ku zachodowi, a jego promienie pobłyskiwały na falach, przemykały po polach, mostach i wierzchołkach jodeł. O drugiej wjechali w zakręt niedaleko linii kolejowej Camden. W oddali zobaczyli blokadę: dwa wozy policyjne stojące w poprzek drogi. Dwaj gliniarze sprawdzili farmera w starym pick-upie, po czym pozwolili mu przejechać.

- Podjedź jeszcze dwieście stóp i zatrzymaj się - polecił Richards. - Potem powiesz to, co ci kazałem.

Była blada, ale trzymała nerwy na wodzy. Może ogarnęła ją rezygnacja. Zatrzymała samochód pośrodku drogi, pięćdziesiąt metrów przed blokadą. Gliniarz władczo skinął, by

podjechali. Kiedy tego nie zrobiła, spojrzał pytająco na swego towarzysza. Trzeci glina, siedzący w jednym z krążowników z nogami opartymi o deskę rozdzielczą, chwycił nagle mikrofon i zaczął mówić coś szybko, urywanie, gorączkowo.

Zaczęło się - pomyślał Richards. O Boże, zaczęło się.

## MINUS 042. ODLICZANIE TRWA

Dzień był słoneczny. Wszystko widać było wyraźnie i ostro. Cienie policjantów zdawały się wycięte z czarnego materiału. Amelia Williams otworzyła drzwi i wychyliła się na zewnątrz.

- Nie strzelajcie! Proszę! - powiedziała. Richards po raz pierwszy zdał sobie sprawę z tego, jak wytworny i układny był ton jej głosu. Gdyby nie białe kostki palców i pulsujące nabrzmienie na szyi, można by przypuszczać, że siedzi w swojej garderobie i odpowiada na pytanie kogoś stojącego za drzwiami. Przez otwarte drzwi do wnętrza pojazdu wdarł się zapach sosen i traw.

- Wyjdź z samochodu z rękami nad głową - polecił gliniarz.

Mówił jak dobrze zaprogramowany automat General Atomics. Model 6925-A9 - pomyślał Richards. Policjant z Hicksville. W załączeniu baterie irydowe.

- Pani i pański pasażer. Widzimy go.

- Nazywam się Amelia Williams - powiedziała wyraźnie. - Nie mogę wysiąść. Benjamin Richards wziął mnie jako zakładniczkę. Jeżeli go nie przepuścicie, zabije mnie. Tak powiedział.

Dwaj gliniarze spojrzeli na siebie porozumiewawczo. Richards, mając nerwy napięte do ostateczności, zdołał to zauważyć.

- Jedź! - krzyknął.

Spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Ależ oni nie będą...

Dwaj policjanci jak na komendę zajęli klęczące pozycje po obu stronach ciągłej białej linii, wyjęli rewolwery, ujmując je w prawe dłonie; lewe dłonie przytrzymały nadgarstki.

Richards z całych sił naparł nogą na prawą stopę Amelii Williams. Twarz wykrzywił mu grymas bólu, gdy strzaskana kostka dała o sobie znać. Pojazd powietrzny pomknął przed siebie. W chwilę potem rozległy się dwa głuchoe odgłosy. Wóz zadrżał, mocna wibracja przeszła przez cały kadłub. Przednia szyba pękła z trzaskiem, a odłamki bezpiecznego szkła posypały się na ich odkryte twarze i ramiona. Amelia uniosła ręce, osłaniając twarz. Richards naparł na nią gwałtownie, by przejąć kierownicę. Jak burza przemknęli przez szczelinę pomiędzy dwoma policyjnymi wozami. Kątem oka dostrzegł szaleńczy grymas na twarzach gliniarzy, którzy natychmiast odwrócili się i zaczęli strzelać w stronę oddalającego się pojazdu. Pokonywali wzniesienie, gdy rozległo się kolejne: thunnn! Kula wydrążyła dziurę w



bagażniku. Wóz zaczął lawirować, Richards próbował opanować go, kręcąc kierownicą. Zauważył, że siedząca obok niego kobieta płacze.

- Chwytaj kierownicę! - krzyknął. - Pokieruj tym pudłem! Rusz się!

Drżące dłonie sięgnęły w stronę kierownicy; po chwili odnalazły ją. Puścił ster i jednym uderzeniem otwartej dłoni strącił z jej twarzy przeciwsłoneczne okulary. Wisiały przez chwilę na jednym uchu, po czym spadły na podłogę.

- Zatrzymaj wóz.

- Strzelali do nas - mówiąc te słowa, podniosła głos. - Strzelali do nas. Strzelali do nas.

- Zatrzymaj wóz.

Zrobiła, co kazał, wóz zawisł parę centymetrów nad żwirową nawierzchnią drogi.

- Powiedziałam, co chciałeś, a oni próbowali nas zabić - powiedziała, nie kryjąc zdumienia. - Próbowali nas zabić.

Wysiadł z wozu z wyciągniętym rewolwerem. Stracił przy tym równowagę i upadł ciężko, zdzierając sobie skórę na kolanach. Kiedy pierwszy krążownik pokonał wzniesienie, siedział już na poboczu drogi, trzymając rewolwer na wysokości ramienia. Wóz jechał osiemdziesiątką i wciąż nabierał prędkości. Za kółkiem siedział widać jakiś kowboj mający pod maską zbyt dobry silnik, a przed oczyma wizję niepomiernej chwały. Być może zauważyli go, może próbowali się zatrzymać. To było teraz nieważne. Wóz nie był zaopatrzony w kuloodporne opony. Ta bliżej Richardsa wybuchła z siłą eksplozji dynamitu. Krążownik nie kontrolowanym łukiem wziął najbliższy zakręt. Nic nie było w stanie go zatrzymać. Roztrzaskał się o pień starego wiązu. Drzwi po stronie kierowcy pomknęły w przestrzeń. Kierowca jak torpeda wypadł przez przednią szybę i przeleciał około trzydzieści jardów, zanim wylądował w gęstwinie krzewów. Drugi wóz niemal dorównywał prędkością pierwszemu. Richardsowi dopiero za czwartym razem udało się trafić w oponę. Dwie kule wbiły fontannę piasku niedaleko miejsca, w którym się znajdował.

Samochód policyjny, dymiąc wzbil się w powietrze, wykonał zgrabny półobrót, wylądował na ziemi i przetoczył się po niej trzykrotnie, rozrzucając wokoło odłamki szkła i potrzaskanego metalu. Richards wstał, spojrzał w dół i zobaczył, że jego koszula tuż nad pasem pociemniała. Wskoczył do samochodu Amelii i upadł twarzą na podłogę. Drugi krążownik eksplodował, rozsiewając grad stalowych odłamków.

Podniósł się jęcząc. Czuł narastający w boku pulsujący, ćmiący ból. Amelia mogła w tym czasie uciec, ale nie zrobiła tego. Patrzyła na płonący na drodze wóz policyjny. Kiedy Richards wszedł do samochodu, odsunęła się od niego jak najdalej.

- Zabiłeś ich. Zabiłeś tych ludzi.

- Próbowali mnie zabić. Ciebie również. Jedź, szybko.

- Nie próbowali mnie zabić.

- Jedź.

Zrobiła, co jej kazał. Maską rzetelnej, młodej gospodyni domowej w drodze ze sklepu do domu zmieniła się w bezkształtny strzęp. Przejechali dalszych pięć mil. Dotarli do przydrożnego sklepu i stacji dystrybucji powietrza.

- Zatrzymaj wóz - polecił Richards.

*MINUS 041. ODLICZANIE TRWA*

- Wsiadaj.

- Nie.

Przyłożył lufę pistoletu do jej piersi. Jęknęła.

- Nie rób tego. Proszę...

- Przykro mi. Nie czas jednak, byś odgrywała primadonnę. Wskakuj z wozu.

Wysiadła, w chwilę potem zrobił to samo.

- Pozwól mi wesprzeć się na tobie.

Objął ją ramieniem i wskazał rewolwerem budkę telefoniczną obok automatu z lodami. Ruszyli w tę stronę. Richards podskakiwał na zdrowej nodze, czuł się zmęczony. Oczyma wyobraźni widział roztrzaskujące się samochody, ciało wypryskujące jak torpeda przez przednią szybę, pożar, eksplozję. Widział te sceny raz po raz jak na jakimś nie kończącym się filmie. Stary, siwy właściciel sklepu wyszedł na zewnątrz i spojrzał na nich zatroskanym wzrokiem.

- Hej - rzekł łagodnie. - Nie chcę was tutaj. Mam rodzinę. Ruszajcie w dalszą drogę, proszę. Nie potrzebuję kłopotów.

- Wejść do środka, ojczulku - rzekł Richards.

Mężczyzna wrócił do sklepu. Richards wszedł do budki i wrzucił pięćdziesiąt centów w otwór automatu. Trzymając broń i słuchawkę w jednej ręce, wykręcił zero.

- Jaka tu jest centrala?

- Rockland, sir.

- Proszę mnie połączyć ze studiem lokalnej telewizji.

- Może pan tam zadzwonić, sir. Numer...

- Proszę to zrobić.

- Czy chce pan...

- Proszę to zrobić.

- Tak jest, sir - powiedziała telefonistka. Rozległa się seria drażniących ucho trzasków.

Krew zabarwiła koszulę Richardsa na ciemnopurpurowy kolor. Odwrócił wzrok. Czuł się coraz gorzej.

- Rockland News - rozległ się głos w słuchawce. - Free Vee Tabloid, numer sześć tysięcy dziewięćset czterdzieści trzy.

- Mówi Ben Richards.

- Słuchaj, frajerze. Masz poczucie humoru, ale dzisiaj miałem ciężki dzie...

- Zamknij się. Za dziesięć minut dostaniesz potwierdzenie, że to, co mówię jest prawdą. Możesz nawet upewnić się o tym zaraz, jeżeli masz radiostację odbierającą policyjną falę.

- Ch... chwileczkę. - Ktoś po drugiej stronie odłożył słuchawkę, po czym rozległ się przeciągły, piskliwy dźwięk.

Po chwili usłyszał silny głos, głos człowieka interesu podekscytowanego dopiero co usłyszanyymi informacjami. - Gdzie teraz jesteś, kolego? Połowa glin we wschodnim Maine właśnie przedefilowała przez Rockland. Jakies sto dziesięć wozów. Richards spojrzął na neon sklepu.

- To miejsce to Gilly Town Line Store And Airstop przy pierwszej stanowej. Znasz to miejsce?

- Tak... Właśnie...

- Słuchaj, frajerze. Nie będę ci opowiadał zyciorysu. Weź tu paru fotografów. Pospiesz się. Puść to w eter. Sensacja dnia. Mam zakładniczkę. Nazywa się Amelia Williams. Z... - spojrzął na nią.

- Falmouth - odparła pokornie.

- Z Falmouth. Zapewnisz nam bezpieczny przejazd, albo ją zabiję.

- Jezu! Czuję już Nagrodę Pulitzera.

- Nie. Po prostu zrobiłeś w spodnie - odparł Richards. Był rozluźniony. - Musisz o wszystkim opowiedzieć. Chcę, żeby te stanowe świny wiedziały, że nie jestem tu sam. Już trzech takich frajerów próbowało nas załatwić.

- Co się stało z tymi policjantami?

- Zabiłem ich.

- Wszystkich trzech? O cholera! Dicky, włącz się w krajówkę!

- Zabiję ją, jeżeli zaczną strzelać - rzekł Richards, wysilając się na groźny ton i próbując przypomnieć sobie wszystkie filmy gangsterskie, jakie oglądał kiedyś w telewizji, gdy był jeszcze dzieckiem. - Jeśli chcą, aby dziewczynie nic się nie stało, niech lepiej pozwolą mi przejechać.

- Kiedy...

Richards odłożył słuchawkę. Wychodząc z budki, zachwiał się.

- Pomóż mi.

Objęła go ramieniem, krzywiąc się na widok kiwi.

- Widzisz, w co się wpackowałeś?

- Tak.

- To szaleństwo. Zabiją cię.

- Jedź na północ - mruknął. - Po prostu jedź na północ.

Wszedł do samochodu, dysząc ciężko. Świat wirował mu przed oczami. W uszach słyszał dziwną ogłuszającą muzykę. Wóz ruszył z miejsca i wjechał na drogę. Na zielono-czarnej bluzce dziewczyny widniały plamy jego krwi. Stary mężczyzna otworzył okno i zrobił zdjęcie starym polaroidem. Wcisnął przycisk, przewinął taśmę i czekał. Na jego twarzy widniał wyraz przerażenia, podniecenia i zadowolenia. W oddali rozległ się dźwięk syren zbliżających się policyjnych wozów.

*MINUS 040. ODLICZANIE TRWA*

Przejechali dalszych pięć mil, nim ludzie zaczęli wychodzić ze swych domów, by patrzeć, jak jadą ulicami. Wielu miało aparaty fotograficzne i kamery. Richards rozluźnił się.

- Gliniarze przy blokadzie strzelali w zbiorniki powietrzne - powiedziała. - To była omyłka, ot co. Omyłka.

- Jeżeli ten gliniarz, rozwalając nam przednią szybę mierzył w zbiornik powietrza, to muszka w jego rewolwerze musiała mieć ze trzy stopy wysokości.

- To była omyłka.

Wjeżdżali na terytorium Rockland. Wokoło widział domki letniskowe, pyliste drogi prowadzące do plażowych willi. Odruchowo czytał napisy na szyldach: Hotel „Bryza”, „Droga Prywatna”, „Tylko Ja i Patty”, „Wstęp wzbroniony”, „Willa Elizabeth”, „Wkraczający na ten teren zostaną zastrzeleni”, „Wesoła Chmurka”, „5000 Volt”, „Wypowiedz zaklęcie”, „Uwaga! Niebezpieczne psy”.

Ich przejazd śledziły zza drzew czujne oczy kogoś przypominającego Kota z Cheshire. Poprzez strzaskaną przednią szybę do wnętrza wozu dochodziły odgłosy programu Free Vee. Wszystko otaczała aura dziwnego festynu.

- Ci ludzie - rzekł Richards - chcą zobaczyć jedynie czyjaś krew. Im więcej, tym lepiej. Cieszyliby się, gdyby wykończono nas oboje. Wierzysz mi?

- Nie.

- No to życzę szczęścia.

Podstarzały mężczyzna o srebrzystych włosach w szortach sięgających za kolana wybiegł zza zakrętu. Był zaopatrzony w olbrzymi aparat fotograficzny z teleobiektywem. Robił jedno zdjęcie za drugim, to pochylając się, to wyciągając całe ciało ku górze. Miał rybio białe nogi. Richards wybuchnął śmiechem. Amelia aż podskoczyła z wrażenia.

- Co...

- Nie zdjął pokrywy z teleobiektywu - rzekł Richards. - Przez cały czas... - ogarnął go atak śmiechu.

Wolno pokonali wzgórze, a potem zaczęli zjeżdżać do samego Rockland. Na poboczach stało coraz więcej samochodów. Być może była to niegdyś zwykła osada rybacka, której mieszkańcy wypływali w maleńkich łupinach na morze, by złowić homara. Jeśli nawet tak kiedyś było, czasy te dawno już minęły. Po obu stronach drogi ciągnęły się olbrzymie centra handlowe. Na głównej ulicy roilo się od barów, sklepów i salonów motoryzacyjnych.

Tylko morze na horyzoncie pozostało nietknięte. Błyszczało błękitem i odwiecznością, pełne tańczących punkcików i siatek światła w promieniach późnego, popołudniowego słońca.

W poprzek drogi stały dwa policyjne wozy. Błękitny kogut błyszczał zjadliwie, na chodniku po lewej stał pojazd opancerzony, z którego wieżyczki mierzyła w ich stronę krótka, gruba armatnia lufa.

- Już po tobie - powiedziała niemal z żalem w głosie. - Czy i ja też muszę umrzeć?

- Zatrzymaj się pięćdziesiąt jardów przed blokadą i zrób, co powiedziałem.

Obsunął się na siedzeniu. Na jego twarzy pojawił się nerwowy tik. Zatrzymała wóz i otworzyła drzwi, ale się nie wychyliła. Zapadła głucha cisza.

- Boję się - szepnęła - Boję się.

- Nie zastrzelą cię - powiedział. - Jest tu za wielu ludzi. Nie mogą zabijać zakładników na oczach takiego tłumu. Chyba żeby nikt tego nie widział. Takie są reguły gry.

Patrzyła na niego przez chwilę i nagle przyszło jej na myśl, że chciałaby pójść z nim kiedyś na kawę.

- No, niech pani robi swoje, pani Williams - przynaglił ją łagodnie. - Oczy świata zwrócone są na panią.

Wychyliła się z samochodu. Sześć policyjnych wozów i drugi pojazd pancerny zatrzymały się trzydzieści stóp za nimi, blokując im odwrót. Jedyna droga, jaką teraz mogę obrać, prowadzi prosto do nieba - pomyślał.

*MINUS 039. ODLICZANIE TRWA*

- Nazywam się Amelia Williams. Ben Richards wziął mnie jako zakładniczkę. Jeżeli nie zapewnicie mu bezpiecznego przejazdu, powiedział, że mnie zabije.

Nastąpiła chwila ciszy. Richards słyszał dochodzący z oddali ryk syreny okrętowej. W chwilę potem rozległ się głos:

- CHCEMY MÓWIĆ Z BENEM RICHARDSEM.

- Nie - odparł szybko Richards.

- Mówi, że nie będzie z wami rozmawiał.

- PROSZĘ, ABY WYSIADŁA PANI Z SAMOCHODU.

- On mnie zabije! - krzyknęła. - Nie słyszeliście? Kilku z was już próbowało nas zabić.

Mówi, że chcieliście zabić nas oboje. Czy to prawda?

Ochrypły głos z tłumu wrzasnął:

- Pozwólcie jej przejechać!

- PROSZĘ OPUŚCIĆ WÓZ, ALBO BĘDZIEMY STRZELAĆ!

- Pozwólcie jej przejechać! - tłum podjął rytm i zaczął skandować hasło.

- OPUŚCIĆ WÓZ...

Słowa zagłuszył ryk tłumu. Ktoś rzucił kamieniem. Przednia szyba policyjnego wozu pokryła się pajęczyną pęknięć. Rozległo się wycie motorów i dwa krążowniki zaczęły się wycofywać, dając im wolny przejazd. Tłum krzyknął z radości, po czym zamilkł, czekając na rozwój sytuacji.

- WSZYSTKIE OSOBY CYWILNE UPRASZA SIĘ O OPUSZCZENIE TEGO TERENU - rozległ się głos z megafonu. - MOŻE MIEĆ TU MIEJSCE STRZELANINA, UPRASZA SIĘ O NATYCHMIASTOWE OPUSZCZENIE TEGO TERENU. OSOBY, KTÓRE NIE ZASTOSUJĄ SIĘ DO TEGO POLECENIA ZOSTANĄ UKARANE. KARA ZA NIEPODPORZĄDKOWANIE SIĘ WYŻEJ WYMIENIONYM POLECENIOM TO DZIESIĘĆ LAT WIĘZIENIA, DZIESIĘĆ TYSIĘCY DOLARÓW GRZYWNY LUB OBIE TE SANKCJE JEDNOCZEŚNIE. ŻĄDAM NATYCHMIASTOWEGO OPUSZCZENIA TEGO TERENU PRZEZ OSOBY CYWILNE.

- Tak! Żeby nikt nie widział, jak rozwalacie tę dziewczynę! - krzyknął następny głos. - Pieprzyć te świnię!

Tłum nie poruszył się. Z piskiem opon zajechały na plac wozy reporterskie. Trzej mężczyźni wyskoczyli z szoferek i zaczęli ustawiać kamerę. Dwaj policjanci ruszyli w ich



stronę. W chwilę potem miała miejsce krótka, bezlitosna walka o kamerę. Nagle gliniarz wyrwał ją gwałtownie, podniósł do góry za trójnog i roztrzaskał o płyty chodnika. Reporter próbował rozprawić się z gliną, który to zrobił, ale został powalony na ziemię. Mały chłopiec wypadł z tłumu i rzucił kamieniem w tył głowy policjanta. Gliniarz runął na ziemię, bryznęła krew. Na poboczach ulic raz po raz wybuchały drobne, ale bezpardonowe utarczki pomiędzy dobrze ubranymi mieszczuchami a łachmaniarzami z podmiejskich slumsów. Kobieta w podartym, wyblakłym szlafroku rzuciła się nagle na tłustą matronę i zaczęła wrywać jej włosy. Obie upadły na ziemię, kopiąc się i okładając wzajemnie pięściami.

- Mój Boże - szepnęła Amelia.

- Co się dzieje? - spytał Richards. Nie ośmielił się unieść głowy ponad poziom deski rozdzielczej wozu.

- Boję się. Gliniarze biją ludzi, ktoś rozwalił kamerę reporterom.

- PODDAJ SIĘ, RICHARDS. WYJDŹ Z WOZU.

- Ruszaj - rzucił krótko.

Pojazd powietrzny niepewnie ruszył naprzód.

- Będą strzelać w zbiorniki powietrza - powiedziała. - Potem zaczekają, dopóki nie będziesz musiał wyjść.

- Nie będą - odrzekł Richards.

- Dlaczego?

- Mają za duże kłopoty.

Obyło się bez strzelaniny. Przejechali pomiędzy pojazdami policji i stojącymi po obu stronach ulicy ludźmi. Tłum podzielił się mimowolnie na dwie grupy. Po jednej stronie drogi stali członkowie klasy średniej i wyższej - kobiety z włosami ufryzowanymi w najlepszych salonach piękności, mężczyźni w szykownych garniturach. Faceci w kombinezonach z sygnaturami kompanii na plecach i nazwiskami wyszywanymi złotą nicią na kieszeniach na piersiach. Kobiety takie jak Amelia Williams, ubrane jakby udawały się na zakupy. Ich twarze były skrajnie różne, ale miały jedną wspólną cechę, wyglądały dziwnie niekompletnie jak zdjęcia, w których brakuje oczu lub układanka, której większość elementów gdzieś zaginęła. Nigdy niczego im nie brakowało - pomyślał Richards. Nigdy nie zaznali głodu. Nigdy nie miewali szaleńczych, okrutnych snów. Zapomnieli, co to nadzieja. Ci ludzie znajdowali się po prawej stronie drogi.

Po drugiej stronie ulicy zgromadzili się biedacy. Czerwone nosy poprzecinane nabrzmiałymi żyłkami, opadłe, sflaczałe piersi, brudne strąki włosów, białe skarpety, ciała wyniszczone chorobą, pryszcze, usta otwarte w idiotycznych grymasach. Po tej stronie stało o

wiele więcej gliniarzy. Z każdą chwilą ich liczba się powiększała. Richards nie był zaskoczony, widząc, że byli uzbrojeni po zęby. Biedacy zajmowali niewielkie, skromne domki, zamykane na jesień i zimę. Biedacy byli członkami gangów ulicznych. Biedacy nie używali mydła i ślali przekleństwa, stojąc przed sklepowymi wystawami. Na widok Nargahydu, chromowanych metali, garniturów za dwieście dolców i obwisłych brzuchów ich usta wypełniały się śliną. A przecież ci biedacy musieli mieć zapewne swego Jacka Johnsona, swego Muhammada Ali, swego Clyde Barrowa. Stali i patrzyli. Oto po prawej bogaci ludzie - pomyślał Richards. Grubi i zaniedbani, ale uginający się pod ciężarem panczerzy i uzbrojeni po zęby. Po lewej, ważący najwyżej po sześćdziesiąt parę kilo głodujący biedacy. Kieruje nimi głód. Wydaliby Chrystusa za funt salami. W West Stickwille nastąpiła polaryzacja. Uważajcie na te dwie zwaśnione strony - myślał. Walka nie będzie się toczyć tylko na ringu, ale i na całej sali.

Czy znajdzie się jakiś kozioł ofiarny, który będzie w stanie ich pogodzić?

Samochód zwolnił. Jechał teraz mniej więcej trzydzieści na godzinę. Z taką właśnie prędkością Ben Richards przejeżdżał pomiędzy dwiema zwaśnionymi grupami.

Była już czwarta. Cienie skradały się wzdłuż drogi. Richards obsunął się na siedzeniu. Ostrożnie wyciągnął koszulę ze spodni, by przyjrzeć się uważnie nowej ranie. Kula wyżłobiła głęboką, brzydką bruzdę w jego boku. Rana zasklepiła się już, ale wiedział, że jeden szybki ruch wystarczyłby, aby otworzyła się na nowo. Krwawienie byłoby wtedy jeszcze obfitsze. Nie grało to jednak teraz większej roli. Chcieli go załatwić. W obliczu uzbrojonych po zęby oddziałów jego plan mógł zakrawać na kpinę. Będzie jechał przed siebie, dopóki nie zdarzy się jakiś „wypadek” i samochód nie zmieni się w stertę potrzaskanego żelastwa (...straszliwy wypadek... zostanie przeprowadzone oficjalne śledztwo - człowiek, który nacisnął spust zostanie niewątpliwie przesłuchany - rzecz jasna to godny pożałowania czyn... utrata niewinnego życia ludzkiego itd., itp.), a wiadomość na ten temat zostanie podana pomiędzy informacjami gospodarczymi a ostatnim wystąpieniem papieża.

Martwił się o Amelię, która popełniła spory błąd, wybierając się w ten środowy poranek na zakupy.

- Mają tam czołgi - powiedziała nagle. W jej głosie brzmiała nuta hysterii. - Wyobrażasz sobie? Wyobrażasz to sobie? - zaczęła płakać.

- Gdzie teraz jesteśmy?

- W... Winterport. Ja już nie mogę. Nie mogę dłużej czekać... Nie mogę czekać na ich ruch. Oni to zrobią. A ja już naprawdę nie mogę!

- Dobra - powiedział.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- O co ci chodzi?

- Zatrzymaj wóz i wysiadaj.

- Ale... oni cię zabiją.

- Tak, ale nie będzie już więcej przelewania krwi. Mają taką siłę ognia, że po prostu zmienią mnie wraz z tym wozem w kupkę popiołu.

- Kłamiesz. Zabijesz mnie.

Trzymał rewolwer obu dłońmi pomiędzy kolanami. Upuścił go na podłogę. Nawet nie stuknął, uderzając o gumową wykładzinę.

- Czemu nie zaczekałeś na następny wóz? O Boże, Boże!

Richards zaczął się śmiać. Zachłystywał się śmiechem, w boku znów poczuł dotkliwy, przejmujący ból. Zamknął oczy i śmiał się, póki spod powiek nie wypłynęły mu pierwsze krople łez.

- Zimno tu. Wieje przez tę strzaskaną szybę - powiedziała nagle. - Włącz ogrzewanie.

Jej twarz była białą plamą pośród cieni późnego popołudnia.

*MINUS 037. ODLICZANIE TRWA*

- Jesteśmy w Derry - oznajmiła.

Na ulicach roilo się od ludzi. Stali na dachach, balkonach i werandach. Zjadali kanapki i kawałki pieczonego kurczaka wyjmowane z zatłuszczonych opakowań.

- Widzisz wjazd na lotnisko?

- Tak. Pewno zaraz zamkną bramę.

- Zagrozę, że cię zabiję, jeżeli to zrobią.

- Chcesz porwać samolot?

- Spróbuję.

- Nie uda ci się.

- Pewno masz rację.

Skęcili w lewo, potem w prawo. Monotonny głos z megafonu nakłaniał ludzi do cofnięcia się i rozejścia. - Czy ona naprawdę jest twoją żoną? Ta kobieta na zdjęciach.

- Tak. Ma na imię Sheila. Nasze dziecko, Cathy, ma półtora roczku. Jest chora. Ma grypę. Może już z nią lepiej, nie wiem. To dla niej to robię.

Nad samochodem przeleciał helikopter, rzucając na drogę olbrzymi cień. Głos z megafonu namawiał Richardsa do wypuszczenia zakładniczki. Kiedy helikopter odleciał i znów mogli rozmawiać, powiedziała:

- Twoja żona jest trochę zaniedbana. Mogłaby lepiej zatroszczyć się o siebie.

- Zdjęcie zostało spreparowane - rzekł Richards bezbarwnym głosem.

- Zrobiliby coś takiego?

- Zrobili to.

- Lotnisko. Jesteśmy już prawie na miejscu.

- Czy brama wjazdowa jest zamknięta?

- Jest otwarta, ale zablokowana przez czołg. Lufę ma skierowaną w naszą stronę.

- Podjedź na jakieś trzydzieści stóp i zatrzymaj wóz.

Pojazd jechał powoli czteropasmówką, pomiędzy zaparkowanymi po obu jej stronach samochodami policyjnymi i skandującym bez końca tłumem gapiów. Nad nimi majaczył neon - Lotnisko Voigt. Dziewczyna zobaczyła w oddali ogrodzenie pod napięciem przecinające bagniste, bezwartościowe pole. Na wprost przed nimi znajdowała się brama wjazdowa zablokowana przez czołg typu A-62, zdolny wypluć ze swojej lufy pociski o mocy ćwierć megatony. W oddali ciągnęły się krzyżówki dróg i kwadratów parkingowych prowadzących

do kompleksu terminali odrzutowców. Nad wszystkim górowała olbrzymia wieża kontrolna. Zachodzące słońce rzucało krwawe refleksy na jej przyciemnione okna, zamieniając je w błyszczące morza płomieni. Pracownicy i pasażerowie otoczeni kordonem policji skupili się na najbliższym parkingu.

- RICHARDS!

Amelia podskoczyła na siedzeniu i spojrzała na niego z przerażeniem. Skinął nonszalancko dłonią.

- Wszystko w porządku, mamusiu. Po prostu umieram.

- NIE WPUŚCIMY CIĘ NA TEREN LOTNISKA - zapewnił go potężny głos - WYPUŚĆ DZIEWCZYNĘ. WYSIĄDŹ Z SAMOCHODU.

- Co teraz? - spytała. - Mamy impas. Będą czekać, aż...

- Musimy zrobić następny krok - powiedział. - Będę próbować kolejnego blefu. Wychył się. Powiedz im, że jestem ranny i na wpół oszalały. Powiedz, że chcę oddać się w ręce Airline Police.

- Co?

- Airline Police nie podlega pod siły stanowe ani federalne. Pracowali jako organ międzynarodowy, zanim ONZ podpisała pakt w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym piątym. Mówiło się, że jeśli oddasz się w ich ręce, masz szansę na uzyskanie amnestii. To tak jak zatrzymanie się na wolnym polu w grze w Monopol. Oczywiście to stek bzdur. Koniec końców i tak oddaliby mnie w ręce Łowców, a ci wypruliby ze mnie flaki.

- Ale może... dadzą się na to nabrać i pomyślą, że w to uwierzyłeś - powiedziała z dziwnym grymasem.

Wychyliła się z wozu. Richards znieruchomiał. Jeżeli kiedykolwiek miał się wydarzyć jakiś „nieszczęśliwy wypadek”, to zdarzy się on właśnie teraz. W jej głowę i górną część ciała wycelowanych było tysiące karabinów. Jedno naciśnięcie na spust i cała ta farsa szybko się skończy.

- Ben Richards chce oddać się w ręce Airline Police - krzyknęła. - Jest ranny. Dostał dwie kule! - Rzuciła szybkie, ukradkowe spojrzenie przez ramię. Głos jej się łamał. - On jest szalony... Tak się boję. O Boże! Proszę, proszę...!

Kamery rejestrowały przebieg całego zdarzenia. Cała Ameryka Północna i połowa świata dowie się o wszystkim w ciągu paru minut. O to właśnie chodziło. Nastąpiła chwila ciszy. Przy punkcie kontrolnym trwała zażarta dyskusja.

- Bardzo dobrze - mruknął Richards.

Spojrzała na niego.

- Czy uważasz, że tak trudno udawać przerażoną? Myśl sobie co zechcesz, ale tylko ty pograżyłeś się w tym wszystkim po uszy. Chcę po prostu, żebyś się stąd wydostał.

Richards po raz pierwszy zdał sobie sprawę, jak wspaniałe były jej piersi skryte pod przesiąkniętym krwią, niegdyś zielonym materiałem bluzki. Jakie były wspaniałe i jakie krągłe!

Z oddali dobiegł ich przeciągły ryk. Dziewczyna krzyknęła.

- To czołg - uspokoił ją. - To tylko czołg.

- On odjeżdża! - krzyknęła. - Przepuszczą nas!

- RICHARDS! WJEDZIESZ TERAZ NA PARKING NUMER SZESNAŚCIE. AIRLINE POLICE BĘDZIE TAM NA CIEBIE CZEKAĆ. ODDASZ SIĘ W ICH RĘCE.

- W porządku - powiedział. - Ruszaj. Zatrzymaj się jakieś pół mili za bramą wjazdową.

Wóz uniósł się na cztery cale w powietrze i ruszył przed siebie. Gdy mijali bramę, Richards skulił się na siedzeniu, obawiając się zasadzki, ale nic się nie wydarzyło. Asfaltowa szosa prowadziła do głównych budynków. Strzałka wskazywała drogę do parkingu numer szesnaście. Za żółtymi budynkami stali i klęczeli uzbrojeni gliniarze. Wiedział, że jeden nieostrożny ruch wystarczy, by rozwalili ich wóz na strzępy.

- Zatrzymaj się - powiedział.

Reakcja była natychmiastowa.

- RICHARDS! PRZEJEDŹ NATYCHMIAST NA PARKING SZESNASTY.

- Powiedz im, że chcę megafon. Niech go zostawią na drodze, dwadzieścia jardów przed samochodem.

Powiedziała, co jej polecił. Czekali w milczeniu. Chwilę potem przed ich samochodem pojawił się facet w błękitnym kombinezonie i położył na asfalcie elektryczny megafon. Stał przez chwilę nieruchomo, być może zdając sobie sprawę, że ogląda go w tej chwili pięć milionów ludzi, po czym wrócił za prowizoryczną barykadę i rozmył się w tłumie anonimowych postaci.

- Ruszaj - polecił Richards.

Wóz podjechał do leżącego na ziemi megafonu. Amelia otworzyła drzwi, podniosła go i podała Richardsowi. Był biało-czerwony. Na ręczce widniały tłoczone litery G i A. Pomiedzy nimi umieszczono symbol pioruna.

- W porządku - powiedział. - Jak daleko mamy do głównego budynku?

Spojrzała z ukosa.

- Jakies ćwierć mili.

- A jak daleko do szesnastki?

- Ze sto metrów.

- Dobrze. To dobrze.

Nagle zdał sobie sprawę, że odruchowo zaczyna przygryzać wargi. Bolała go głowa. Bolało go całe ciało przepelnione adrenaliną.

- Jedź dalej. Podjedź do wjazdu na parking szesnasty i zatrzymaj się.

- I co dalej?

Uśmiechnął się.

- To będzie ostatni bastion Bena Richardsa - oznajmił.



*MINUS 036. ODLICZANIE TRWA*

Kiedy zatrzymała się przed wjazdem na parking szesnasty, reakcja była niemal natychmiastowa.

- PODJEDŹCIE DALEJ - rozległ się głos zniekształcony przez echo megafonu. -  
ODDZIAŁ AIRLINE POLICE CZEKA NA WAS WEWNĄTRZ, TAK JAK TO ZOSTAŁO  
USTALONE.

Richards uniósł megafon do ust.

- DZIESIĘĆ MINUT. MUSZĘ SIĘ ZASTANOWIĆ.

Znowu nastąpiła cisza.

- Czy wiesz, że zmuszasz ich, żeby to zrobili? - spytała spokojnym, kontrolowanym głosem.

Roześmiał się.

- Wiedzą, że chcę ich wyrolować. Tyle tylko, że nie wiedzą, w jaki sposób.

- Nie uda ci się. Nie możesz tego zrozumieć?

- A jeżeli mi się uda?

- Posłuchaj. Kiedy rozpoczęła się epoka Gier ludzie mówili, że były one największym przedsięwzięciem, jakie kiedykolwiek zrealizowano. Mówiono, że nigdy nie było czegoś podobnego. To nieprawda. Nic w tym oryginalnego. Już w Rzymie istnieli gladiatorzy, którzy robili to samo, co my teraz. Jest jeszcze inna gra, amerykański poker. Najlepsze karty to poker pikowy. Cztery karty na stole, a piąta u rozdającego. Taki jest właśnie UCIEKINIER. Tyle tylko, że ja nie mam pieniędzy, które mógłbym obstawić. Oni mają ludzi, broń i czas. Gramy ich kartami i ich żetonami w ich kasynie. Kiedy mnie złapią, gra się skończy. Ale może uda mi się podbić stawkę. Skontaktowałem się ze stacją w Rockland. To moja dziesiątka pik. Zapewnili mi bezpieczny przejazd, bo oczy wszystkich zwrócone były na nas. Po tej jawnej blokadzie nie mieli już możliwości pozbycia się nas po cichu. Widzisz, tak to już jest, że ludzie wierzą w to, co widzą we Free Vee. Gdyby cały kraj zobaczył, jak gliny rozwalają mojego zakładnika, kobietę z dobrego domu, musieliby w to uwierzyć. Nie mogą ryzykować. Ich system bazuje na zaufaniu oglądających ich programy widzów. Zabawne, co? Moi ludzie są tutaj. Pamiętasz te zajścia na ulicach? Gdyby gliniarze i Łowcy zaczęli do nas strzelać, mogłoby zdarzyć się coś naprawdę okropnego. Pewien facet powiedział mi, abym zawsze trzymał się ludzi mego pokroju. Miał rację, choć nie był o tym do końca przekonany. Moi ludzie to walet pik. Ty w tym rozdaniu jesteś damą pik. Ja jestem królem, człowiekiem w czerni, dzierżącym w dłoni miecz. To moje odkryte karty. Środki masowego przekazu, możliwość wzniecenia zamieszek, ty i ja. W sumie niewiele. Jedna para jest od nich silniejsza. Bez asa pik te karty są nic nie warte. Jeżeli zdobędę tego asa, będę nie do pobicia.

Nagle podniósł jej torebkę z imitacji skóry aligatora, zaopatrzoną w niewielki srebrny łańcuszek. Włożył ją do kieszeni kurtki, tworząc na niej wyraźne wybrzuszenie.

- Nie mam tego asa - powiedział. - Gdybym był przewidujący, postarałbym się o niego. Ale mam kartę u rozdającego, tę, która jest stale zakryta. Mogę teraz pozwolić sobie na mały bluff.

- Nie masz szans - odparła ponuro. - Co chcesz zrobić z moją torebką? Strzelać do nich ze szminek?

- Zamierzam zagrać swoją ostatnią kartę. Zobaczysz, aż zzielenieją z wściekłości!

- RICHARDS! DZIESIĘĆ MINUT MINEŁO!

Podniósł do ust megafon.

*MINUS 034. ODLICZANIE TRWA*

- SŁUCHAJCIE UWAZNIE!

Jego głos przetoczył się donośnym echem przez płytę lotniska. Gliniarze czekali w napięciu. Tłum zaczął szemrać.

- MAM PRZY SOBIE DWANAŚCIE FUNTÓW MATERIAŁU WYBUCHOWEGO. JEST TO PLASTIK TYPU DYNACORE HI IMPACT, ZWANY RÓWNIEŻ BLACK IRISH. DWANAŚCIE FUNTÓW POWINNO WYSTARCZYĆ, BY ZMIEŚĆ WSZYSTKO I WSZYSTKICH Z POWIERZCHNI ZIEMI W ZASIĘGU CO NAJMNIEJ PÓŁ MILI. PRAWDOPODOBNIEM EKSPLOZJA PLASTIKU SPOWODUJE TAKŻE WYBUCH ZBIORNIKÓW PALIWA DO ODRZUTOWCÓW. JEŻELI NIE WYPEŁNICIE WSZYSTKICH MOICH POLECEŃ CO DO JOTY, WYSADZĘ TO WSZYSTKO W POWIETRZE. MATERIAŁY WYBUCHOWE ZAOPATRZONE SĄ W KRAŻEK DETONATOROWY GENERAL ATOMICS. WYSTARCZY GO TYLKO PRZEKRĘCIĆ. DETONATOR ZOSTAŁ JUŻ NA PÓŁ ZWOLNIONY. JEDEN MÓJ RUCH I MOŻECIE WSADZIĆ SOBIE GŁOWY MIĘDZY NOGI, POCAŁOWAĆ SWOJE ZASRANE TYŁKI I POWIEDZIEĆ DO WIDZENIA.

W tłumie rozległy się głośnie okrzyki, po czym wszyscy rzucili się do ucieczki. Policjanci tworzący kordon bezpieczeństwa nagle zdali sobie sprawę, że są praktycznie niepotrzebni. Mężczyźni i kobiety biegli na oślep, ludzki strumień wylewał się za bramę wjazdową lotniska, niektórzy przechodzili przez ogrodzenie. Ich pobladłe twarze przepelniał wyraz niewiarygodnego przerażenia. Policjanci czuli się nieswojo. Amelia spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- RICHARDS! - ryknął donośny głos. - TO KŁAMSTWO. WYŁAŻ Z WOZU.

- WYJDE. ALE ZANIM TO ZROBIĘ, WYCOFASZ STĄD SWOICH LUDZI. CHCĘ ODRZUTOWIEC Z ZAPASEM PALIWA I ZAŁOGĄ. MA BYĆ GOTOWY DO LOTU. MA TO BYĆ ALBO LOCKHEED G-A ALBO DELTA SUPERSONIC O ZASIĘGU CO NAJMNIEJ DWÓCH TYSIĘCY MIL. MA BYĆ GOTÓW ZA DZIEWIĘCDZIESIĄT MINUT.

Dziennikarze też czuli się nieswojo. To się czuło. Robili swoją robotę dla obserwujących wszystko pięciu milionów widzów. Byli prawdziwi, podobnie jak ich praca.

A dwanaście funtów plastiku w kieszeni Bena Richardsa mogło być jedynie zwyczajnym wymysłem jego godnego podziwu, przestępczego umysłu.

- RICHARDS!

Pięćdziesiąt metrów od wjazdu na parking pojawił się facet w czarnych spodniach i białej koszuli z podwiniętymi rękawami. W dłoni trzymał megafon większy od tego, którym posługiwał się Richards. Z tej odległości Amelia zauważyła tylko, że nosił małe okulary. Poblyskiwały w blasku zachodzącego słońca.

- JESTEM EVAN MC CONE.

Znał to nazwisko. Miało obudzić strach w głębi jego serca. I obudziło. Nie był tym zaskoczony. Evan Mc Cone był przywódcą Oddziału Łowców. Potomkiem J. Edgara Hoovera i H. Himlera. - pomyślał. Kastetem w rękawicy Sieci. Czarnym ludem. Upiorem w ludzkiej postaci. Jego nazwiskiem straszono małe dzieci. „Jeżeli nie przestaniesz bawić się zapalkami, Johnny, Evan Mc Cone wyjdzie z szafy i cię porwie”.

- KŁAMIESZ, RICHARDS. WIEMY O TYM. CZŁOWIEK SPOZA GENERAL ATOMICS NIE JEST W STANIE ZDOBYĆ NAWET GRAMA DYNACORU. WYPUŚĆ DZIEWCZYNĘ I WYSIĄDŹ Z WOZU. NIE CHCIELIBYŚMY JEJ ZABIJAĆ.

Amelia jęknęła przejmująco.

- SPRÓBUJ SZCZĘŚCIA W SHAKER HEIGHTS, MAŁY CZŁOWIECZKU - ryknął Richards. - NA CO DRUGIEJ ULICY MOŻESZ KUPIĆ DYNACORE, JEŻELI, RZECZ JASNA, DYSPONUJESZ GOTÓWKĄ. A JA MAM PIENIĄDZE. PIENIĄDZE FEDERACJI GIER. MACIE JESZCZE OSIEMDZIESIĄT SZEŚĆ MINUT.

- NAWET MOWY NIE MA!

- MC CONE?

- TAK?

- WYPUSZCZĘ TERAZ DZIEWCZYNĘ. ONA WIDZIAŁA MATERIAŁ WYBUCHOWY.

Amelia spojrzała nań ze zgrozą.

- W TYM CZASIE ZAJMIJ SIĘ SPRAWĄ ODRZUTOWCA. MACIE OSIEMDZIESIĄT PIĘĆ MINUT. NIE BLEFUJĘ. JEDNA KULA I WSZYSCY POLECIMY NA KSIĘŻYC.

- Nie! - szepnęła. - Chyba nie wierzysz w to, że mogłabym dla ciebie posunąć się do kłamstwa!

- Jeżeli tego nie zrobisz, koniec ze mną. Jestem ranny, mam rozwaloną nogę. Nie zawsze wiem, co mówię, ale to w obecnej chwili najlepsze, co mogę zrobić. Posłuchaj, plastik Dynacore jest biały i twardy. Trochę śliski w dotyku. To...

- Nie, nie, nie! - zasłoniła uszy dłońmi.

- Wygląda jak mydło Ivory. Jest dość twardy. A teraz opiszę ci detonator. Wygląda jak...

Zaczęła płakać.

- Nie mogę, nie rozumiesz tego? Jako obywatelka tego kraju mam pewne obowiązki... Sumienie... Moje sumienie...

- No tak, zawsze może wyjść na jaw, że kłamałaś. Chyba żeby stało się inaczej. Jeżeli zrobisz, co ci każe, oni spasyją. A ja wydostanę się stąd.

- Nie mogę!

- RICHARDS! WYPUŚĆ TĘ KOBIECĘ!

- Krążek detonujący ma jakieś dwa cale średnicy, jest złotego koloru. Wygląda jak kółko do kluczy, tyle że nie ma na nim nawet jednego klucza. Przymocowana jest do niego wąska rurka przypominająca automatyczny ołówek, na którym umocowane jest urządzenie detonujące G.A. To urządzenie przypomina gumkę na ołówku.

Kołysała się w przód i w tył, pochlipując z cicha.

- Powiedziałem im, że detonator został już na pół zwolniony. To znaczy, że możesz teraz dostrzec niewielki karb tuż nad powierzchnią kostki plastiku. Rozumiesz?

Nie odpowiedziała. Chlipiąc, kołysała się rytmicznie.

- Pewno, że rozumiesz - powiedział cicho. - Jesteś mądrą dziewczynką, prawda?

- Nie będę kłamać - powiedziała.

- Jeżeli będą ci zadawać dalsze pytania, nie odpowiadaj. Nic więcej nie wiesz. Nic więcej nie widziałaś. Byłaś zbyt przerażona. Aha, jeszcze jedno. Detonator zauważyłaś, zanim znaleźliśmy się przed pełną blokadą drogową. Miałem go przy sobie przez cały czas. Nie wiedziałaś, co to było, ale przez cały czas trzymałem go w ręce.

- Lepiej mnie teraz zabij.

- Idź już - powiedział. - Wysiadaj.

Spojrzała na niego. Jej usta poruszały się bezgłośnie, oczy były czarnymi, błyszczącymi otworami. Niebrzydka, zadbana kobieta, którą kiedyś była, gdzieś znikła. Richards zastanawiał się, czy Amelia Williams zdoła kiedykolwiek powrócić do swej dawnej postaci. Wątpił w to. Na pewno nie będzie już taka jak kiedyś.

- Idź - powiedział. - Idźże już.

- Ja... O Boże!

Otworzyła drzwi i na wpół wypadła, na wpół wyskoczyła z wozu. Gdy tylko jej nogi dotknęły asfaltu, zaczęła biec. Wyglądała teraz naprawdę wspaniale. Gdy tak biegła, przypominała boginię, ścigana odgłosem trzasków milionów aparatów fotograficznych. Błyskały flesze. Lufy karabinów uniosły się w górę i opadły, gdy wchłonął ją tłum.

Richards wychylił się, łypnął okiem przez boczną szybę, ale nie był w stanie niczego dostrzec. Raz jeszcze obsunął się na siedzeniu, spojrzął na zegarek i czekał na dalszy rozwój wypadków.

*MINUS 033. ODLICZANIE TRWA*

Czerwona wskazówka zegarka zatoczyła dwa pełne kręgi. Jeszcze dwa. I jeszcze...

- RICHARDS!

Uniósł megafon do ust.

- SIEDEMDZIESIĄT DZIEWIĘĆ MINUT, MC CONE!

Musiał grać do końca. To jedyne, co mógł teraz zrobić. Lada moment Mc Cone wyda rozkaz strzelania. To potrwa tylko chwilę, w gruncie rzeczy przestał się tym w ogóle przejmować.

Po długiej chwili oczekiwania usłyszał:

- POTRZEBUJEMY WIĘCEJ CZASU, PRZYNAJMNIEJ TRZY GODZINY. NA LOTNISKU NIE MA OBECNIE ANI JEDNEGO ODRZUTOWCA TYPU LOCKHEED G-A CZY DELTA. CZEKAMY NA JEGO PRZYLOT.

Zrobiła to. Dzięki Bogu, zrobiła to! Kobieta na skraju przepaści zdołała przezwyciężyć wszystkie swoje obawy. Nie wrobiła go. Nie powiedziała o wszystkim. Zdziwiający. Wątpił, czy jej uwierzyli. Nie wierzyć nikomu i niczemu, to był ich obowiązek. Teraz zapewne zaciągną ją do jednego z pomieszczeń pobliskiego terminalu. Będzie tam pewno z pół tuzina oprawców Mc Cone'a. A kiedy już się tam znajdzie, rozpocznie się litania przesłuchań. Oczywiście, że jest pani zdenerwowana pani Williams, ale proszę sobie przypomnieć. Niech pani jeszcze raz sięgnie pamięcią... Interesuje nas taki szczegół... Czy jest pani pewna, że nie było innego sposobu, by... skąd pani wie, że... dlaczego... co on wtedy powiedział...

Zdecydowali się grać na zwłokę. Będą go zwodzić, spiętrzać kolejne problemy. Kłopoty z paliwem - potrzebujemy więcej czasu. Na lotnisku nie ma odpowiedniej załogi - potrzebujemy więcej czasu. Nad pasem zero siedem latający talerz - potrzebujemy więcej czasu. Jeszcze nie udało się nam jej złamać. Nie zdołaliśmy jeszcze wydusić z niej oświadczenia, że twój materiał wybuchowy składa się ze złożonej w pół torebki z imitacji skóry aligatora, wewnątrz której znajdują się chusteczki higieniczne, drobne, kosmetyki i karty kredytowe. Potrzebujemy więcej czasu. Nie możemy na razie ryzykować zabicia cię, jeszcze nie teraz. Potrzebujemy więcej czasu.

- RICHARDS?

- SŁUCHAJ NO! - odkrzyknął. - MACIE SIEDEMDZIESIĄT PIĘĆ MINUT. POTEM TO WSZYSTKO WYLECI W POWIETRZE.

Bez odpowiedzi. Na placu, mimo grożącego nadal niebezpieczeństwa, znów zaczęli gromadzić się ludzie. Mały samochód oświetlało teraz kilkanaście przenośnych reflektorów, zalewając go powodzią światła i uwydatniając strzaskane szyby. Richards próbował wyobrazić sobie maleńki pokoik, w którym zapewne przepytawali Amelię, gdzie próbowali dowiedzieć się od niej prawdy, ale nie mógł. Rzecz jasna, prasa nie miała wstępu do tego pomieszczenia. Ludzie Mc Cone'a zajmą się nią odpowiednio. Jak daleko są w stanie się posunąć, gdy mają do czynienia z kobietą nie należącą do społeczeństwa slumsów, biedaków bez twarzy? Narkotyki. Użyją narkotyków. Richards był pewien, że Mc Cone zdecyduje się je zastosować i to takie, które spowodowałyby, że Indianin z plemienia Yaqui opowiedziałby cały swój życiorys jak dziecko zwierające się swojej niańce. Narkotyki, po których ksiądz opowiadałby o grzechach swoich wiernych jak maszyna do stenografowania. A przemoc fizyczna? Nowoczesne elektryczne pałki, które tak dobrze spełniły swoje zadanie podczas tłumienia buntu w Seattle w roku 2005? A może wystarczy, że po prostu będą zamęczać ją ciągłymi pytaniami?

Nie mógł odegnąć od siebie natrętnych myśli. W oddali za terminalami rozległ się ryk rozgrzewanych silników odrzutowca Lockheeda. Jego Lockheeda. Odgłos to wzmagał się, to cichł rytmicznie. Kiedy ucichł na dobre, wiedział że rozpoczęto tankowanie paliwa. Gdyby się pospieszyli, powinno potrwać ze dwadzieścia minut. Richards wątpił, żeby spieszyło się im aż tak bardzo. No, no, no! A więc zaczęło się. Na stole leżą wyłożone wszystkie karty. Wszystkie, oprócz jednej.

Jak ci idzie, Mc Cone? Zdołałeś się już do niej dostać? Cienie na lotnisku wydłużyły się. Wszyscy czekali w milczeniu.



Richards zdał sobie sprawę, że stary frazes, iż czas stoi w miejscu był wierutną bzdurą. Czas nie stał w miejscu. Z pewnego punktu widzenia byłoby może lepiej, gdyby tak było. Może nie utraciłby do końca nadziei. Głos rozlegający się przez megafon dwukrotnie stwierdził, że Richards kłamie. Powiedział im, że skoro tak uważają, to niech otworzą ogień. Pięć minut potem nowy głos powiedział mu, że klapy Lockheeda zamarzyły i rozpoczęto właśnie tankowanie innego samolotu. Richards stwierdził, że bardzo się z tego cieszy. I że ma nadzieję, iż tankowanie zostanie zakończone na czas.

Czas mijał szybko. Dwadzieścia sześć, dwadzieścia pięć, dwadzieścia dwa, dwadzieścia... Może jeszcze jej nie złamali. Boże! Może jeszcze jej nie złamali... Osiemnaście... piętnaście... Znów ryk silników... Załoga sprawdzała sprawność maszyny! Dziesięć minut... osiem...

- RICHARDS!

- SŁUCHAM.

- POTRZEBUJEMY TROCHĘ CZASU. KLAPY ODRZUTOWCA PRZYMARZŁY. BĘDZIEMY MUSIELI PRZEPLUKAĆ TURBINY PŁYNNYM WODOREM. PO PROSTU POTRZEBUJEMY CZASU.

- MACIE JESZCZE SIEDEM MINUT. POTEM WJADĘ NA PŁYTĘ LOTNISKA. BĘDĘ PROWADZIŁ WÓZ JEDNĄ RĘKĄ, DRUGĄ ZAŚ ZACISNĘ NA KRAŻKU DETONATORA. WSZYSTKIE WROTA ZOSTANĄ OTWARTE. PAMIĘTAJCIE, Z KAŻDĄ CHWILĄ BĘDĘ CORAZ BLIŻEJ ZBIORNIKÓW PALIWA

- CHYBA NIE ROZUMIESZ, ŻE MUSIMY...

- NIE MAM CZASU NA GADANIE. ZOSTAŁO WAM SZEŚĆ MINUT.

Wskazówka zataczała regularne kręgi. Trzy minuty, dwie, jedna... Nie potrafił wyobrazić sobie wysiłków ludzi z grupy Mc Cone'a, próbujących w niewielkim pokoiku złamać opór pewnej niebrzydkiej dziewczyny. Próbował wyobrazić sobie twarz Amelii, ale bez powodzenia. Jej oblicze przesłoniły twarze innych ludzi. Twarze Staceya, Bradleya, Eltona i Virginii Parrakis oraz chłopca z psem nakładały się na siebie. Wszystko, co potrafił sobie przypomnieć to to, że dziewczyna była ładna i miała nad wyraz delikatną twarz. Delikatna twarz, ale gdzieś w głębi tkwiła niezwykła siła. Czy wystarczy jej siła? Czy wytrzyma? A może opowiedziała im już wszystko?

Poczuł, jak coś ciepłego spływa mu na brodę. Zdał sobie sprawę, że przygryzł wargę. I to nie raz, tylko kilka razy. Otarł usta dłonią, pozostawiając na rękawie ślady krwi i włączył silnik samochodu. Wóz posłusznie uniósł się w powietrze, silniki zagrały równym rytmem.

- RICHARDS! JEŻELI TWÓJ WÓZ RUSZY Z MIEJSCA, ZACZNIEMY STRZELAĆ! DZIEWCZYNA OPOWIEDZIAŁA NAM WSZYSTKO! WIEMY O WSZYSTKIM!

Nie padł ani jeden strzał. Było to na swój sposób nader rozczarowujące.

Rampa wjazdowa łagodnym łukiem uniosła się w górę, otwierając przed nim drogę do Northern Staten Terminal. Po obu stronach stali gliniarze uzbrojeni po zęby - od Mace-B i gazów łzawiących po broń przeciwpancerną. Ich twarze były tępe i bezmyślne. Richards jechał wolno pomiędzy ich kordonami, a oni odprowadzali go mętными spojrzeniami, jakimi zapewne krowy patrzyłyby na leżącego i wijącego się na podłodze stodoły farmera. Brama wjazdowa dla pracowników była otwarta. Richards przejechał przez nią, mijając po drodze rzędy ciężarówek-cystern zawierających paliwo wysokooktanowe i niewielkich, prywatnych samolotów. Jego odrzutowiec już czekał - olbrzymi, biały Jumbo Jet. Z jego dwunastu silników dobywał się stłumiony pomruk. W oddali widniał pas startowy. Ciągnął się prosto w nadciągający zmierzch, zdawać by się mogło, że gdzieś w ciemnościach styka się z linią horyzontu. Czterech ludzi w kombinezonach podstawiło właśnie pod drzwiczki samolotu schodki. Richardsowi zdawało się, że prowadzą na szafot. Jakby w uzupełnieniu tego wyobrażenia, z cienia, jaki rzucał na płytę lotniska olbrzymi kadłub samolotu wyłonił się kat - Evan Mc Cone. Richards przyglądał mu się z zainteresowaniem jak człowiek widzący po raz pierwszy słynną osobistość. Nieważne, ile razy widział jego postać w trójwymiarowym filmie. Dopóki nie zobaczył go na własne oczy, nie mógł uwierzyć, że jest on kimś rzeczywistym. Nawet wówczas jednak nie był w stanie wierzyć własnym oczom, jakby ktoś taki jak on w ogóle nie miał prawa istnieć.

Był niski, nosił okulary w złotych, cieniutkich oprawkach. Pod dobrze skrojonym garniturem sprawiał wrażenie lekko otyłego. Krążyły plotki, że Mc Cone nosi specjalnie podwyższone buty, ale jeśli nawet tak było, to nie rzucały się one w oczy. W klapie marynarki mężczyzny błyszczała srebrna szpilka. Mc Cone wcale nie wyglądał na bezlitosnego potwora. Nie wyglądał na człowieka, który nocą w czarnym samochodzie przeczesuje miasto, potrafi sprawnie posłużyć się gumową pałką i jest mistrzem w technikach prowadzenia przesłuchań. Nie sprawiał wrażenia człowieka otoczonego aurą przejmującej grozy.

- Ben Richards? - Nie używał megafonu. Miał łagodny, miły głos, lecz pozbawiony cienia zniewieściałości.

- Tak.

- Federacja Gier i Komisja Komunikacyjna Sieci udzieliła mi formalnego zezwolenia na schwytanie i zabicie pana. Widzi pan, zawsze przestrzegałem formalności - uśmiechnął się.

- A pan? Nie. Oczywiście, że nie. Pan działa zgodnie z własnymi regułami, dlatego wciąż

jeszcze pan żyje. Czy pan wie, że przekroczył pan ostatni rekord UCIEKINIERA wynoszący osiem dni i pięć godzin? Tak, jakieś dwie godziny temu. Nie wie pan, ale to prawda. Pańska ucieczka z gmachu YMCA w Bostonie spowodowała, że oglądalność programu w skali Nielsena podskoczyła o dwanaście punktów.

- Wspaniale!

- Mało brakowało, a w Bostonie wpadłby pan w nasze ręce. Mieliśmy po prostu pecha. Parrakis umierając przysięgał, że wskoczył pan na pokład statku w Auburn. Uwierzyliśmy mu. Był po prostu zwykłym, przerażonym gnojkiem.

- Niewątpliwie.

- Ta ostatnia rozgrywka była doprawdy wspaniała. Jestem pod wrażeniem. No cóż, z jednej strony żałuję, że nasza gra musi już wkrótce dobiec końca. Podejrzewam, że już nigdy nie będę miał równie pomysłowego przeciwnika.

- To błąd.

- Wiesz dobrze, że to już koniec - rzekł Mc Cone. - Dziewczyna opowiedziała nam wszystko. Użyliśmy pentotalu. To stary, ale niezawodny sposób. - Wyjął z kieszeni niewielki pistolet automatyczny. - Proszę wysiąść, panie Richards. Mam zamiar zrobić to tu i teraz, tak by nikt nie mógł tego sfilmować. Umrze pan spokojnie i bez niepotrzebnego rozgłosu.

- No to przygotuj się - Richards uśmiechnął się. Otworzył drzwiczki i wysiadł. Dwaj mężczyźni stanęli naprzeciwko siebie twarzą w twarz, rozdzieleni jedynie wąskim prostokątem cementowej płyty pasa startowego.

Mc Cone pierwszy przełamał atmosferę narastającego napięcia. Odwrócił głowę i roześmiał się. Miał łagodny śmiech.

- Jest pan wspaniały, panie Richards. Podziwiam pańską uczciwość. Nie zdołałem złamać tej kobiety. Przez cały czas powtarzała uparcie, że to wyrzucenie widoczne w pańskiej kieszeni to Black Irish. Nie mogliśmy użyć S.A.P., bo zostawia ślady. Jedno EEG i nasza mała tajemnica zostałyby ujawniona. Obecnie ściągamy z Nowego Jorku trzy ampułki canogynu. Nie zostawia śladów. Oczekujemy ich za jakieś czterdzieści minut. Tak czy inaczej nie zdołamy pana powstrzymać. Ona kłamie, to jasne. Jeśli mogę pozwolić sobie na drobną uwagę na jej temat, kobiety takie jak ona potrafią dobrze kłamać tylko wtedy, gdy chodzi o seks. Mogę poczynić jeszcze jedną obserwację? Jasne, że mogę. - Mc Cone uśmiechnął się. - Przypuszczam, że to jej torebka. Zauważyliśmy, że nie miała żadnej, a przecież była na zakupach. Jesteśmy raczej spostrzegawczy. Co się stało z jej torebką, skoro nie ma jej przy sobie?

Nie podjął rzuconego gambitu.

- Zastrzel mnie, jeśli jesteś taki pewny swego.

Mc Cone rozłożył ręce z politowaniem.

- Jakże bym chciał! Nie mogę jednak ryzykować, w grę wchodzi ludzkie życie, nawet gdy tak jak w pańskim przypadku szanse wynoszą pięćdziesiąt do jednego. Za dużo, jak na rosyjską ruletkę. Życie ludzkie to świętość. Rząd, nasz rząd, dobrze zdaje sobie z tego sprawę. Jesteśmy humanitarni.

- Tak, tak - rzekł Richards z uśmiechem na ustach.

Mc Cone zmrużył oczy.

- A więc rozumie pan...

Richards zrozumiał. Ten człowiek hipnotyzował go. Minuty płynęły, a z Bostonu nadlatywał już helikopter mający na swym pokładzie trzy ampułki z narkotykami. Boże, z jakim potworem przyszło mu się zmierzyć!

- Posłuchaj mnie - przerwał ostro Richards. - Moja mowa będzie krótka, mały człowieczku. Kiedy zrobisz jej zastrzyk, zaśpiewa ci tę samą piosenkę. Rozumiesz mnie?

Zmierzył Mc Cone'a wzrokiem, po czym ruszył przed siebie.

- Jeszcze się zobaczymy.

Mc Cone odwrócił się. Richards nawet na niego nie spojrzał, mijając go.

- Mówiono mi, że nacisk na detonator powinien wynosić trzy funty, by spowodować eksplozję. W obecnej chwili ten nacisk wynosi około dwa i pół funta. W przybliżeniu oczywiście.

Odgłos przyspieszonego oddechu Mc Cone'a sprawił mu nieskrywaną radość.

- Richards?

Obejrzał się, stojąc na schodach. Mc Cone patrzył w jego stronę, złote ramki okularów błyszczały.

- Kiedy już będziesz w powietrzu, zestrzelimy cię rakieta typu ziemia-powietrze. Opinia publiczna dowie się po prostu, że panu Richardsowi obsunął się palec na detonatorze. Niech spoczywa w spokoju.

- Nie uda się wam to.

- Czyżby?

Richards uśmiechnął się i wyjaśnił:

- Będziemy lecieć bardzo nisko, nad największymi centrami urbanistycznymi. Dodaj sobie paliwo do dwunastu silników do dwunastu funtów plastiku, a otrzymasz naprawdę niezłą eksplozję. Nie zrobisz tego. Straty byłyby zbyt duże. - Przerwał. - Jeżeli jesteście tacy mądrzy, to czy nie przewidzieliście, że mógłbym wyskoczyć ze spadochronem?

- Oczywiście, że tak - odparł Mc Cone. - Znajduje się w dziobowym pomieszczeniu pasażerskim. Taki tam stary łach. Zna pan jeszcze jakąś sztuczkę, panie Richards?

- Założę się, że nie był pan na tyle głupi, by nieco „udoskonalić” ów spadochron.

- Co to, to nie. To zbyteczne. No i rzecz jasna, zanim by się pan rozbił, z pewnością nacisnąłby pan przycisk na tym nie istniejącym krążku detonatora. Eksplozja w powietrzu na pewno byłaby bardzo widowiskowa.

- No to żegnaj, mały człowieczku.

- Żegnam, panie Richards. Bon voyage! - zachichotał. - Jest pan uczciwym przeciwnikiem, odkryję więc przed panem jeszcze jedną moją kartę. Tylko jedną. Zanim przedsięwzięmy jakąkolwiek akcję, zaczekamy na przyłot helikoptera z canogynem. Ma pan absolutną rację co do sprawy rakiet. Był to zwyczajny blef. Widzi pan, ja potrafię być cierpliwy. A co gorsza, nigdy się nie mylę. Mam pana na oku. Jeszcze się zobaczymy, panie Richards. - Pomachał mu ręką.

- Wkrótce - rzekł Richards, ale nie na tyle głośno, by Mc Cone zdołał go usłyszeć.

Pomieszczenie pierwszej klasy było długie. Mieściło trzy rzędy foteli, jego wnętrze wyłożone było boazerią z prawdziwych, starych sekwoi. Podłoga wyścielona była dywanem w kolorze wina, niesłychanie miękkim i puszystym. Na ścianie dzielącej pomieszczenia pierwszej klasy i galeryjkę znajdował się trójwymiarowy ekran. Na siedzeniu numer sto spoczywała opaska torba spadochronu. Richards poklepał ją przyjaźnie i wszedł do galeryjki. Ktoś zostawił tu nawet kawę. Przeszedł przez kolejne drzwi i znalazł się w wąskim korytarzu prowadzącym do kabiny pilotów. Siedzący po prawej radiooperator, mężczyzna około trzydziestki o łagodnej twarzy, obrzucił Richardsa podejrzliwym spojrzeniem, po czym odwrócił wzrok w stronę instrumentów pokładowych. Parę stopni w górę, po lewej, znajdował się nawigator zaopatrzony w komplet plastikowych map.

- Facet, który chce nas wszystkich wykończyć, właśnie się zjawił - powiedział przez laryngofon. Obdarzył Richardsa nader chłodnym spojrzeniem.

Pilot miał co najmniej pięćdziesiątkę, czerwony, pijacki nos i czyste, czujne oczy człowieka, który nawet na krok nie zbliżył się do krawędzi alkoholizmu. Drugi pilot był dziesięć lat młodszy, spod jego czapki wystawały kępki rudych włosów.

- Witam, panie Richards - rzekł pilot. Nim spojrział na jego twarz, zmierzył wzrokiem rozmiary wybruszenia w jego kieszeni. - Przepraszam, że nie podaję ręki. Kapitan Don Holloway. To drugi pilot, Wayne Duninger.

- W okolicznościach takich jak te, tego spotkania nie można zaliczyć do udanych - rzekł Duninger.

- Podzielim wasze zdanie - odrzekł Richards. - Przykro mi, że musiałem was w to wciągnąć. Kapitanie Holloway, ma pan stała łączność z Mc Cone'em?

- Oczywiście. Facetem od łączności jest Kippy Friedman.

- Daj mi coś, żebym mógł z nim pogadać.

Holloway z niebywałą ostrożnością podał mu mikrofon.

- Rozpocznijcie przygotowania do odlotu - rzekł Richards. - Macie na to pięć minut.

- Chce pan, żeby wybuchowe blokady na tylnych drzwiach zostały uzbrojone? - spytał oschle Duninger.

- Pilnuj swego nosa - odparł chłodno Richards.

Nadszedł czas ostatecznej rozgrywki. Zamierzał zagrać ostatnią kartą i zakończyć tę grę. Z trudem zbierał myśli, był przemęczony, u kresu sił. Zadzwoić i spływać stąd - oto jego atuty. Ale najpierw musiał porozumieć się z Mc Cone'em.

- Pan Friedman?

- Tak.

- Mówi Richards. Chcę rozmawiać z Mc Cone'em.

Nastąpiła półminutowa chwila ciszy. Holloway i Duninger już go nie obserwowali, zajęli się przygotowaniami do odlotu. Sprawdzali poziomy ciśnienia, stery, drzwiczki, przełączniki. Turbiny znów rozpoczęły swoją pieśń, tym razem jednak intonując ją o wiele głośniej. Kiedy w końcu rozległ się głos Mc Cone'a, w porównaniu z rykiem silników brzmiał niezwykle cicho.

- Mówi Mc Cone.

- W porządku, frajerze. Zabieram ciebie i tę kobietę na małą przejażdżkę. Czekam na was za trzy minuty przy wejściu do samolotu, albo włączę detonator.

Duninger zeszywniał jakby trafiony kulą. Kiedy powrócił do swoich zajęć, głos mu się trząsał, a sam sprawiał wrażenie przerażonego.

Jeżeli jest twardy, zaoponuje. Poprosi, abym nie brał tej kobiety ze sobą. Jeżeli jest twardy - myślał Richards. Czekał. Pod jego czaszką znów zaczął tykać zegar.



Kiedy ponownie usłyszał głos Mc Cone'a, rozpoznał w nim dziwną, nie słyszaną dotąd nutę. Strach? Być może. Richardsowi serce podeszło do gardła.

- Oszalałeś, Richards. Nie zamierzam...

- Słuchaj no... - rzekł Richards, przerywając mu bez pardonu. - Musisz zdawać sobie sprawę, że tę rozmowę słyszy każdy z operatorów w zasięgu co najmniej sześćdziesięciu mil. To, co tu powiemy, zostanie natychmiast rozpowszechnione. Nie działam w ciemno, mały człowieczku. Stoisz na samym środku olbrzymiej sceny. Przyjdiesz tu, bo boisz się zaryzykować. Nie nadstawisz karku, o nie, za bardzo się boisz. Kobieta leci ze mną, bo powiedziałem jej, dokąd zamierzam się udać.

Słabo. Dołóż mu jeszcze, nie daj mu czasu na przemyślenia - dopingował się w myślach.

- Nawet gdybyś przeżył eksplozję, nie byłbyś potem w stanie pracować choćby jako sprzedawca jabłek. - Ujął trzymaną w kieszeni torebkę, szaleńczym, obłąkańczym ruchem. - A więc zrobisz, co każę. Masz trzy minuty. Czas: start.

- Richards, poczekaj...

Wyłączył się, przerywając mu w pół słowa. Oddał mikrofon Hollowayowi, ten zaś ujął go lekko drżącymi palcami.

- Twardziel z pana - rzekł wolno Holloway. - Jeszcze nigdy nie widziałem kogoś równie twardego.

- Będzie najtwardszym ze wszystkich facetów świata, jeżeli zdecyduje się w końcu zrobić użytek z tej bomby - dorzucił Duninger.

- Zajmijcie się, proszę, przygotowaniami do lotu - rzekł Richards. - Ja muszę powitać na pokładzie naszych gości. Wyruszamy za pięć minut.

Przechodząc przez kabinę pasażerską, przełożył spadochron na siedzenie przy oknie, po czym usiadł, obserwując drzwi pomiędzy pomieszczeniami pierwszej i drugiej klasy. Wkrótce wszystko się wyjaśni. Już wkrótce. Jego dłoń bezradnie i rytmicznie zaciskała się na torebce Amelii Williams. Na zewnątrz zapadał zmierzch.

*MINUS 027. ODLICZANIE TRWA*

Weszli do samolotu czterdzieści pięć sekund przed czasem. Amelia była zdyszana i wyraźnie przestraszona.

Wiatr na dobre rozprawił się z jej wspaniale wymodelowaną fryzurą. Mc Cone nie zmienił się ani na jotę, jedynie jego oczy pociemniały od drzemiącej w jego wnętrzu niemal szaleńczej nienawiści.

- Jeszcze nie wygrałeś, frajerze - rzekł cicho. - Nawet nie rozpoczęliśmy gry naszymi najlepszymi kartami.

- Miło mi znowu panią widzieć, pani Williams - rzekł przyjaźnie Richards.

W tej samej chwili, jakby ktoś pociągnął za niewidzialne nitki, zaczęła płakać. Nie był to histeryczny szloch, po prostu w ten sposób dawała upust swojej bezradności. Zachwiała się i uklękła na miękkim dywanie, kryjąc twarz w dłoniach. Plamy krwi Richardsa na jej bluzce zdążyły już zaschnąć. Spódnica rozpostarła się wokół niej, zakrywając nogi. Wyglądała teraz jak ponętny kwiat. Richardsowi było jej żal. Nie było to najwznieściejsze uczucie, ale jedyne, na jakie mógł się teraz zdobyć.

- Panie Richards - rozległ się głos Hollowaya z kabiny.

- Tak?

- Ru... ruszamy?

- Tak.

- No to skontaktuję się z obsługą naziemną, żeby odciągnęli schodki i zatrzasnęli drzwiczki. Niech się pan nie przeraża, to naprawdę nic strasznego.

- W porządku, kapitanie. Dziękuję.

- Zdradził się pan, kiedy zażądał, żebym sprowadził tu tę dziewczynę. Wie pan o tym?

- Mc Cone zdawał się uśmiechać i drwić jednocześnie, jego dłonie rytmicznie zaciskały się i rozwierały.

- Naprawdę? - rzekł spokojnie Richards. - Skoro nigdy się nie mylisz, to zapewne wypchniesz mnie z tego samolotu, zanim jeszcze zdąży unieść się w powietrze. W ten sposób unikniesz niebezpieczeństwa i wyjdiesz z całej sytuacji pachnący niczym różyczka. Mam rację?

Na ustach Mc Cone'a pojawił się cień uśmiechu, po czym wargi zacisnęły się tak mocno, że stały się niemal białe. Nawet nie drgnął. Gdy turbiny silników zaczęły zwiększać obroty, przez kadłub samolotu przechodziły raz po raz kolejne wibracje. Przesunąwszy się

niecو w bok, by wyrzeć przez jedno z okrągłych okien po prawej stronie, Richards zauważył, jak obsługa naziemna odciąga schodki w stronę terminalu. No to teraz wszyscy jedziemy na tym samym wózku - pomyślał.

ZAPIĄĆ PASY. NIE PALIĆ. - Błysnął napis na ekranie umieszczonym na ścianie. Samolot powoli ruszył z miejsca, podłoga pod ich stopami zadrżała. Richards wiele dowiedział się o odrzutowcach, oglądając Free Vee, trochę też czytał na ten temat, ale dopiero po raz drugi znajdował się na pokładzie tego uskrzydłonego kolosa. Raz leciał z Harding do Nowego Jorku. Tak jak poprzednio, drżenie podłogi pod stopami przyprawiało go o gęsią skórę.

- Amelia?

Uniosła wzrok powoli, na jej twarzy widniały ślady łez.

- Tak? - spytała stłumionym głosem.

- Usiądź. Zaraz wyruszamy. - Spojrzał na Mc Cone'a. - Proszę wybrać sobie miejsce, mały człowieczku. Może pan usiąść gdziekolwiek pan tylko zechce. Tylko proszę trzymać się z dala od kabiny pilotów.

Mc Cone nie odpowiedział. Usiadł przy oknie niedaleko przesłoniętego przejścia pomiędzy kabinami pierwszej i drugiej klasy. Po chwili namysłu przeszedł do drugiego pomieszczenia i znikł im z oczu.

Opierając się na krawędziach siedzeń, Richards podszedł do Amelii.

- Chciałbym usiąść przy oknie - powiedział. - Dotychczas tylko raz byłem na pokładzie samolotu.

Próbował się uśmiechnąć. Spojrzała nań z nie ukrywanym zdziwieniem. Zajął swoje miejsce, usiadła obok niego. Zapięła mu pas, żeby nie musiał wyciągać ręki z kieszeni.

- Przypominasz mi zły sen - powiedziała. - Koszmar, który nie ma końca.

- Przykro mi.

- Ja nie... - zaczęła, ale przyłożył jej dłoń do ust i pokręcił głową. Jego oczy mówiły: nie!

Samolot kołował powoli, turbiny wyły, aż wreszcie maszyna ruszyła w stronę pasa startowego. Była tak duża, że Richards miał wrażenie jakby samolot stał w miejscu, a ziemia pod jego kołami poruszała się leniwie. Może to wszystko jest iluzją? - pomyślał nagle. Może właśnie włączyli trójwymiarowe projektory i... Odsunął od siebie tę niepokojącą wizję. Samolot łagodnym łukiem zaczął skręcać w prawo. Znajdował się teraz dokładnie przed wjazdem na główny pas startowy. Wjechawszy na pas, zatrzymali się na chwilę. Przez interkom usłyszeli głos Hollowaya:

- Wyruszamy w drogę, panie Richards.

Samolot ruszył, z początku wolno, z prędkością nie większą od zwykłego pojazdu powietrznego, po czym nagle zwiększył szybkość tak, że Richards miał ochotę krzyknąć - strach zmroził jego ciało do szpiku kości. Przyspieszenie wgniotło go głęboko w miękkie siedzenie fotela. Światła pasa startowego zaczęły nagle przesuwać się przed jego oczami z oszalamiającą prędkością. Podłoga znów zaczęła wibrować. Nagle zdał sobie sprawę, że Amelia Williams obiema rękami wpiła się w jego ramię, a jej twarz wykrzywił grymas przerażenia. Boże! - pomyślał. Ona jeszcze nigdy nie latała samolotem!

- Wyruszyliśmy w drogę - powiedział radośnie. Powtarzał to raz po raz, bez końca.

- Dokąd? - wyszeptała.

Nie odpowiedział. Właśnie zaczął się nad tym zastanawiać.

*MINUS 025. ODLICZANIE TRWA*

Dwaj policjanci na posterunku przy wschodniej bramie wjazdowej na teren lotniska patrzyli, jak olbrzymi liniowiec mknie po pasie startowym, nabierając z wolna prędkości. Jego pomarańczowe i zielone światła błyszczały w mroku. Ryk silników przeszywał bezlitośnie uszy.

- On odlatuje! Chryste! On odlatuje!

- Dokąd? - spytał drugi.

Patrzyli, jak ciemny kształt odrywa się od ziemi. Odgłos silników przypominał ćwiczenia artyleryjskie w chłodny poranek. Samolot wznosił się pod ostrym kątem.

- Myślisz, że ma to przy sobie?

- Nie mam pojęcia.

Ryk silników stawał się coraz słabszy, dochodził do nich już tylko falami.

- Powiem ci jedno - rzekł pierwszy, stawiając kołnierz. - Cieszę się, że zabrał ze sobą tego drania. Tego Mc Cone'a.

- Mogę ci zadać osobiste pytanie?

- Jeżeli tylko nie każesz mi na nie odpowiedzieć.

- Czy chciałbyś zobaczyć, jak ten facet wysadza się w powietrze?

Policjant milczał przez długą chwilę. Odgłos silników odrzutowca słabł z każdą sekundą, aż wreszcie ucichł zupełnie. Czarna sylwetka samolotu znikła w ciemnościach nocy.

- Tak.

- Myślisz, że to zrobi?

Mężczyzna uśmiechnął się.

- Drogi przyjacielu, wydaje mi się, że to będzie naprawdę duży fajerwerk.

Samolot wzbijał się coraz wyżej. Richards z zaciekawieniem wyglądał przez okno. Poprzednim razem będąc na pokładzie samolotu, przespał cały lot, tak jakby już wtedy oczekiwał tej chwili. Niebo na horyzoncie było niemal czarne, gwiazdy migotały niepewnie. Na zachodnim horyzoncie jedyną pozostałością po słońcu była wąska, pomarańczowa kreska oświetlająca pas skrytej w mroku ziemi. Widział światła w dole, to musiało być Derry.

- Panie Richards?

- Tak.

- Znajdujemy się na obszarze holdingowym, to znaczy, że zatoczyliśmy szeroki krąg nad lotniskiem Voigt. Instrukcje?

Richards zamyślił się. Nie miał zbyt wielu ciekawych propozycji.

- Jaki jest najniższy pułap, na którym mógłby pan lecieć tym odrzutowcem?

Nastąpiła chwila ciszy, zapewne dla przedyskutowania tej kwestii.

- Moglibyśmy zejść na dwa tysiące stóp - rzekł Holloway. - To wbrew regulaminowi, ale...

- Nieważne - odparł Richards. - Składam moje życie w pańskie ręce, panie Holloway. Nie znam się na lataniu, ale proszę pamiętać, że tam, na dole roi się od ludzi, którzy chcieliby widzieć mnie martwym. Jeśli pan mnie oszuka, a ja dowiem się o tym...

- Nikt tu nie ma zamiaru pana oszukiwać - odrzekł Holloway. - Jedyne czego chcemy, to wrócić na ziemię i to w jednym kawałku.

- W porządku.

Pozwolił sobie na krótką chwilę namysłu. Amelia Williams była wyraźnie spięta. Złożyła splecione nerwowo ręce na udzie.

- Lecimy prosto na zachód - oznajmił nagle. - Pułap dwa tysiące stóp. Proszę opisywać ciekawsze miejsca, które będziemy mijać po drodze.

- Co proszę?

- Te, które będziemy mijać. - rzekł Richards. - Dopiero drugi raz lecę samolotem.

- Och! - jęknął Holloway.

Samolot zatoczył szeroki łuk i linia zachodzącego słońca za oknem przesunęła się. Richards patrzył jak urzeczony. Pomarańczowa kreska błyszczała za grubym okiennym szkłem, rzucając na nią płomienne refleksy. Ścigamy słońce - pomyślał. Czyż to nie wspaniałe?

Była szósta trzydzieści pięć.



Za oparciem jednego z siedzeń Richards dokonał iście epokowego odkrycia. Była tam kieszeń z instrukcjami, do których należało się stosować w razie jakiegoś nieprzewidzianego wypadku. W razie wpadnięcia w dziurę powietrzną - zapiąć pasy. Jeżeli w kabinie nastąpi nagły spadek ciśnienia - nałożyć maskę tlenową znajdującą się nad siedzeniem. W razie kłopotów z silnikiem - stewardesa udzieli państwu dalszych instrukcji. W razie nagłej śmierci na skutek eksplozji - mamy nadzieję, że macie państwo wystarczającą liczbę plomb w zębach, aby umożliwić identyfikację zwłok. Przed siedzeniami na poziomie oczu znajdował się odbiornik Free Vee. Legenda pod spodem głosiła, że poszczególne kanały będą się włączały zgodnie z życzeniem pasażera. Dla spragnionych tego typu rozrywki widzów został zamontowany dotykowy wybierak kanałów. Poniżej, nieco z prawej, znajdował się notes z długopisem na łańcuszku.

Richards wyrwał jedną kartkę i niezgrabnie wypisał na niej: *W 99% jesteśmy teraz podsłuchiwani. Prawdopodobnie podrzucili ci gdzieś mikrofon. Nie wiem gdzie jest - w obcasie buta, w płaszczu czy też może nawet wpięto go we włosy. Mc Cone na pewno teraz podsłuchuje. Chcę, żebyś za minutę urządziła tu prawdziwy wybuch hysterii i zaczęła błagać mnie, bym nie dotykał detonatora. To polepszy nasze szanse. Grasz? Skinęła głową. Richards zawahał się, po czym dopisał: *Dlaczego zdecydowałaś się na kłamstwo?* Wzięła od niego długopis i napisała: *Nie wiem. Czuję się przez ciebie jak morderczyni. A ty jesteś taki...**

Długopis zatrzymał się, po czym znowu zaczął przesuwac się po kartce: *...bezzradny.*

Richards uniósł brwi i uśmiechnął się. To było bolesne oświadczenie. Podał jej długopis, ale pokręciła głową. Napisała: *Wchodzisz na scenę za pięć minut.*

Skinęła głową. Richards zmiął kartkę, wrzucił do popielniczki i podpalił. Płomień objął ją natychmiast, ogniste refleksy przez chwilę tańczyły w odbiciu na szybie. W chwilę potem kartka zmieniła się w kupkę popiołu.

Jakieś pięć minut potem Amelia Williams zaczęła mówić. Jej jęki brzmiały tak, że Richards z początku nie mógł opanować zdziwienia.

- Proszę, nie! Proszę, nie pozwól, aby ten człowiek... próbował cię zabić... Nigdy nie zrobiłam ci nic złego. Chcę wrócić do domu, do męża. My też mamy córeczkę. Sześciolletnią. Będzie się martwić, co stało się z mamusią.

Richards uniósł brwi w zdumieniu. Nie chciał, by była aż tak dobra. Była zbyt dobra.

- On jest głupi - powiedział, jakby zwracając się do niewidzialnego audytorium. - Ale nie sądzę, że jest aż tak głupi. Wszystko będzie dobrze, pani Williams.

- Łatwo ci mówić. Nie masz nic do stracenia.

Nie odpowiedział. Miała rację. Nie miał do stracenia nic, czego dotąd nie stracił.

- Pokaż mu to - błagała. - Na Boga, dlaczego mu tego nie pokażesz? Wtedy ci uwierzy. Odwoła tych ludzi, którzy czekają tam, na ziemi. Chcą nas strącić raketami. Słyszałam, jak o tym mówił.

- Nie mogę mu tego pokazać - powiedział Richards. - Wyjmując to z kieszeni, mógłbym przypadkowo nieostrożnie docisnąć włącznik detonatora. Nie mam zamiaru ryzykować przypadkowego wybuchu. Ponadto - dorzucił - nawet gdybym mógł to zrobić, to i tak bym mu tego nie pokazał. Ten facet ma coś do stracenia. Niech się poci.

- Nie zniosę tego dłużej - powiedziała otepiałym głosem. - Czasem chciałabym, żeby już było po wszystkim. Wybuch i... już... Bo to się tak skończy, prawda?

- Czy nie mogłabyś...

W tej samej chwili drzwi pomiędzy pomieszczeniami otworzyły się i do środka wejrzał Mc Cone. Jego twarz była niewzruszona, ale pod tą maską kryło się coś, co Richards rozpoznał bez chwili wahania. Strach. Oblicze było blade, woskowe i błyszczące.

- Pani Williams - rzekł Mc Cone. - Czy mógłbym prosić o kawę? Dla siedmiu osób. Będzie pani musiała przejąć funkcję stewardesy.

Wstała.

- Gdzie? - spytała.

- Prosto - odparł Mc Cone z uśmiechem. - Proszę iść za swoim nosem.

Mówił spokojnym tonem i przez cały czas mrugał oczami. Amelia ruszyła w stronę galeryjki, nie oglądając się za siebie. Mc Cone spojrział na Richardsa.

- Czy poddałbyś się, gdybym obiecał ci amnestię, kolego?

Kolego! To słowo w twoich ustach brzmi jak wazelina - pomyślał Richards. Spojrział na swoją wolną rękę. Widniały na niej strużki zaschniętej krwi poznaczone liniami zadrapań, których nabawił się w lasach południowego Maine, gdy grał rolę autostopowicza.

- Amnestia - powtórzył Mc Cone. - Jak to słowo brzmi w twoich uszach?

- Jak kłamstwo - odrzekł z uśmiechem. - Jak cholerne, szyte grubymi nićmi kłamstwo. Mc Cone poczerwieniał.

- Chciałbym, abys był teraz w mojej posiadłości - syknął. - Mam tam specjalne pociski o zwiększonej przebijałości. Jedna taka kula, a twoja głowa wyglądałaby jak dynia, którą

zrzucono na chodnik z dachu wieżowca. Wypełnione są gazem. Eksplodują w chwili uderzenia w cel. Na przykład postrzał w brzuch...

- Chciałeś, to masz! - krzyknął Richards. - Naciskam włącznik!

Mc Cone ryknął przeraźliwie. Cofnął się dwa kroki, napotkał na swojej drodze oparcie fotela numer dziewięćdziesiąt pięć, stracił równowagę i runął na fotel, kryjąc głowę w ramionach. Jego dłonie znieruchomiały nad głową jak skamieniałe z przerażenia ptaki. Twarz przypominała teraz upiorną, plastikową maskę, na której ktoś zawiesił dla kawału okulary w złotej oprawie.

Richards wybuchnął śmiechem. Z początku śmiech ten nawet jemu wydał się odległy i obcy. Kiedy po raz ostatni śmiał się naprawdę? Wydawało mu się, że nigdy. Jego życie było takie szare i męczące. Teraz jednak śmiał się. Śmiał się naprawdę.

- Ty sukinsynu.

Głos zawiódł Mc Cone'a. Usta z trudem wypowiadały słowa. Jego twarz wykrzywił dziwny grymas. Przypominał teraz starego, zużytego pluszowego misia. Richards roześmiał się. Wolną ręką uchwycił za oparcie fotela i śmiał się, śmiał się bez końca.

*MINUS 022. ODLICZANIE TRWA*

Kiedy głos Hollowaya poinformował Richardsa, że samolot przekroczył granicę między stanem Vermont i Kanadą (Richards zakładał, że tamten mówi prawdę, bo on sam widział za oknem tylko ciemność, przetykaną co jakiś czas błyskami światła) odstawił kawę na półkę i rzekł:

- Mógłby mi pan podesłać tu mapę Ameryki Północnej, kapitanie?

- Fizyczną czy polityczną? - spytał nowy głos.

Zapewne nawigator - uznał Richards.

- Obie - odrzekł po chwili namysłu.

- Przyśle pan po nie tę kobietę?

- Jak się nazywasz, przyjacielu?

Po chwili wahania głos rozległ się ponownie:

- Donahue.

- Masz nogi, Donahue. Pofatyguj się osobiście.

Donahue przyszedł po paru minutach. Miał długie, zaczesane do tyłu, przetłuszczone włosy i opięte ciasno spodnie. Mapy obłożone były w plastik.

- Nie mam zamiaru się kłócić - powiedział niechętnie.

Richards pomyślał, że mógłby go uderzyć. Bogata młodzież, mająca dużo wolnego czasu, godzinami przemierzała ulice dzielnic rozkoszy w wielkich miastach i bądź to pieszo, bądź helikopterami ścigała wałęsających się tam pedałów. Cioty należało tępić, to oczywiste. Należy walczyć o czystość układów domowych. Pedały rzadko kiedy zapuszczały się w rejony gett. Kiedy tak się działo, spuszczano im tęgie manto.

Pod długim, przenikliwym spojrzeniem Richardsa Donahue stracił pewność siebie.

- Jeszcze coś?

- Jesteś pedałem?

- Że co?

- Nieważne. Wracaj na miejsce. Pomóż swoim kolegom.

Donahue obrócił się na pięcie i znikł w kabinie pilotów. Richards przyjrzał się pobieżnie mapie. Była to mapa polityczna. Przesuwając palcem wzdłuż drogi od Derry aż po granicę Kanady, otrzymał w przybliżeniu pozycję, w jakiej się obecnie znajdowali.

- Kapitanie Holloway?

- Tak?

- Proszę skrócić w lewo.

- Słucham? - spytał pełen zdziwienia głos.

- To znaczy na południe. I proszę pamiętać...

- Pamiętam - rzekł Holloway. - Proszę się nie martwić.

Samolot zatoczył gładki łuk. Mc Cone siedział wciśnięty głęboko w fotel, na który się zatoczył i wpatrywał się w Richardsa głodnymi, pożądliwymi oczami.

*MINUS 021. ODLICZANIE TRWA*

Richards raz po raz to zapadał w drzemkę, to się budził i to go właśnie przerażało. Łagodny szum silników wprawiał go w dziwne, hipnotyczne odrętwienie. Mc Cone wiedział, co się święci. Był wyraźnie spięty, Amelia również. Zajęła miejsce na fotelu niedaleko galeryjki, obserwując ich obu. Richards wypił jeszcze dwie filiżanki kawy. Nie pomogło. Nie potrafił skoncentrować się nad mapą. Głos Hollowaya odpływał gdzieś w przestrzeń. W końcu z całej siły uderzył się pięścią w miejsce, które przeorała mu kula. Fala bólu nadeszła natychmiast i otrzeźwiła go jak zimny prysznic. Z zaciśniętych ust wydobył się stłumiony jęk. Świeża krew splamiła koszulę. Czerwone ślady pojawiły się na jego dłoni. Amelia krzyknęła.

- Za sześć minut będziemy mijać Albany - rzekł Holloway. - Jeżeli zechce pan rzucić okiem, będzie widoczne po lewej.

Spokojnie - pomyślał Richards. - Tylko spokojnie. Boże, kiedy to się skończy? Wkrótce? Tak, już wkrótce.

Była za kwadrans ósma.

*MINUS 020. ODLICZANIE TRWA*

To mógł być zły sen, koszmar, który wypełził z ciemności jego na wpół uśpionego umysłu, tworząc w nim dziwną wizję lub raczej halucynację. Jego mózg koncentrował się na dwóch sprawach: rozwiązaniu problemu nawigacji i zagrożeniu ze strony Mc Cone'a.

NAMIAR. KONTAKT POZYTYWNY.

Olbrzymi, wyjący serwomechanizm obracał w mroku swe gigantyczne cielsko. Podczerwone oczy błyszczały niewidocznym spektrum. Błądą zielenią jarzyły się kontrolki urządzeń elektronicznych. Jasna strzałka radaru zataczała regularne kręgi.

NAWIĄZALIŚMY KONTAKT. NAMIAR USTALONY.

Urządzenia triangulacyjne pracowały bez wytchnienia, wycelowane w mrok nocy. Ciężarówki dudniły po starych drogach, Nie kończące się strumienie elektronów na niewidzialnych nietoperzych skrzydłach mknęły w ciemnościach. Odbicie. Echo. Silny impuls i słabe odbicie zwrotne, dopóki powracający świetlny promień światła nie oznaczy dokładniej ich pozycji.

JESTEŚCIE PEWNI?

TAK. DWIEŚCIE MIL NA POŁUDNIE OD NEWARK. TO MOŻE BYĆ NEWARK. NEWARK POWIADOMIONE. PODOBNIENIE JAK TERENY NA POŁUDNIE OD NOWEGO JORKU. PROCEDURA WYKONAWCZA OBOWIĄZUJE NADAL?

OCZYWIŚCIE.

MAMY GO JAK NA TALERZU NAD ALBANY.

TYLKO SPOKOJNIE, KOLEGO.

Ciężarówki przetaczały się przez zamknięte miasta. Mieszkańcy patrzyli na nie zza zalepionych papierami okien. W ich oczach czaił się strach i przerażenie. Ciężarówki z rykiem przypominającym wycie prehistorycznych bestii pomknęły w noc.

OTWORZYĆ KLAPY.

Olbrzymie, pracujące bez wytchnienia silniki przesuwają potężne betonowe pokrywy, przetaczając je na bok wzdłuż lśniących stalowych szyn. Okrągłe silosy przypominają wejście do podziemnego świata Morloków. Kłęby płynnego wodoru unoszą się w powietrze.

JESTEŚMY NA ICH TROPIE. NEWARK.

ZROZUMIAŁEM. SPRINGFIELD. BĘDZIEMY W KONTAKCIE.

Pijacy drzemiący w alejkach przerywali na chwilę sen zbudzeni dudnieniem przejeżdżających ciężarówek i patrzyli niemo na skrawki nieba widoczne ponad

wierzchołkami wieżowców. Ich oczy są wyblakłe i żółte, usta okolone zmarszczkami wykrzywia dziwny grymas. Dłonie unoszą się w starczym geście, jakby mężczyźni chcieli poprawić gazety, mające ochronić ich przed jesiennym chłodem, ale gazet nie ma - Free Vee zabiła wszystkie. Free Vee jest królem świata. Alleluja. Bogaci olewają biedaków.

Pożółkłe oczy dostrzegają błysk na niebie. Jeden błysk, drugi. Czerwony, zielony, czerwony, zielony... Grzmot ciężarówek cichnie, odbijając się od ścian kamiennych kanionów jak odgłos pięści tłukących w stalowe wrota. Pijaczkowie znów układają się do snu. Przegrani...

DOSTANIEMY GO NA ZACHÓD OD SPRINGFIELD.

ZA PIĘĆ MINUT.

Z HARDING?

TAK.

JEST JUŻ NASZ.

Poprzez mrok nocy mkną niewielkie skrzydła nietoperza, tworząc błyszczącą sieć nad północno-wschodnim krańcem Ameryki. Serca kontrolowane przez komputery General Atomics pracują nieprzerwanie. Pociski raketowe czekają już we wnętrzach tysiąca silosów, by odnaleźć na czerni nieba obiekt błyskający czerwienią i zielenią. Przypominają grzechotniki o zębach wypełnionych zabójczym jadem.

Richards widział to wszystko jak we śnie. Podzielność jego umysłu okazała się na swój sposób przydatna. Powodowała, że głęboko w jego wnętrzu rodziło się coś na kształt obłądu. Okrwawiony palec powoli przesuwiał się po mapie, zaznaczając na niej trasę pościgu. Teraz są na południe od Springfield, na zachód od Hartford, a teraz...



- Panie Richards?

- Tak?

- Jesteśmy nad Newark, New Jersey.

- Tak - rzekł Richards. - Zauważyłem, Holloway.

Holloway nie odpowiedział, ale Richards wiedział, że tamten słucha.

- Zapewne zdołali już nas namierzyć, co?

- Chyba tak - odrzekł Holloway.

Richards rzucił okiem na Mc Cone'a. Teraz pewno zastanawiają się, czy mogą poświęcić swego najlepszego psa gończego - myślał. Jestem przekonany, że w końcu zdecydują się na ten ostateczny krok. Zawsze mogą przecież wyszkolić sobie kogoś nowego.

Mc Cone spojrział na niego spode łba. Richards uznał, że był to zgoła nieświadomy gest, który Mc Cone odziedziczył po swoich neandertalskich przodkach, dla których rąbnięcie przeciwnika kamieniem od tyłu w łeb było bardziej oczywiste, niż stanięcie z nim do walki twarzą w twarz.

- Kiedy znów znajdziemy się nad otwartym terytorium, kapitanie?

- Koniec z otwartym terytorium, panie Richards, jeżeli nadal będziemy zmierzać na południe. Przeciąwszy wybrzeże Kanady, znajdziemy się nad morzem.

- Lecąc dalej na południe, znajdziemy się na przedmieściach Nowego Jorku?

- To ogromne miasto - rzekł Holloway.

- Dziękuję.

Pod nimi rozpościerało się Newark jak garść zakurzonej biżuterii rzuconej beztrąsko przez damę z wyższych sfer do kosmetyczki wyłożonej czarnym aksamitem.

- Kapitanie?

- Tak? - usłyszał zmęczony głos.

- Zmienimy kurs na zachód.

Mc Cone podskoczył na siedzeniu. Amelia westchnęła z przejęciem.

- Na zachód? - spytał Holloway.

Jego głos po raz pierwszy był przepelniony przejęciem i nie ukrywanym przerażeniem. - Jeśli tego pan chce, proszę bardzo. Lecąc na zachód, znajdziemy się nad otwartym terenem. Pensylwania pomiędzy Hamsburgiem a Pittsburgiem to kraina wybitnie rolnicza. Na wschód od Cleveland nie ma żadnych większych miast.

- Zamierza pan bawić się w stratega? Wydawało mi się, że to ja się tym zajmuję - powiedział Richards.

- Nie, ja...

- Lecimy na zachód - powtórzył Richards.

Samolot zatoczył szeroki łuk ponad miastem.

- Jesteś szalony - powiedział Mc Cone. - Oni nas rozwalą.

- Z tobą i tymi niewinnymi ludźmi na pokładzie? W tym praworządnym kraju?

- To będzie pomyłka - odparł Mc Cone. - Zamierzona pomyłka.

- Nie oglądałeś National Report? - spytał Richards z uśmiechem. - My nie popełniamy błędów. Nie popełniamy błędów od tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego roku. Obawiam się, że nie będzie ci od teraz do śmiechu.

W dole miejsce Newark zajęła czerń nocy.

*MINUS 018. ODLICZANIE TRWA*

Pół godziny później Holloway znowu się włączył. Był spięty.

- Richards, Harding Red powiadomiło nas, że mają dla nas specjalny przekaz z Federacji Gier. Mam pana przekonać, żeby włączył pan odbiornik Free Vee.

- Dziękuję.

Podszedł do ekranu Free Vee i wyciągnął rękę w stronę włącznika, jednak w chwilę potem cofnął ją, jakby bojąc się, że mógłby się przy tym oparzyć.

- Włącz - polecił Mc Cone. - Może chcą nam coś zaproponować.

- Zamknij się - rzucił Richards.

Czekał. Odrętwienie jak ciężka woda wypełniało całe jego ciało. Czuł straszliwy ból. Rana wciąż krwawiła, nogi ugiwały się pod nim, kolorowe plamy wirowały przed oczami. Nie wiedział, czy zdoła dokończyć tę szaradę, kiedy przyjdzie na to czas. Ze stłumionym jękiem wyciągnął rękę i wcisnął włącznik odbiornika. Free Vee ożywając wydał z siebie przejmujący dźwięk. Twarz, która pojawiła się na ekranie była niezwykle czarna i dziwnie znajoma. Dan Killian. Siedział za mahoniowym biurkiem, na którym widniał symbol Federacji Gier.

- Witaj - szepnął Richards.

Osunął się na siedzenie, podczas gdy Killian wyprostował się, uśmiechnął i rzekł:

- Witam pana, panie Richards.

*MINUS 017. ODLICZANIE TRWA*

- Nie widzę pana - oświadczył Killian - ale słyszę raczej dość wyraźnie. Mówiono mi, że jest pan ranny.

- Wygląda to kiepsko, ale w sumie nie jest tak źle - odparł Richards. - Przedzierając się przez las, nabawiłem się tu i ówdzie paru zadrapań.

- O, tak - rzekł Killian. - Słynna ucieczka przez las. Bobby opowiadał o tym w dzisiejszym programie. Jutro w tych lasach zaroi się od ludzi, chcących znaleźć choćby strzęp pańskiej koszuli albo, kto wie, może nawet łuskę z pańskiego rewolweru.

- Niedobrze - powiedział Richards. - Po drodze natknąłem się na królika.

- Jest pan najlepszym zawodnikiem, jakiego kiedykolwiek mieliśmy, Richards. Ma pan szczęście i wie pan, jak je wykorzystać. Przy pańskich umiejętnościach dało to doprawdy wyśmienite wyniki. Jest pan tak dobry, że chciałbym panu coś zaproponować. Pewien układ.

- Układ? Rozstrzelanie przed kamerami telewizji całego świata?

- To porwanie samolotu było pod względem spektakularnym naprawdę wspaniałym przedsięwzięciem. Nie było to jednak najmądrzejsze posunięcie. Wie pan dlaczego? Bo po raz pierwszy oddalił się pan od ludzi takich jak pan. Zostawił ich pan. Pewno myśli pan, że ta kobieta, która jest tam z panem, stoi po pańskiej stronie. Być może nawet ona tak uważa. Ale jest w błędzie. Tam na górze, Richards, nie ma pan nikogo, na kim mógłby pan polegać. Pan jest już trupem, Richards. To koniec...

- Paru ludzi już mi to mówiło, a jakoś nadal żyję.

- Przez ostatnie dwie godziny żył pan na życzenie Federacji i moje. A mimo to chcę panu zaproponować pewien układ. Stara gwardia jest temu przeciwna, ale jakoś sobie z nimi poradzę. Pytał mnie pan, kogo mógłby pan zabić, gdyby zdołał dostać się na najwyższe piętra Gmachu Gier z pistoletem maszynowym w dłoni. Jednym z tych ludzi byłbym ja, Richards. Dziwisz się?

- Jasne, że tak. Dla mnie zawsze byłeś wszawym czarnuchem. Zwyczajnym sługusem, ot co!

Killian roześmiał się. Był to śmiech wymuszony, śmiech człowieka, którego nerwy są napięte do ostateczności.

- Oto moja propozycja, Richards. Polecisz teraz do Harding. Na lotnisku będzie czekać na ciebie limuzyna Gier. Potem przeprowadzimy twoją egzekucję. Rzecz jasna, wszystko to będzie czystą mistyfikacją. Następnie przyłączysz się do naszego zespołu.

Z ust Mc Cone'a dobył się krótki okrzyk wściekłości:

- Ty czarny sukinsynu!

- Wspaniale - powiedział Richards. - Wiedziałem, że jest pan dobry, ale nie przypuszczałem, że aż do tego stopnia. Byłbyś całkiem niezłym sprzedawcą używanych wozów.

- Czy reakcja Mc Cone'a nie zdołała pana przekonać?

- Mc Cone to niezły aktor. Za ten mały popis na lotnisku mógłby otrzymać nagrodę Akademii.

Richards zamyślił się. Dwa oblicza Mc Cone'a: odciągający Amelię, zmuszający ją do robienia kawy, próbujący dowiedzieć się czegoś więcej o Black Irish i spokojny, niewzruszony antagonizm nijak do siebie nie pasowały. A może się mylił? Tysiące myśli kłębiło mu się pod czaszką.

- Moim zdaniem to pan zasłużył na nagrodę, panie Richards. Ten numer z plastikiem był naprawdę wspaniały - oświadczył Killian. - Wiemy, że pan blefuje. Widzi pan mały przycisk na tym biurku? Ten mały, czerwony przycisk to nie blef. W dwadzieścia sekund od momentu, gdy go nacisnę, kilkanaście pocisków rakietowych Diamondback zaopatrzonych w klasyczne głowice nuklearne rozerwie na strzępy pański maleńki odrzutowiec.

- Ja nie blefuję - rzekł Richards. - Mam przy sobie dwanaście funtów plastiku wybuchowego. - W ustach poczuł smak goryczy. Jego blef powoli przestawał działać.

- Ależ tak, blefuje pan. Nie zdołałby pan wejść na pokład Lockheeda General Atomics z ładunkiem plastiku w kieszeni. Natychmiast włączyłyby się odpowiednie urządzenia alarmowe. Samolot posiada cztery specjalne detektory zainstalowane dla ochrony przed porywaczami. Są umieszczone w czterech odrębnych miejscach wewnątrz samolotu. Piąty został zamocowany na spadochronie, o który pan prosił. Obsługa wieży kontrolnej w Voigt Field z uwagą przyglądała się sygnalizacji alarmowej, gdy wchodził pan na pokład. Mówiło się, że prawdopodobnie ma pan przy sobie Black Irish. Nie ukrywam, że odetchnęliśmy z ulgą, gdy żadne ze światełek sygnalizacyjnych się nie zapaliło. Być może po prostu nie wziął pan tego pod uwagę, a potem było już za późno, nie wiem. No cóż, to teraz nieważne. Fakt ten zapewne pogorszył nieco pańską obecną sytuację, ale...

W tej samej chwili Mc Cone stanął jak cień obok Richardsa.

- Otóż to - rzekł, uśmiechając się. - A teraz rozwałę ci ten twój cholerny łeb - dorzucił i przyłożył lufę swego pistoletu do jego skroni.

*MINUS 016. ODLICZANIE TRWA*

- Umrzesz, jeżeli to zrobisz - rzekł Killian.

Mc Cone zawahał się, cofnął o krok i spojrzał z niedowierzaniem na ekran Free Vee. Na jego twarzy znów pojawił się dziwny wyraz, usta poruszały się bezgłośnie. Nie mógł wykrztusić z siebie ani słowa. Kiedy to mu się wreszcie udało, w jego słowach brzmiała otwarta wściekłość.

- Mogę go rozwalić! Tu i teraz! Nic nam się nie może stać! Wszyscy będziemy bezpieczni!

- Jesteś bezpieczny, ty cholerny głupcze. Usiądź i siedź cicho. Gdybyśmy chcieli rozwalić tego faceta, Donahue zrobiłby to już dawno temu - powiedział Killian ze znużeniem w głosie.

- Ten człowiek to przestępca! - Mc Cone krzyczał coraz głośniejszym głosem - Zabił kilkunastu policjantów! Popęłnił wiele przestępstw przeciwko porządkowi publicznemu. Popęłnił akt piractwa powietrznego! Upokorzył publicznie mnie i cały mój departament!

- Usiądź - rzekł Killian głosem zimnym jak przestrzeń międzyplanetarna. - Już czas przypomnieć sobie, kto wypłaca panu pobory, Mc Cone.

- Zwrócę się w tej sprawie do Rady Prezydenckiej! - Mc Cone piał z wściekłości. Po dolnej wardze spływała mu kropelka śliny. - Załatwię cię, jak już będzie po wszystkim, ty parszywy czarnuchu! Ty cholerny sukinsynu, jeszcze...

- Rzuć broń na podłogę - rozległ się nowy głos.

- Tylko bez kawałów, proszę.

Richards odwrócił się. Na jego twarzy malowało się zdziwienie. To był Donahue, nawigator. Wyglądał bardziej zabójczo niż kiedykolwiek. W dłoni trzymał pistolet maszynowy Magnum Springstun. Celował nim w żołądek Mc Cone'a.

- Robert S. Donahue. Rada Kontroli Gier. Rzuć broń na podłogę!

*MINUS 015. ODLICZANIE TRWA*

Mc Cone patrzył na niego przez dłuższą chwilę, po czym rzucił broń na dywan.

- Ty...

- Myślę, że już dość zbędnej retoryki. Wracaj do pomieszczenia drugiej klasy i usiądź tam, jak na grzecznego chłopca przystało.

Mc Cone, mruczając coś pod nosem, ruszył przed siebie. Przypominał Richardsowi wampira ze starych horrorów, odstraszonego znakiem krzyża przez swą potencjalną ofiarę. Kiedy znikł w pomieszczeniu drugiej klasy, Donahue w sardonicznym geście uniósł lufę pistoletu w stronę Richardsa i uśmiechnął się.

- Nie będzie cię już więcej niepokoić.

- W dalszym ciągu wyglądasz mi na pedała - rzucił Richards.

Uśmiech na twarzy Donahue'a rozmył się nagle. Rzucił mu jeszcze jedno szybkie, pełne nienawiści spojrzenie, po czym wrócił do kabiny pilotów. Richards znów zajął miejsce przed ekranem Free Vee. Był, o dziwo, spokojny i opanowany. Nie miał ani przyspieszonego oddechu, ani miękkich kolan. Śmierć stała się dlań czymś zupełnie normalnym.

- Jest pan tam, panie Richards? - spytał Killian.

- Jestem.

- Problem został rozwiązany?

- Tak.

- To dobrze. Wracam do przerwanej kwestii.

- Proszę bardzo.

Killian westchnął, słysząc te słowa.

- Mówiłem właśnie, że to, że wiemy, iż pańskie oświadczenie o materiałach wybuchowych było zwyczajnym blefem, powinno w gruncie rzeczy pogorszyć pańską sytuację. To fakt. Należy jednak dodać, iż tego typu sytuacja wpływa pozytywnie na naszą wiarygodność. Chyba wie pan, dlaczego?

- Tak - rzekł Richards. - Dzięki temu mógłby pan zestrzelić nasz samolot, kiedy tylko przyszedłby panu na to ochota. Mógłby pan także kazać Hollowayowi wylądować na najbliższym lotnisku. Mc Cone miałby okazję, aby wreszcie się wyżyć.

- Otóż to. Czy wierzy pan, że wiemy, że pan blefuje?

- Nie. Ale jest pan cwańszy od Mc Cone'a. Ten numer z pańskim chłopcem na posyłki i umieszczeniem go na pokładzie samolotu był całkiem niezły.

Killian roześmiał się.

- Och, Richards, jesteś doprawdy niepowtarzalny! - Tym razem śmiech wydawał się sztuczny, wymuszony. Richards zdał sobie sprawę, że Killian ma dla niego informację, której z jakiegoś powodu nie może z siebie wydusić. - Gdybyś naprawdę miał to przy sobie, wysadziłbyś się w powietrze, kiedy Mc Cone przyłożył ci do skroni lufę pistoletu. Wiedziałeś, że chce cię wykończyć. A teraz usiądź.

Richards wiedział, że to już koniec. Zdał sobie sprawę, że wiedzą o nim wszystko. Niech dołożą do stawki, jeżeli chcą zobaczyć jego ostatnią kartę.

- Nie kupuję tej historyjki. Jeżeli będziecie chcieli mnie wyrolować, wysadzę wszystko w powietrze.

- Nie byłby pan sobą, gdyby nie zagrał pan swojej roli do końca. Panie Donahue?

- Tak, proszę pana - rozległ się chłodny, bezbarwny, bezpłciowy głos.

- Proszę przyjść tu na chwilę i wyjąć z kieszeni pana Richardsa torebkę pani Williams.

Tylko bez awantur, Donahue.

- Tak jest, sir.

Po chwili w kabinie pojawił się Donahue. Podeszedł do Richardsa. Miał łagodną, zimną i pustą twarz. Jak zaprogramowana maszyna - pomyślał.

- Stań no tu, śliczny chłopczyku - rzekł Richards i wyciągnął nieznacznie rękę z kieszeni. - Popatrz, ten facet, o tam, jest bezpieczny. Nic mu się nie stanie, ale ty już za chwilę udasz się w podróż na Księżyc.

Wydawało mu się, że mężczyzna na chwilę zwolnił kroku i delikatnie zmrużył oczy. Trwało to tylko ułamek sekundy. W chwilę potem jego krok znów stał się pewny i śmiały. Przypominał plażowicza przechadzającego się po Lazurowym Wybrzeżu, a może w taki sposób zbliżałby się do homoseksualisty stojącego u wylotu ślepej uliczki?

Richards zamyślił się. Spojrzał na leżący opodal spadochron. Czy byłby w stanie wyskoczyć z samolotu? Raczej nie. Uciec? Dokąd? Ostatnim pomieszczeniem wewnątrz samolotu była toaleta znajdująca się w kabinie trzeciej klasy.

- Zobaczmy się w piekle - rzekł spokojnie i uczynił szybki gest, jakby chciał wyciągnąć trzymaną w kieszeni rękę. Tym razem mu się udało. Reakcja tamtego była znacznie lepsza. Donahue jęknął i uniósł obie ręce, by ochronić twarz w geście równie starym jak sam człowiek. Opuścił je i spojrzał na Richardsa zatroskany i gniewny.

Richards wyszarpnął torebkę Amelii Williams, rozrywając sobie przy tym kieszeń i rzucił ją w stronę tamtego. Trafiła Donahue'a w pierś i upadła u jego stóp jak martwy ptak. Dłoń Richardsa była lepka od potu. Kiedy na nią patrzył, opierając ją na kolanie, wyglądała



dziwnie biało i obco. Donahue podniósł torebkę z ziemi, przyjrzał się jej z uwagą i wręczył Amelii. Widząc to, Richards poczuł się nagle dziwnie nieswojo. Ogarnęło go przejmujące uczucie smutku i samotności. Czuł się tak, jakby w tej jednej chwili stracił starego, wiernego przyjaciela.

- Bum - powiedział cicho.

*MINUS 014. ODLICZANIE TRWA*

- Pański chłopak jest naprawdę bardzo dobry - oznajmił Richards zmęczonym głosem, kiedy Donahue znów znikł w kabinie pilotów. - Ciekaw jestem, jak się teraz czuje, kiedy jest już po wszystkim. Mam nadzieję, że zrobił w spodnie...

Nagle zdał sobie sprawę, że widzi podwójnie. Obraz to się pojawiał, to znowu znikał. Spojrzał ukradkiem na swój zraniony bok. Rana zasklepiła się po raz drugi.

- No i co teraz? - spytał. - Obstawia pan lotnisko kamerami Free Vee, żeby wszyscy mogli zobaczyć śmierć prawdziwego desperado?

- Przejdźmy do naszego małego układu - rzekł spokojnie Killian.

Jego ciemna twarz była nieprzenikniona, pozbawiona wyrazu. Cokolwiek ukrywał, z wolna zbliżało się pod powierzchnię. Richards wiedział, że Killian lada chwila odkryje swoje karty. Nagle poczuł, że znów ogarnia go fala przerażenia. Miał ochotę wyłączyć odbiornik. Nie chciał usłyszeć, co miał mu do powiedzenia ten okropny facet. Chciał wyłączyć odbiornik, ale nie mógł. Oczywiście, że nie. To była przecież Free Vee - Wolna Stacja Nadawcza.

- Weź i jego, prócz mnie, szatanie - powiedział cicho.

- Że co? - Killian był wyraźnie zbity z tropu.

- Nic, nic. Proszę mówić.

Killian milczał. Patrzył na swoje dłonie. W chwilę potem, uniósł wzrok. Richards miał wrażenie, jakby w tej właśnie chwili duchy biedaków, bezimiennych pijaczków drzemiących w mrocznych alejkach wzywały go po imieniu. Gdzieś w głębinach jego mózgu rozległ się przenikliwy jęk.

- Mc Cone jest już skończony - oświadczył Killian. - Wiesz o tym, bo ty się do tego przyczyniłeś. Zmiażdżyłeś go jak skorupkę jajka pod podeszwą buta. Chcemy, żebyś zajął jego miejsce.

Richards, który myślał, że nic już nie jest w stanie go zaskoczyć, patrzył na niego z lekko otwartymi ustami, a na twarzy malował mu się wyraz całkowitego zaskoczenia, zdziwienia i niedowierzania. To było kłamstwo. To musiało być kłamstwo. Ale przecież nie miał już w kieszeni torebki Amelii... Po co mieliby kłamać i zwodzić go fałszywymi układami? Był ranny i osamotniony. Zarówno Mc Cone, jak i Donahue byli uzbrojeni. Jedna kula tuż nad lewym uchem i byłoby po wszystkim. Obyłoby się bez hałasu, rozgłosu i niepotrzebnych kłopotów. Wniosek - Killian mówił prawdę.

- Wy tam chyba wszyscy powariowaliście - wymamrotał.

- Nie. Jest pan najlepszym uciekinierem, jaki kiedykolwiek wziął udział w tym programie. A najlepszy uczestnik musi być zarazem najlepszym Łowcą. Zna sposoby, setki kryjówek... Niech pan otworzy szerzej oczy, a zrozumie pan, że UCIEKINIER to coś więcej, niż tylko rozrywka dla mas i najlepszy sposób pozbycia się niewygodnych ludzi, Richards. Sieć przez cały czas poszukuje nowych talentów. Musimy to robić.

Richards próbował coś powiedzieć, ale nie mógł. Uczucie przerażenia tkwiące w nim narastało z każdą chwilą.

- Nigdy dotąd nie było Szefa Oddziału Łowców, który miałby rodzinę. Chyba pan to rozumie. Zawsze istniałaby możliwość, że ktoś zdecydowałby się na wymuszenie...

- Ben - przerwał mu Killian niewiarygodnie łagodnym tonem. - Twoja żona i córka nie żyją. Nie żyją od ponad dziesięciu dni.

Dan Killian mówił, ale on zdawał się tego nie słyszeć. Przypominał człowieka znajdującego się na dnie głębokiej studni, do którego ledwo dociera głos kogoś pochylonego nad cembrowiną. Jego umysł spowiła ciemność - ciemność, w której raz po raz, niczym slajdy, pojawiały się kolejne obrazy. Stare zdjęcie Sheili w kostiumie z insygniami Trades High. Wtedy właśnie wróciła moda na krótkie spódniczki. Zdjęcie ukazujące ich oboje siedzących tyłem do aparatu na plaży w Bay Pier i spoglądających w wodę. Trzymali się za ręce. Pożółkłe zdjęcie młodego mężczyzny w źle skrojonym garniturze i młodej kobiety mającej na sobie najlepszą suknię swojej matki, którzy stoją przed obliczem sędziego pokoju. Uśmiechali się na myśl o nadchodzącej nocy poślubnej. Pocięte, czarno-białe zdjęcie ukazujące półnagiego spoconego mężczyznę w ołowianym fartuchu przy pracy w niewielkim podziemnym pomieszczeniu oświetlonym słabym światłem lamp łukowych. Nieco przymglone zdjęcie kobiety z dużym brzuchem stojącej przy oknie, przytrzymującej dłonią brudną zasłonę i czekającej na powrót swego męża. Ostatnie zdjęcie - szczupły mężczyzna, unoszący nad głową dziecko. Na jego twarzy widnieje wyraz triumfu i miłości - uśmiecha się. Zdjęcia pojawiały się i znikwały w oszalałym tempie, wprawiając go w stan chłodnego odrętwienia jak po zażyciu sporej ilości nowokainy.

Killian zastrzegł się, że Sieć nie ma nic wspólnego ze śmiercią jego żony i dziecka. Był to po prostu nieszczęśliwy, okropny wypadek. Richards był nawet w stanie mu uwierzyć - nie dlatego, że ta historia za bardzo przypominała kłamstwo, by nie mogła być prawdą, lecz dlatego, że Killian wiedział, iż gdyby Richards przyjął jego prozycję, udałby się najpierw do Co-Op City i godzinę potem wiedziałby już, co się naprawdę wydarzyło.

- To był napad. Było ich trzech. Prawdopodobnie siłą wtargnęli do mieszkania. Musieli zagrozić, że zabiją Cathy i Sheila próbowała ją ochronić. Obie zginęły od licznych ran kłutych.

Przerwał mu gwałtownie.

- Nie pieprz tych głupot! Powiedz, co się stało naprawdę!

- Cóż mogę więcej powiedzieć... Pańska żona otrzymała ponad sześćdziesiąt pchnięć ostrym narzędziem...

- Cathy! - rzekł Richards grobowym głosem.

Killian skinął głową.

- Ben, czy chciałbyś, abym teraz dał ci chwilę czasu na przemyślenie tego wszystkiego?

- Tak. Oczywiście, że tak...

- Jest mi naprawdę cholernie przykro, przyjacielu. Przysięgam na moją matkę, że nie mieliśmy z tym nic wspólnego. Gdybyś się zgodził na naszą propozycję, przewieźlibyśmy je w bezpieczne miejsce. Mógłbyś je widywać, kiedy byś tylko tego zechciał... Człowiek raczej niechętnie pracuje na rzecz tych, których dłonie splamione są krwią jego rodziny. Dobrze o tym wiemy.

- Potrzebuję czasu do namysłu. Do zobaczenia.

- Ja...

Richards wyłączył odbiornik. Siedział w fotelu nieruchomo jak głaz. A więc - pomyślał - teraz wiem już wszystko. Teraz wreszcie wiem już wszystko...

Minęła godzina. Przed jego oczyma pojawiały się kolejne obrazy. Stacey, Bradley, Elton Parrakis ze swoją dziecięcą twarzą. Koszmar ucieczki. Podpalenie gazet w piwnicy YMCA za pomocą ostatniej zapalki. Samochody pędzące z piskiem opon. Sten plujący ogniem. Przepelniony goryczą głos Laughlina.

Nie był już teraz niczym związany, nie obowiązywały go już żadne moralne prawa. Ale czy na pewno? Killian był doprawdy nad wyraz sprytnym człowiekiem. Wiedział o tym i ze spokojem, a jednocześnie bez ogródek, ukazał Richardsowi, jak bardzo był on osamotniony. Bradley ze swym problemem zanieczyszczenia powietrza zdawał się być teraz odległy, nierealny i mało ważny. Filtry nosowe! Tak, kiedyś problem filtrów nosowych był dla niego sprawą najwyższej wagi. Teraz już nie. Biedni zawsze się przystosują, zmutują. Ich płuca za dziesięć, pięćdziesiąt tysięcy lat stworzą oddzielny system filtrów, a potem masy zerwą się do walki, zaczną wrywać filtry przemysłowe i będą patrzeć, jak ludzie, którzy je nosili umierają jeden po drugim, oddychając powietrzem, w którym prawie nie ma już tlenu. A jaką przyszłość miał przed sobą Ben Richards? Praktycznie żadnej.

Okres załamania. Mogli się tego spodziewać, mogli się na to przygotować. Pojawia się przejawy niezadowolenia, może nawet rewolty. Kolejne poronione próby uświadomienia ludzi o skażeniu powietrza? Może. Zajmą się tym. Zajmą się nim, uprzedzając fakt, że on mógłby zająć się nimi. Instynktownie wiedział, że mógłby to zrobić. W głębi duszy miał wrażenie, że byłby w tym prawdziwym geniuszem. Pomogliby mu, uzdrowiliby go. Narkotyki, lekarstwa i lekarze. Zmiana sposobu myślenia.

Amelia Williams szlochała nadal, siedząc w swym fotelu. Zastanawiał się przez chwilę, co się z nią stanie. W obecnym stanie trudno jej będzie wrócić do męża, dziecka i życia, które dotychczas prowadziła. Nie była już tą samą kobietą, która zatrzymała wóz przed skrzyżowaniem, rozmyślając o zakupach, spotkaniach, przyjaciołach i przyrządzanych wykwintnie posiłkach. Przekroczyła czerwoną kreskę. Przypuszczał, że jedyne, co ją czeka, to długotrwałe leczenie. Intensywna kuracja. Chciał podejść do niej, pocieszyć ją, powiedzieć, że nic jej nie grozi i że po jednym, może dwóch seansach terapeutycznych będzie się czuła lepiej niż kiedykolwiek dotychczas.

Imiona Sheili i Cathy rozbrzmiewały pod jego czaszką niby dzwon, dopóki nie zmieniły się w bezsensowny bełkot. Nie odczuwał rozmiaru tragedii, nie był w stanie. Czuł jedynie przejmujące do głębi uczucie wściekłości i zakłopotania. Wybrali go, robił, co mógł,

wypruwał z siebie flaki, a oni starli go na proch, obrócili w pył. Przypomniawszy sobie chłopaka z podstawówki, który miał złożyć ślubowanie, a kiedy wstał, opadły mu spodniki.

Silniki odrzutowca mruczały leniwie. Zapadł w krótką drzemkę. Obrazy przed jego oczami przesuwały się powoli, nie wywołując żadnych uczuć. Ostatnie zdjęcie zrobione przez fotografa policyjnego. Pocięte na kawałki, drobne ciało w okrwawionym łóžeczku. Ślady krwi na ścianach. Purpurowe zacieki. Roztrzaskana trzykołowa drewniana gaska, którą kupił kiedyś za dziesięć centów. Olbrzymia, lepka plama na futerku jednookiego misia nabytego w sklepie z artykułami używanymi.

Obudził się i usiadł sztywno na fotelu, a z jego ust dobył się krótki, stłumiony krzyk. Wszystko, co znajdowało się w tym pomieszczeniu, stało się nagle tak wyraźne, tak realne.

Amelia zakryła usta dłonią. W drzwiach ukazał się Donahue z pistoletem w dłoni.

- Co się stało? Mc Cone?

- Nie - odrzekł Richards, z trudem formułując słowa. - Miałem zły sen. O mojej małej.

- Och! - W oczach Donahue'a pojawił się wyraz fałszywej sympatii. Robił to jednak wyjątkowo nieudolnie.

Być może nigdy się tego nie nauczy - pomyślał Richards. - A zresztą, kto go tam wie?

Donahue odwrócił się, zamierzając wrócić do kabiny.

- Donahue?

Odwrócił się powoli.

- Przestraszyłem cię wtedy, co?

- Nie - odrzekł Donahue i odwrócił się raz jeszcze. Pochylił głowę i wyszedł. W mocno opiętym kombinezonie wyglądał jak dziewczyna.

- Mogłem zrobić coś gorszego - oznajmił Richards. - Mogłem kazać ci, żebyś wyjął z nosa filtry.

Zamknął oczy. Czuł się zmęczony. Obraz zdjęcia powrócił. Otworzył oczy i zamknął je. Zdjęcie zniknęło. Odczekał chwilę i upewniwszy się, że upiorny obraz nie powróci, otworzył oczy i włączył Free Vee. Na ekranie ukazał się Dan Killian.

*MINUS 011. ODLICZANIE TRWA*

- Richards - Killian kręcił się na siedzeniu, nie ukrywając swego napięcia.
  - Zdecydowałem się przyjąć pańską propozycję - powiedział Richards.
- Killian rozparł się wygodnie w fotelu, a w jego oczach pojawiły się radosne ogniki.
- Bardzo się z tego cieszę - oznajmił spokojnym tonem.



*MINUS 010. ODLICZANIE TRWA*

Jezu - rzekł Richards. Stał w drzwiach kabiny pilotów.

Holloway odwrócił się.

- Sie masz!

Mówił do niewielkiego urządzenia zwanego Detroit VOR. Duninger popijał kawę. Przy bliźniaczych konsolach nie było nikogo, a mimo to wolanty przesuwaly się we wszystkie strony jakby prowadzone niewidzialnymi dłońmi. Błyskały niewielkie lampki, przełączniki włączały się samoczynnie.

- Kto prowadzi tę zabawkę? - spytał Richards z fascynacją w głosie.

- Otto - powiedział Duninger.

- Otto?

- Otto, pilot automatyczny. Wiesz, o co mi chodzi? Taka cholerna kupa złomu. - Duninger uśmiechnął się.

- Cieszę się, że jesteś tu teraz z nami, przyjacielu. Może mi nie uwierzysz, ale paru z nas stawiało na ciebie...

Richards dyplomatycznie skłonił głowę.

- Otto i mnie niekiedy wprawia w zakłopotanie - powiedział Holloway. - Mimo iż latam już od dwudziestu lat, w dalszym ciągu nie mogę się do niego przyzwyczaić. Ale on ma jedną ważną zaletę, jest zabójczo bezpieczny. Skomplikowany jak diabli. Te stare wyglądają przy nim jak drewniana skrzynka z pomarańczami w porównaniu z biurkiem chippendale.

- Czy to prawda? - Richards spoglądał w mrok.

- Tak. Wystarczy tylko podać MP, Miejsce Przeznaczenia, a Otto pana tam dostarczy. Pilot staje się zbędny z wyjątkiem startu i lądowania. I w razie ewentualnych kłopotów.

- A czy pan jest w stanie poradzić sobie z tak zwanymi ewentualnymi kłopotami? - zapytał Richards.

- Zawsze możemy się pomodlić - rzekł Holloway. Może miało to być zabawne, ale w tym wypadku zabrzmiało dziwnie szczerze.

- Czy te koła kierują lotem całego samolotu? - spytał Richards.

- Kontrolują jedynie jego ruch w górę i w dół - powiedział Duninger. - Pedaly kontrolują ruchy na boki.

- Jak w dzieciennym samochodziku.

- Samolot jest nieco bardziej skomplikowany - rzekł Holloway. - Jest tu trochę więcej przycisków do włączenia.

- A co się stanie, jeżeli Otto zawiedzie? Katastrofa?

- Co to, to nie - odrzekł Duninger z uśmiechem - Gdyby Otto nawalił, zawsze możemy wrócić za stery i przejąć kontrolę nad maszyną. Ale pamiętaj, kolego, komputer nigdy się nie myli!

Richards chciał wyjść, ale jeszcze przez chwilę spoglądał na przesuwające się dźwignie wolantów i pedałów oraz światełka migające na tablicy rozdzielczej. Holloway i Duninger zajęli się swoją robotą. Holloway spojrział na niego jakby zdziwiony, że Richards wciąż jeszcze znajduje się w kabinie. Uśmiechnął się i wskazał na ciemność za szybą.

- Zbliżamy się do Harding.

- Jak długo to potrwa?

- Światła miasta powinny być widoczne na horyzoncie za jakieś pięć, sześć minut.

Kiedy Holloway odwrócił się po raz drugi, Richardsa nie było już w kabinie. Zwrócił się do Duningera:

- Będę zadowolony, kiedy wreszcie pozbędziemy się tego faceta. To prawdziwy upiór.

Duninger pochylił głowę, jego twarz skąpała się w bladym, zielonkawym świetle urządzeń kontrolnych.

- Wiesz co? On nie lubi naszego Otta.

- Wiem - odparł Holloway.

Richards szedł wąskim korytarzem. Friedman, oficer łącznościowy, nawet na niego nie spojrział, Donahue również. Richards wszedł do galeryjki i zatrzymał się. Zapach kawy był silny. Nalał sobie filiżankę, dodał odrobinę śmietanki, po czym usiadł na fotelu, który zazwyczaj zajmują stewardesy. Z dziobka błyszczącego Silexa unosił się obłoczek pary. W chłodniach znajdowały się tacki z gotowymi posiłkami. Barek był również wspaniale zaopatrzone. Człowiek mógłby tu nieźle zalać pałę - pomyślał. Upił łyk kawy. Była mocna i dobra. Silex bulgotał jednostajnym rytmem. Oto jestem - pomyślał przy drugim łyku. Tak, nie było najmniejszych wątpliwości. Był tu, we wnętrzu olbrzymiego odrzutowca i popijał kawę.

Na szafce stały rzędy garnków i patelni. Zlew z nierdzewnej stali błyszczał jak kryształ chromu w obudowie Formicy. A na kuchence bulgotał i buchał parą Silex. Sheila zawsze chciała mieć Silexa. Zawsze o nim marzyła. Drzwi do toalety były na wpół otwarte. Wnętrze muszli wypełniała błękitna, dezynfekowana woda. Załatwianie się na wysokości pięćdziesięciu tysięcy stóp dokonywane było z pełnym wyczucia przepychem.

Wypił kawę, patrzył jak Silex bucha parą i płakał. Płakał w milczeniu. Uspokoił się, gdy na dnie filiżanki nie została nawet kropelka kawy. Wstał i wstawił filiżankę do zlewu. Podniósł Silexa i trzymając go za brązową, drewnianą rączkę, wylał kawę do zlewu. Na szkle pozostał jedynie drobny osad. Otarł oczy rękawem kurtki i wrócił do wąskiego korytarza. Wszedł do pomieszczenia Donahue'a z Silexem w dłoni.

- Chcesz kawy? - spytał Richards.

- Nie - rzucił Donahue, nawet na niego nie spojrzawszy.

- Na pewno się napijesz - rzekł Richards i z całą siłą, na jaką mógł się zdobyć w obecnej chwili, uderzył Donahue'a ciężkim, szklanym czajnikiem w tył głowy.

Po raz trzeci rana w jego boku otworzyła się, ale szklany czajnik nie potłukł się. Richards zastanawiał się, czy szkło nie było specjalnie wzmocnione. Na ścianie czajnika pojawiła się olbrzymia plama krwi - krwi Donahue'a.

Mężczyzna runął bez słowa na stół z rozłożonymi na nim mapami. Strużka krwi zaczęła spływać po jednej z obłożonych plastikiem kart i ściekać na podłogę.

- Zrozumiałem, wszystko w porządku jeden-dziewięć-osiem-cztery - odezwał się nagle głos w radiu.

Richards wciąż trzymał w dłoni Silexa. Do jego obłej ścianki przylepił się kosmyk włosów Donahue'a. Upuścił czajnik, ale dywan stłumił odgłos upadającego przedmiotu. Kragły, szklany Silex potoczył się w jego stronę, mrugając swym jednym, przekrwionym ślepiem. Obraz zdjęcia ukazującego Cathy w swoim łóżeczku raz jeszcze pojawił się przed jego oczami i Richards poczuł, jak zimny dreszcz przebiegł mu po plecach. Podniósł Donahue'a za włosy i zaczął przeszukiwać mu kieszenie. W jednej z nich znalazł rewolwer. Chciał oprzeć głowę Donahue'a o blat stołu, ale zawahał się i po chwili zmienił zdanie. Głowa mężczyzny zwisała bezwładnie, jego usta otwarły się i zastygły w idiotycznym grymasie. Zaczęła ściekać w nie krew.

- Czekam na potwierdzenie, jeden-dziewięć-osiem-cztery - dobiegł głos z radia.

- Ej, to do ciebie - rozległ się w holu głos Friedmana. - Donahue...

Richards stanął w korytarzu. Czuł się bardzo słaby.

- Słuchaj, czy mógłbyś powiedzieć Donahue'owi, żeby potwierdził...

Richards wpakował mu kulę tuż nad górną wargą. Zęby rozprysły się wokoło jak perły z rozerwanego gwałtownym szarpnięciem naszyjnika. Włosy, krew i mózg rozbryznęły się na przeciwległej ścianie, gdzie trójwymiarowa dziewczyna leżąca na wspaniałym łóżku rozkładała nogi zmysłowym gestem.

Richards odwrócił się, słysząc dochodzące z kabiny pilotów lekko przytłumione okrzyki. Holloway z desperacją rzucił się ku drzwiom, chcąc je zatrzasać. Nie zdążył. Richards zauważył, że mężczyzna miał na czole bardzo małą bliznę w kształcie znaku zapytania. Była to jedna z tych blizn, jakie zdobywa się jeszcze w dzieciństwie. Być może Holloway, będąc jeszcze chłopcem, bawił się kiedyś w pilota i spadł z jakiejś nisko zawieszanej gałęzi. Strzelił Hollowayowi w brzuch. Ten jęknął przeciągle, nogi ugięty się pod nim i runął na twarz.

Duninger odwrócił się w fotelu; jego twarz była blada jak księżyc.

- Nie zabijesz mnie, prawda? Nie zrobisz tego? - zapytał. W jego głosie brakowało jednak przekonania.

- Zrobię - rzekł ze spokojem w głosie Richards i nacisnął spust. Coś z tyłu za Duningerem wybuchnęło i strzeliło jasnym płomieniem, gdy jego bezwładne ciało osunęło się w fotelu.

- Czekam na potwierdzenie, jeden-dziewięć-osiem-cztery - rzekł głos w radiu.

Richards poczuł nagle mdłości i z wymiotował wypitą ostatnio kawą zmieszaną ze sporą porcją żółci. Skurcze mięśni spowodowały, że rana na jego boku powiększyła się jeszcze bardziej. Nowa fala bólu przeszła jego ciało.

Podszedł do urządzeń pomiarowych poruszających się nadal bliźniaczym, jednostajnym rytmem. Tak ich tu dużo!

Ale czy podczas lotu takiego jak ten, nie utrzymuje się z bazą stałej łączności? Oczywiście, że tak.

- Potwierdzam - rzucił Richards pewnym siebie tonem.

- Macie tam na pokładzie Free Vee, jeden-dziewięć-osiem-cztery? Odebraliśmy jakiś wyjątkowo zniekształcony przekaz. Wszystko u was w porządku?

- Jak najbardziej - rzekł Richards.

- Przekaż Duningerowi, że jest mi winien piwo - powiedział głos, po czym wyłączył się.

Sterami odrzutowca zajmował się w dalszym ciągu Otto. Richards wyszedł z kabiny pilotów. Musiał jeszcze wyrównać parę rachunków.

- O Boże! - jęknęła Amelia Williams.

Richards przyjrzał się sobie z uwagą. Cały jego prawy bok, od żeber po łydkę, był skąpany we krwi.

- Kto by pomyślał, że stary człowiek może mieć w sobie tyle krwi - rzekł Richards.

Mc Cone jak burza wpadł do kabiny. W dłoni trzymał pistolet. On i Richards wystrzelili jednocześnie. Mc Cone znikł w przejściu pomiędzy pomieszczeniami pierwszej i drugiej klasy. Richards usiadł ciężko. Czuł się bardzo zmęczony. Otrzymał postrzał w brzuch. Rana była dosyć pokaźna. Mógł teraz bez trudu przyjrzeć się swoim wnętrznościom. Amelia krzyczała bez końca, przykładając dłonie do policzków. Jej twarz przypominała plastikową maskę wiedzmy. Mc Cone, chwiejąc się na nogach wrócił do kabiny. Uśmiechał się. Kula Richardsa rozwalila mu prawie pół czaszki, ale on nadal się uśmiechał. Przez cały czas uśmiechał się tak samo. Wypalił dwukrotnie. Pierwsza kula przeszła nad głową Richardsa, druga trafiła go tuż pod obojczykiem. Richards nacisnął spust. Mc Cone dwukrotnie okręcił się na pięcie. Przypominał bąka wprawionego w ruch przez spragnione zabawy dziecko. Pistolet wypadł mu z ręki. Mc Cone patrzył szklistymi oczami na biały, wyłożony specjalną masą plastyczną sufit pomieszczenia pierwszej klasy. Ktoś mógłby pomyśleć, że porównuje wystrój wnętrz pomieszczeń pasażerskich obu klas. Upadł. W powietrzu unosiła się woń spalonego prochu i palonego ciała. Amelia nadal krzyczała. Richards uznał, że jej krzyk brzmi nad podziw zdrowo.

Richards wstał bardzo powoli, zaciskając obie ręce na brzuchu i przytrzymując wypływające wnętrzności. Miał wrażenie jakby ktoś przypalał mu na piersi zapalki. Znalazł się w przejściu między fotelami i pochylił się, przyciskając jedną dłoń do przepony jakby się komuś kłaniał. Podniósł spadochron jedną ręką i zaczął ciągnąć go za sobą po podłodze. Zwój szarych jelit wysliznął mu się pomiędzy palcami, więc wcisnął go na siłę z powrotem. Czuł się tak, jakby za chwilę miał zrobić w spodnie. Fala bólu była niemal nie do wytrzymania.

- O... - jęknęła Amelia Wylliams - O Boże!

- Nałóż to - rozkazał Richards.

Szlochała nadal, jakby nie słysząc jego słów. Odstawił spadochron na bok i uderzył ją w twarz. Bez skutku. Zacisnął dłoń w pięść i uderzył ją raz jeszcze. Umilkła. Patrzyła na niego oczyma przepelnionymi zdziwieniem.

- Nałóż to - powtórzył. - Tak jak plecak. Wiesz jak?

Skinęła głową.

- Ja... nie mogę... skoczyć. Boję się.

- Spadamy. Musisz to zrobić. Musisz skoczyć.

- Nie mogę.

- No cóż. W takim razie będę cię musiał zastrzelić.

Wyskoczyła z fotela jak oparzona, odepchnęła go i z pośpiechem zaczęła nakładać spadochron. Odwrócona do niego plecami mocowała się z pasami.

- Nie tak. To powinno pójść dołem.

Błyskawicznie naprawiła swój błąd, a gdy Richards podszedł do niej, cofnęła się w stronę przejścia, gdzie leżało ciało Mc Cone'a. Z jego ust płynęła wąska strużka krwi.

- A teraz zajmij się sprzączką. Pas. Zapnij pas.

Zrobiła to drżącymi palcami, płacząc gdy pierwsza próba zakończyła się niepowodzeniem. Nie spuściła wzroku z jego pobladłej twarzy. Uniosła nogę gwałtownie, zauważywszy, że jej obcas pograżył się w kałuży krwi Mc Cone'a i jednym zdecydowanym krokiem przestąpiła leżące bezwładnie ciało. W ten sposób dotarli do pomieszczeń trzeciej klasy. Miejsce zapalek przypalanych w żołądku Richardsa zajęła teraz paląca się równym płomieniem zapalniczka. Drzwi luku awaryjnego były zamknięte - zablokowane wybuchowymi sworzniami i zasuwą otwieraną automatycznie z wnętrza kabiny pilotów. Richards podał jej pistolet.

- Strzelaj. Ja... nie wytrzymałbym odrzutu... No, jazda, wal!

Zamykając oczy i odwracając głowę, dwukrotnie nacisnęła na spust. W magazynku nie było więcej naboii. Drzwi nie otworzyły się. Richards czuł, jak z wolna zaczyna ogarniać go rozpacz. Dłoń Amelii Williams zaciskała się kurczowo na ręczce spadochronu i pociągała za nią delikatnie.

- Może... - zaczęła i wtedy właśnie drzwi otworzyły się. Amelia Williams znikła w ciemnościach nocy.



Zgięty wpół, jak człowiek walczący z podmuchami huraganu, Richards oddalał się od otwartej czeluści luku awaryjnego, chwytając się dłońmi za oparcia kolejnych foteli. Gdyby lecieli na większej wysokości, gdzie różnica ciśnień byłaby większa, on również zostałby wyspany na zewnątrz. Podmuch rzucił nim o ścianę, czuł jak wnętrzności wylewają mu się z brzucha. Chłodne, nocne powietrze podziało na niego jednak niczym kubek zimnej wody. Płomień zapalniczki zmienił się w pochodnię. Jego wnętrzności zdawały się płonąć.

Przedostał się przez pomieszczenie drugiej klasy. Teraz musiał pokonać przeszkodę w postaci leżącego na ziemi ciała Mc Cone'a i wejść do pomieszczenia pierwszej klasy. Z ust płynęła mu krew. Zatrzymał się u wejścia do galeryjki, próbując wepchnąć wnętrzności na powrót w brzuch. Miał ochotę zapłakać. Wiedział, że taka sytuacja nie może trwać dłużej. Ani chwili dłużej. Wnętrzności stawały się coraz bardziej brudne. Miał ochotę zapłakać nad losem swych nieszczęsnych wnętrzności, które przecież nie zasłużyły sobie na coś tak okropnego. Jego próby zakończyły się niepowodzeniem. Nic mu się nie udawało. Patrzył na bezładną płataninę jelit wylewających się z jego brzucha, przed oczyma pojawiły mu się przerażające obrazy zdjęć zamieszczonych na kartach szkolnych podręczników biologii. Zdał sobie nagle sprawę, że umiera. Wydał z siebie żałosny, przeraźliwy okrzyk. Wnętrze jego ust wypełniło się krwią.

Nikt mu nie odpowiedział. Wszyscy inni odeszli. Pozostał tylko on... i Otto. Świat wokół niego stawał się czarno-biały, tracił kolory, podobnie jak on tracił z każdą chwilą coraz większą ilość krwi. Oparł się o wejście do galeryjki jak pijak o słup latarni i naraz wszystko wokół niego pogrążyło się w upiornej szarości.

- A więc to jest śmierć... Umieram... - wyszeptał.

Krzyknął raz jeszcze i świat znowu stał się kolorowy. Jeszcze nie. Nie mógł jeszcze umrzeć. Przeszedł przez galeryjkę, wodząc za sobą wyprute wnętrzności. Dziwił się, ile ich może tkwić we wnętrzu zwykłego człowieka. Takie krągłe, takie mocne, tak bardzo wypełnione...

Pośliznął się na jednym z fragmentów siebie i nagle coś w jego wnętrzu... pękło. Ból był potworny. Krzyknął przeraźliwie, strumień krwi zbryzgał ściany i podłogę. Stracił równowagę i gdyby nie ściana, upadłby.

Pozostało mu już tylko jedno. Postrzał w brzuch to najgorsza z ran, jakie można otrzymać. Kiedy pracował jeszcze w General Atomics, podczas jednej z przerw na lunch

uczestniczył w rozmowie na temat najgorszych z możliwych sposobów umierania. Rozmawiali o zatruciu radiacyjnym, zamrznięciach, tragicznych upadkach, utonięciach, zatruciach i nagle ktoś wspomniał o postrzale w brzuch. Może to był Harris? Grubas, który w pracy ukradkiem popijał piwo.

- Ból w żołądku jest straszny - powiedział wtedy Harris. - Umieranie trwa bardzo długo.

Wszyscy siedzący wtedy przy stole skinęli jak na komendę głowami i zgodzili się z jego stwierdzeniem, ale żaden z nich nie miał wówczas pojęcia, czym jest prawdziwy ból.

Richards ruszył przed siebie wąskim korytarzem, pomagając sobie rękami. Minął Donahue'a, minął Friedmana i obraz radykalnego popisu swoich umiejętności dentystycznych. Drętwoła zaczęła pisać się wzdłuż jego ramion, a ból w żołądku stał się jeszcze bardziej przejmujący. Mimo to jednak szedł dalej, a jego okaleczone ciało nadal próbowało wypełniać rozkazy szalonego Napoleona zamkniętego w ciasnym wnętrzu jego czaszki. Zdawało mu się, że jego mózg został jakby przenicowany i w przeciągu paru ostatnich sekund pożerał samego siebie.

Upadł na ciało Hollowaya i poczuł, że ogarnia go senność. Drzemka. Tak, tylko chwileczkę. Tak trudno jest wstać. Otto nuci coś pod nosem. Śpiewa chłopcu piosenkę. Dziś są przecież jego urodziny. Śpij chłopcze, śpij.

Uniósł głowę z niesamowitym wysiłkiem; była ciężka jak z ołowiu. Spojrzał na bliźniacze urządzenia kontrolne tańczące swój nieprzerwany taniec. Harding. Samolot zbliżał się do Harding.

...Za daleko...Nie zdołasz tam dotrzeć, Richards.

*MINUS 004. ODLICZANIE TRWA*

Przez radio dobiegł go zaniepokojony głos.

- Zgłoś się, jeden-dziewięć-osiem-cztery. Lecisz na zbyt niskim pułapie. Czekam na potwierdzenie. Czekam na potwierdzenie. Czy mamy przejąć kontrolę naprowadzania? Czekam na potwierdzenie. Czekam na...

- Odpieprz się - szepnął Richards.

Zaczął czołgać się w stronę opadających i unoszących się na przemian wolantów. Dźwignie pedałów to wysuwały się, to znów znikwały w stalowych trzewiach Jumbo Jeta. Koła wolantów obracały się wolno i rytmicznie. Krzyknął przejmująco, poczuwszy kolejną falę bólu. Pętla jego jelit owinęła się wokół dolnej szczęki Hollowaya. Odpełznął w tył, uwolnił splątane wnętrzności i zaczął pełznąć dalej.

Bezwład ogarnął jego zmęczone ramiona. Przez chwilę leżał, dysząc ciężko z nosem wciśniętym w miękki, puszysty dywan. Zmusił się do dalszego wysiłku, podniósł się i zaczął brnąć dalej. Powstanie z dywanu i zajęcie miejsca na fotelu Hollowaya przypominało wspinaczkę na Mount Everest.

Widział go. Olbrzymi, lśniący prostokąt wycelowany w samo serce nocy, błyszczący czernią i górujący nad wszystkim wokoło. Blask księżyca sprawiał, iż ów prostokąt lśnił niby alabaster. Pchnął lekko wolant. Samolot przechylił się w lewo. Mało brakowało, a wypadłby z fotela Hollowaya. Cofnął wolant do poprzedniej pozycji, po czym spróbował przesunąć go w drugą stronę. Przesadził trochę i samolot przechylił się gwałtownie w prawo. Linia horyzontu falowała w opętającym rytmie. A teraz pedały. Tak, lepiej.

Raz jeszcze zmienił położenie wolantu. Strzałka na tarczy umieszczonej na wprost niego w ułamku sekundy przesunęła się z dwóch tysięcy na tysiąc pięćset. Cofnął dźwignię. Z wolna zaczynał tracić wzrok. Prawe oko było już niemal całkiem bezużyteczne. Dziwne, przecież teoretycznie powinny przestać pełnić swą funkcję równocześnie...

Znów napał na wolant. Zdawało mu się, że samolot unosi się na wietrze niczym piórko. Wskazówka przesunęła się z tysiąc pięćset na tysiąc dwieście, a potem na dziewięćset. Odciągnął dźwignię łagodnym ruchem.

- Jeden-dziewięć-osiem-cztery - głos brzmiał alarmująco. - Co się dzieje? - Czekam na wasze potwierdzenie, jeden-dziewięć-osiem-cztery.

- Gadaj, chłopie - zarechotał Richards. - Gadaj zdrow!

*MINUS 002. ODLICZANIE TRWA*

Olbrzymi samolot przecinał ciemność nocy jak lodowy soplel. W dole pod nim błyszcząły światła Co-Op City. Samolot zbliżał się. Zmierał w stronę Gmachu Gier.

Odrzutowiec przeleciał nad kanałem - ryczący olbrzym, trzymany w górze przez niewidzialną rękę opatrności. Jakiś ćpun stojący w drzwiach swego mieszkania uniósł wzrok; uznał to, co zobaczył za zwykłą halucynację. Wydawało mu się, że oto zrobił ten „ostatni strzał” i już wkrótce znajdzie się w niebiosach General Atomics, gdzie jedzenie jest za darmo, a prochy zawsze znajdują się pod ręką. Ryk silników spowodował, że wielu ludzi wyszło ze swych domów. Ich twarze jak białe płomienie spoglądały w niebo. Poszło parę szyb, fontanny kurzu i śmieci wzbily się pod niebo. Jakiś policjant upuścił pałkę i trzymając się rękami za głowę krzyczał, ale nie słyszał własnego głosu.

Samolot wciąż wytracał wysokość. Przelatywał ponad dachami budynków jak srebrzysty nietoperz. Koniec prawego skrzydła odrzutowca zaledwie o dwanaście stóp minął boczną ścianę Glamour Column Store.

Wszystkie odbiorniki Free Vee w całym Harding zostały włączone. Obraz na ekranach był niemal biały w wyniku nadmiernego przeciążenia linii. Ludzie patrzyli w ekrany z głupią, bojaźliwą nieufnością. Ryk silników przypominał grzmot. Killian wstał od stołu i spojrzął w stronę okna stanowiącego jedną ze ścian w jego pokoju na szczycie wieżowca Gmachu Gier. Nie zobaczył w nim jednak panoramy miasta - od Scuth City po Crescent. Zamiast niej ujrzał zbliżającą się w zawrotnym tempie, rosnącą w oczach sylwetkę odrzutowca typu Lockheed Tri Star jet. Światła w jego wnętrzu to zapalały się, to gasły.

Killiana ogarnęło przejmujące uczucie kompletnego zaskoczenia, przerażenia i niedowierzania. Przez chwilę miał wrażenie, że widzi Richardsa patrzącego nań z wnętrza kabiny pilotów. Jego twarz była czerwona od krwi, a czarne oczy płonęły niby ślepią demona. Richards uśmiechał się i pokazywał mu palec.

- Jezu - to było wszystko, co zdążył wyszeptać Killian.

Lockheed uderzył w Gmach Gier nieco pod kątem i wbił się weń na wysokości dwóch trzecich budynku. W jego zbiornikach znajdowało się jeszcze ponad dwadzieścia pięć procent zapasów paliwa. Prędkość samolotu wahała się w granicach stu mil na godzinę. Eksplozja była potężna.

Płomień wybuchu rozświetlił noc niczym znak gniewu bożego, a ognisty deszcz dosięgnął nawet budynków znajdujących się w odległości dwudziestu przecznic od Gmachu Gier.

STEPHEN KING'S

STEPHEN KING'S



EBOOKS RELOAD

EBOOKS RELOAD